

Rozmowa z Michałem Nadlem.

Przeprowadzona przez Zuzannę Solakiewicz

Łódź, 15.11.2004

MN: Jakie szczegóły Panią interesują?

ZS: Interesują mnie szczegóły wszystkie: rodzajowe, obyczajowe, co do usposobienia różnych osób – to wszystko, co Pan pamięta, co w Pana pamięci jest. Na przykład zaczynając od najstarszych członków Pana rodziny... Skąd Pan pochodzi?

MN: Wiele rzeczy się będzie wydawało bajką. Urodziłem się we Lwowie, 15-tego lipca, 1918 roku. Ojciec był inwalidą wojenny, z armii austriackiej, miał uszkodzone kolano. I wiem, że – z tego co pamiętam – to z pierwszych lat... w latach dwudziestych, powiedzmy na początku, to dla inwalidów tam była jakaś specjalna nazwa... koncesja...

ZS: Na prowadzenie działalności gospodarczej, tak?

MN: Tak, pewne dziedziny działalności gospodarczej, były zastrzeżone tylko dla inwalidów wojennych. I wiem, że ojciec tam była właścicielem jakiegoś tam sklepu kolonialnego, nie pamiętam gdzie...

ZS: Gdzie to było?

MN: We Lwowie.

ZS: Na jakiej ulicy?

MN: Jagiellońskiej.

ZS: Przy Jagiellońskiej?

MN: Tak, na pewno.

YY: Kolonialnej? To znaczy ryż-mydło-powidło?

MN: Nie, kolonialny. Ale on zbankrutował. Ja byłem wtedy maleńki, ale w tych latach, kiedy tam był kryzys. I ojciec wtedy w pewnym okresie wtedy w banku pracował.

ZS: Pamięta Pan dokładnie, w którym roku zbankrutował ten sklep?

MN: Lata dwudzieste. Na pewno. Przed tym jak był ten Grabski, czy jak on się tam nazywał.

ZS: Grabski się nazywał.

YY: No on wtedy doprowadził do bankructwa wtedy wielu łódzkich Żydów... z Żydów to praktycznie Grabski wycisnął wszystko...

ZS: I wtedy pracował w banku...

MN: Tak, wtedy w banku pracował. Ale później była spółka zbożowa, skup zboża i przemiał. To znaczy oni skupowali zboże od wieśniaków, i młyny dzierżawili i potem dostarczali do konkretnych punktów sprzedaży, do piekarni, przede wszystkim do piekarni. To spółka była. Klarberg i spółka.

ZS: Klarberg i spółka?

MN: Tak.

ZS: A kim był Klarberg?

MN: Klarberg to był nasz daleki krewny. Ale daleki krewny.

YY: Ale był Żydem?

MN: Tak.

ZS: A ten bank jeszcze wcześniej – w którym pracował Pana ojciec – to co to był za bank? On był tam urzędnikiem po prostu, tak?

MN: Tak, tak, tak. Urzędnikiem, ale nie jakiejś wysokiej rangi, ale jako inwalida wojenny to były tam jakieś ulgi w pracy i tak dalej. I to tyle, ile pamiętam ojca. A matka...

ZS: Ale zaraz, to poczekajmy jeszcze z ojcem. On walczył w armii austriackiej. On był ranny. Na którym froncie? Nie wie Pan?

MN: Nie wiem.

YY: Jaka to była rana? Jakież trwałe kalectwo?

MN: Tak. Kolano i właściwie cała noga.

ZS: Jak się nazywał?

MN: Abram Aleksander Nadel.

ZS: Abraham Aleksander Nadel.

MN: Ale w pewnym okresie on był znany jako Eilberg. To wynika z tego, że były przepisy, które w pewnym okresie... ojciec miał nazwisko swego ojca.

ZS: Czyli dziadka.

MN: Dziadka. Ale w pewnym okresie weszły przepisy, że śluby religijne nie były ważne. Ważne były tylko śluby zawarte przed urzędem stanu cywilnego. I wtedy matka tych ludzi... nagle okazało się, że...

MCZ: ... mają nieślubne dzieci...

MN: Tak. Dziad też był w szkole Eilberg...

ZS: Bo on nosił nazwisko po swojej matce, czyli babci?

MN: On nosił nazwisko Eilberg.

ZS: No tak, ale...

MN: Ja jako dziecko wpierw byłem Eilberg.

ZS: E...

MN: E, I, L, BERG. Ale potem kiedy okazało się, że ślub jest nieważny to ja otrzymałem nazwisko Hamer. Po matce. Matka była Hamer z domu.

ZS: Bo rodzice mieli ślub religijny...

MN: No oczywiście. Bo oni byli w zaborze austriackim i tam były normalne śluby religijne. A dopiero jak Polska nastała to nastąpiły pewne zmiany przepisów i ważne były tylko śluby zawarte przed urzędnikiem stanu cywilnego.

ZS: A rodzice brali ślub już jak była Polska czy jeszcze za Austrii? Za Austrii, tak?

MN: Tak.

ZS: Już rozumiem.

MN: W 1918 albo w 1917 roku brali ślub. Jeszcze przed wyzwoleniem Lwowa. A ja byłem Hamer w szkole. A następnie ojciec musiał zmienić swoje... ojciec się ożenił z matką... ale z kolei okazało się, że ojciec jest nie Eilberg tylko Nadel. Ponieważ dziadek już nie żył i dziadek nie mógł zawrzeć z babcią ślubu więc ojciec nagle stał się Nadel a nie Eilebrg. To było powszechne. I wiedziałem, że po tym jak byłem Hamer zostałem uznany za Nadel. Tak było w okresie szkolnym.

ZS: W okresie szkolnym rodzice zatwierdzili ten ślub przed urzędem stanu cywilnego?

MN: Tak. I ja zostałem nagle Nadel.

ZS: Czyli Nadel to było nazwisko babci ze strony ojca?

MN: Tak.

ZS: A czy ojciec był osobą religijną?

MN: Tak. Tradycyjny... nie był takim konserwatystą, ale po prostu tradycyjny Żyd. Przestrzegał w miarę możliwości nakazy, soboty, święta. W domu dbał o tym, żeby była koszerna kuchnia. Ale nie był jakiś specjalny... dzieci do szkoły polskiej chodziły. Normalny.

ZS: A jak się ubierał?

MN: Inaczej się ubierał na święta a inaczej na co dzień. Na co dzień do nosił taki ciemny kożuszek, taki styl sportowy no i kapelusz. A w dni świąteczne to miał w sypialni specjalny ubiór.

ZS: Jak wyglądał ten ubiór?

MN: Taka bekiesza taka długa i inny kapelusz, tak...

ZS: Ale kapelusz był z rondem?

MN: Z rondem.

ZS: A bekiesza była czarna?

MN: Tak, tak, tak. Czarna, ciemna. No i to trwało do wybuchu wojny... wojna wybuchła – ja nie wiem, czy Państwo wiecie, że Niemcy byli pod Lwowem, doszli do Lwowa i stanęli na obrzeżach miasta, trwały walki o zdobycie miasta i oni zdobyli takie wzgórze, tzw. Wzgórze Stracenia... tam spod dworca ich wyparli i dziesięć dni trwały te walki. Także centrum było w rękach polskich, naszych, a oni byli na wzgórzach. I oni na tych wzgórzach ostrzeliwali nie raz... po dziesięciu dniach, myśmy byli w schronach, to nagle była taka wieść, że Rosjanie idą nam na pomoc. I tam podawali, że Armia Radziecka wkracza nam na pomoc. I tam było, że po to, żeby wyzwolić te ziemie. I myśmy tego nie rozumieli bo tu chodziło o wyzwolenie jako ukraińskiej... i było jeszcze takie ogłoszenie publikowane, żeby wszyscy cywile opuścili miasto w kierunku na południe, przez Łyczaków, bo miasto będzie atakowane jako wojenny obiekt. No i to była panika tragedia. Jedni postanowili wyjść z miasta a inni postanowili, że co będzie to będzie. No i moja rodzina postanowiła zostać tym bardziej, że mój ojciec był inwalidą. I były małe dzieci. Także myśmy zostali w schronie. No i była noc, cisza – bo normalnie w nocy to były strzelaniny – i jest cisza, nad ranem, wbiega taki żołnierz: „koniec wojny”. Dosłownie: „koniec wojny”. Radość, wpierw zrozumieliśmy, że Armia Czerwona weszła a Niemcy się wycofali. I tak było. Ale słysząc było z daleka jeszcze serię strzałów z karabinów maszynowych.

MCZ: Ale to było w 1939 roku?

MN: Tak, tak. No i była cisza i po kilku godzinach nagle maszerują oddziały rosyjskie. No i wyglądali... chyba wiecie, wyglądali bardzo niekorzystnie, zachowali się bardzo

niekorzystnie. I jak ich witali to oni jeszcze serie do tłumu... Tam jeszcze w Łyczakowie były punkty oporu... i wszyscy traktowali ich jak wybawicieli, bo wyobrażali sobie, że jak Niemcy wejdą, to oni sobie najgorsze wyobrażali. No i wtedy młodzi ludzie... We Lwowie była mała grupa komunistów bo większość Żydów to byli raczej... były całe ugrupowania asymilantów, którzy twierdzili „jestem Polakiem wyznania mojżeszowego” – byli syjoniści różnej barwy, różnych ugrupowań, byli syjoniści prawicowi, lewicowi. Oni twierdzili, że musimy być jak inne narody.

YY: Ale Bund też był silny we Lwowie...

MN: Nie. We Lwowie byli bardzo słabi.

YY: Ale Panie Michale, jak się zaczęła wojna to Pan był już młodzieńcem...

MN: Ja – nie ma na to dowodu, ale... – ja brałem udział jako młodzież harcerska... i właśnie te oddziały żydowskich harcerzy to brały udział w pogromie.

YY: Ale niech Pan nam jeszcze powie, jak było w dzieciństwie... Na przykład jak było w Szabas? Pamięta Pan jakieś kulturalne wydarzenia przedwojenne, w których Pan...

MN: Doskonale pamiętam.

ZS: Panowie, wróćcie, wróćcie... bośmy się znowu zapędzili!

MN: No to było tak, że ta mała grupka tych komunistów to oni z radością witali, wstąpili do milicji, ale większość Żydów widziała, że to jest nieszczęście. Mój ojciec miał wtedy 54 lata, to był człowiek energiczny dość, załamał się zupełnie. Ale zupełnie. Przestał wychodzić na ulicę nawet. A jak obok nas były te koszary i oni szli i śpiewali te swoje pieśni, to ojciec zamykał okna.

YY: Ale to Polacy witali tak Armię Czerwoną? Z radością?

MN: No tak – przed Niemcami. A Żydzi się bali szczególnie, że Niemcy mordują. Bo były wiadomości, że oni mordowali. Ale w ogóle całe społeczeństwo witało z radością... nie wiedziało w pierwszym okresie, o co tu chodzi... Bo myśmy myśleli, że oni przyszedli z pomocą, że oni doszli do tego układu politycznego.

ZS: A Pan powiedział, że ojciec się załamał. A jakiego on był w ogóle usposobienia?

MN: Znaczący normalny Żyd. Nie pracował w soboty właśnie, chodził do synagogi bo to były synagogi postępowe, bo tam nie tylko modlitwy uprawiali a były takie małe synagogi – one się nazywały izdebki, takie izby – więc wiem, że ojciec tam chodził i oni zbierali się... to po hebrajski się nazywa Szalosz Seudot Takie trzy potrawy. Pierwsza potrawa to był piątek wieczór, druga to był w sobotę obiad, i ta między obiadem a kolacją, to była ta trzecia biesiada... to taki klub tradycyjny. Przy śledziku. Z wódką. Siedzieli, śpiewali – tak jak u nas teraz się tutaj dzieje.

YY: A co śpiewali – pamięta Pan?

MN: Te tradycyjne takie wyjątki z psalmów, takie... takie melodie nawet niektóre pamiętam.

YY: Niech Pan zaśpiewa...

MN: W tej chwili to... Ja się nie nadaję.

ZS: Niech Pan zanuci...

MN: Nie, ja sobie tam czasem przypominam i potem to poprawiam. Bo oni teraz kultywują te tzw. niguny. To są te melodie śpiewane, ale ja osobiście jako chłopak to nie chodziłem tam do tej synagogi. Tylko myśmy tam się zbierali, koledzy i koleżanki, i tam na wzgórzu... no bo ja byłem w takiej organizacji harcerskiej, żydowskiej.

ZS: Haszomer Hacair?

MN: Nie. Ja byłem w Akiba.

ZS: W Akiba?

MN: To była taka młodzież religijna, ale religijno-narodowa.

YY: Czyli syjonistyczna?

MN: Tak. Ja byłem uczniem, jako chłopak, jako dziecko w szkole podstawowej – hebrajskiej...

ZS: Prywatnej?

MN: Prywatnej. To były cztery lata, po czterech latach się szło do szkoły normalnej, powszechnej. I ja ukończyłem tą szkołę podstawową. Dla mnie to była tylko szkoła raczej żydowska. Bo ona była o imieniu Kona.

ZS: Kto to był Kon?

MN: To był jakiś działacz. No i po ukończeniu tej szkoły miałem wstąpić do gimnazjum, też prawda publicznym, ale wtedy dostałem zakażenia krwi... kupili mi buty i ja sobie zatarłem nogę butem i wstąpiło ogólne zakażenie. I wtedy był problem: co robić ze mną dalej? Ponieważ ja byłem w tej organizacji harcerskiej syjonistycznej – ja uparłem się, że pójdę do szkoły zawodowej – bo to był taki prąd u nas: *Jihie ke col ha goim* to znaczy: „bądźmy jak wszystkie inne narody”. To znaczy bądźmy narodem tak samo jak wszystkie inne. Nie bądźmy tylko narodem kupców, tylko bądźmy jak inne narody.

ZS: To po hebrajsku jest *Jihie ke col ha goim*?

MN: *Jihie ke col ha goim* - Bądźmy jak wszystkie narody. I ja uparłem się, że tylko do tej szkoły. Zawodowej.

ZS: A kim Pan chciał być z zawodu?

MN: Mechanikiem. No i tą szkołę ukończyłem jako technik metalowy. I po tym jak ukończyłem szkołę pracowałem w zakładach Gasper. Prawdę mówiąc to... byłem młody, tu mi się nie podobało. Było lato to się chciało pójść...

YY: Na dziewczyny...

MN: Na wysoki zamek. Na pływalnię, ja byłem też sportowcem. Także solidnie to ja zacząłem pracować dopiero u tego Gaspera. To była wytwórnia rowerów i wag. Wcześniej pracowałem w zakładach galanterii metalowej. Ale szlachetnych – to była wytwórnia galanterii metalowej z metali szlachetnych.

YY: To znaczy koraliki, biżuteria?

MN: Nie, nie, nie. Myśmy robili komplety zastawy stołowe, srebra - ręczne roboty to były. To były zakłady Neumana i tam pracowałem.

ZS: Ale to była ręczne robota?

MN: Ręczna. I ten eksport do Anglii.

ZS: Zastawy stołowe...

MN: Tak.

ZS: I przede wszystkim srebrne?

MN: Tak.

YY: I jaką metodą?

MN: Galwanizacji. Ale to było srebro – galwanizowali tylko zewnętrznie, żeby był inny kolor, ale...

YY: Oczywiście. A dużo Pan zarabiał?

MN: Groszowe. Tylko nadzieja, że jak się wyuczę to będę miał zawód. Ale przy okazji ja tam szedłem pracować jako mechanik, bo oni tam robili... to się nazywało sznyty, tam we Lwowie.

YY: Sznyty, u nas też były matryce.

ZS: Ale matryce do czego?

YY: No na przykład na widelec.

MN: No na przykład takie łyżki. Najpierw się wybijało a potem się dopiero obrabiało. Natomiast jeśli chodzi o czajniki, cukiernice itp. to się robiło ręcznie, zupełnie ręcznie. To było ręcznie. Tak to trwało do wojny. Wtedy myśmy szli ochotniczo do obrony Lwowa i mieliśmy taki obiekt: „Dublany”, Wyższa Szkoła Rolnicza „Dublany” to było pod Lwowem i to był taki punkt oporu i nas tam kierowali.

ZS: A ta szkoła zawodowa to była państwowa czy żydowska?

MN: Państwowa.

ZS: A synagoga była gdzie?

MN: Synagog było dużo.

ZS: Ale nie, ta synagoga, gdzie Pański ojciec chodził...

MN: Ojciec chodził do synagogi na ulicy Żółkiewskiej, to była postępową synagoga. I tam ojciec. No i to było tam niedaleko jak mieszkaliśmy.

ZS: Ale Pan chodził tylko na tą trzecią wieczerzę, tak?

MN: Tak, albo się tak pomodlić. W piątek wieczorem, czasem... w ten sposób.

ZS: A jeśli chodzi o matkę?

MN: Matka była taką kurą domową. Matka miała w domu dużo pracy bo była liczna rodzina. Siedmioro. Ja byłem najstarszy - pięciu synów i dwie córki.

ZS: A wymieniliby Pan ich wszystkie imiona?

MN: No pewnie.

ZS: To bardzo proszę.

MN: Mój drugi brat to był Wilhelm, młodszy ode mnie jakieś dwa lata. Potem był Anszel. Potem był Szalem. Może ja dam to nazwisko. Bo między rodzicami były w pewnym okresie takie niesnaski. I jak on się urodził to ja powiedziałem, żeby się nazywał Szalem, bo Szalem to znaczy pokój.

YY: No ale skąd Pan to wziął?

MN: Ja znałem hebrajski, szkoła podstawowa – co sobotę było w języku hebrajskim.

ZS: Po Szalomie był?

MN: Michael.

ZS: On był Michael a Pan był?

MN: Ja byłem Mosze. Ale nazwali mnie Misza. I w Armii Radzieckiej zostałem Michałem.

ZS: Ale wtedy był Pan jeszcze Mosze?

MN: Mosze, tak, ale koledzy nazywali mnie Miszka.

YY: Ładnie, ładniej niż Mosze.

MN: Nie, ale to... myśmy się nie posługiwali językiem żydowskim. Ja go mało znam. Znam bo rozumiem wszystko, ale mówić mi trudno.

ZS: Ale w domu mówił Pan po polsku – z rodzicami też?

MN: Po Polsku. Ale z rodzicami nie.

ZS: A oni między sobą?

MN: Po żydowsku. Ale z nami to różnie bywało. Ale dzieci między sobą – po polsku. Tylko. I z kolegami – tam w relacjach harcerskich tak samo: tylko po polsku.

ZS: A jak oni wydawali takie biuletyny, to wydawali raczej po hebrajsku czy po polsku?

MN: Po polsku. Bo hebrajski to mało ludzi znało. Hebrajski to był taki język...

YY: ...religii.

ZS: Wtedy też się zaczynał robić takim językiem syjonistów zapalonych...

MN: Tak, tak.

ZS: A Haszomer Hacair publikowało po hebrajsku – to nie było „przeprós”, że ktoś tam nie umie... Bo ci z Haszomeru jak publikowali to publikowali po hebrajsku?

MN: Różnie. Na pewno wszystko to nie, bo nie było odbiorców. Mogło być tak, że część po hebrajsku a część po polsku...

YY: Bo gazety to były w Jidysz?

MN: Gazety! Ale takie różne wydawnictwa to były różne. Była taka gazeta „Chwila” – syjonistyczna ale po polsku. Po dziś dzień jest w archiwach. O był poważny, bardzo poważny dziennik.

YY: A w domu rozmawialiście o tym, żeby wyjechać do Palestyny?

MN: Więc moi rodzice nie: z uwagi na warunki zdrowotne i warunki materialne. A żeby taka duża rodzina wyjechała do Izraela to musiała mieć bardzo mocne oparcie materialne. No i ojciec tam nie miałby żadnego istnienia – on był inwalidą.

ZS: Ale w ogóle była taka chęć? Myślało się o tym?

MN: To znaczy ja osobiście przygotowywałem się od najmłodszych lat do wyjazdu.

ZS: A jak Pan sobie wyobrażał Palestynę?

MN: Wtedy mieliśmy kibuce budować – wtedy Palestyna była pustynią i bagnami. Tam były bagna a poza tym pustynie, teren pustynny i tereny północne to były takie raczej bardziej umiarkowane. A te tereny przy Jordanii to był tropik.

YY: Ale to Pan teraz wie – ale wtedy, jak Pan był tym młodym człowiekiem, w harcerstwie, to jak Pan sobie to wyobrażał? Jak Pan pojedzie do Palestyny?

MN: Myśmy to wszystko wiedzieli.

ZS: A skąd wiedzieliście?

MN: Mieliśmy takie różne broszury i u nas byli koledzy, którzy mieli wyznanie... po prostu czytało się, dużo czytało się.

ZS: Ale czy było tak, że ktoś przyjechał opowiadać jak tam jest? Czy było tak, że jak się już wyjechało to...

MN: Nie.

ZS: Czyli nie spotykaliście się z nikim, kto już tam był i opowiadał jako świadek i zachęcał was do wyjazdu?

MN: Nie, nie, nie. Były tylko organizacje i były zjazdy organizacji. I wtedy możliwe, że były tam jakieś... Wyjeżdżali pamiętam starsi ludzie, jacyś tam działacze, którzy mieli jakieś tam zebrania i oni prowadzili propagandę.

YY: Agitowali.

MN: Tak. Był taki rabin Fiszman. Taki działacz międzynarodowej miary i ja jako harcerz byłem mu przydzielony jako ochrona, ja i taki Aldek Lutwak. Jako taka trójka przydzieleni byliśmy. Nawet w tym hotelu, gdzie on spał, myśmy tam byli.

ZS: Kiedy on przyjechał do Lwowa z tą wizytą, na ten zjazd, tak?

MN: Tak, tak.

YY: No to miał Pan wyróżnienie...

MN: Prawdę mówiąc to ja byłem w Komendzie.

YY: No to był Pan szycza w tym harcerstwie.

ZS: A w jakim to było roku, kiedy rabin Fiszman przyjechał do Lwowa?

MN: Nie pamiętam, ale mniej więcej ja miałem wtedy 14, 15 lat.

ZS: Czyli koniec 20. lat?

MN: 15, 16 może, jakoś tak.

ZS: 30. tych już.

MN: To były lata 30.

ZS: Połowa 30. ale chciałam zapytać jaka była taka koncepcja polityczna na Palestynę? Bo każda organizacja miała swoją koncepcję na Palestynę.

MN: Tak, tak. Więc moja ekipa miała koncepcję religijną i narodową. Bo myśmy się opierali na przepisach Biblii, która ma dużo socjalnych nakazów. Nie wiem, czy Pani się orientuje, że tam są takie nakazy, że nie wolno zbierać z pola, z obrzeża, bo to ma być dla biedaków. Siódmego dnia nie wolno zatrudniać nikogo – czy Żyda czy nie-Żyda – wszyscy mieli odpoczywać. Jeżeli ktoś był zadłużony to po siedmiu latach dług był umorzony. Tam był cały szereg socjalnych zabezpieczeń w Biblii. Myśmy się opierali na tych nakazach oczywiście przyjmując postęp i obecne stosunki.

ZS: Państwo socjalne, żeby powstało, tak?

MN: Tak.

ZS: A jeśli chodzi o niepodległość?

MN: Niepodległe państwo. Oczywiście, że tak. To nawet nie było wątpliwości żadnych. Zresztą w Palestynie tam było 450 tysięcy Arabów – nie więcej. W całym kraju. I to byli ludzie – połowa to byli wędrujący. A część – tzw. Falachy - to byli pańszczyźniani. To było kilka takich bogatych, zamożnych Arabów, szejków, którzy mieli latyfundia i ci Falachy byli u nich.

ZS: Falachy to jest to samo, co dziś Falasze?

MN: Nie wiem.

ZS: To byli chłopci po prostu?

MN: Tak. To znaczy oni nie mieli nawet godności tylko byli zatrudniani...

ZS: Najemni?

MN: Na tych latyfundiach.

ZS: A jaka miała być droga uzyskania tej niepodległości?

MN: Budowanie. I odkupienie ziemi.

ZS: Czyli poprzez wykupienie i emigrację i zwiększanie liczby ludności...

MN: Tak. Była tam specjalna organizacja, Keren Kajemet LeIsrael, którzy zbierali datki od Żydów na całym świecie na ten fundusz wykupu i potem był jeden Keren haJesod. To był fundusz na urządzenie już tam na miejscu. Na założenie tam jakiś osiedli i tym podobne. I nie było mowy... była jakaś organizacja rewizjonistyczna, pod przywództwem Żabotyńskiego, i oni mieli też jakby organizację młodzieżową, harcerską, nazywało się to Brit Trumpledor.

ZS: Betarowcy, tak?

MN: Tak, i oni już byli nastawieni na...

ZS: Walkę zbrojną, tak?

MN: Tak. Wtedy była mowa raczej o Anglii.

ZS: Bo jeżeli Państwo mówili o odkupieniu to od Arabów? Tej ziemi.

MN: Od Arabów. Bo nie sprzedawali ci Felachowie, tylko ci szejkwowie. I oni często nawet tam nie mieszkali.

ZS: I chodziło o to, że im nie zależało więc można było od nich odkupić? Nie było to trudne?

MN: Nie.

ZS: A czy Betarowcy utrzymywali z wami jakieś kontakty?

MN: Tylko oddzielne, pojedyncze organizacje.

ZS: Ja wiem, ale chodzi mi o to, że to wszystko były jakieś organizacje syjonistyczne i pytam o to, czy między nimi były jakieś dyskusje?

MN: Oficjalnie nie. Tylko po znajomości – jak się znało kogoś tam to się dyskutowało.

ZS: Pan się znał z takimi ludźmi z innych organizacji?

MN: Tak, oczywiście, że tak. Ze szkół itd.

ZS: No i jaki był pomysł – jak powstanie już państwo to jak się wszyscy...

MN: Betarowcy oni chcą państwo na obu stronach Jordanu. Nawet mieli tam już ziemię. I takie powiedzenie: „Człowiek ma dwie ręce i ta jest moja, i ta jest moja. A Jordan ma dwa brzegi – jeden i drugi jest nasz”.

ZS: A czy mieliście koncepcję – jak już będzie to państwo, to jak... bo przecież różne organizacje miały różne koncepcje. Jedni mówili, że ma być świeckie, inni, że...

MN: No więc każdy miał swoje. Tam była lewica i prawica. Lewica była skrajna, komunistyczna, a lewica była umiarkowana.

ZS: Czy była jakaś taka koncepcja jak już to państwo powstanie to jak się wszyscy między sobą dogadają? No jednym słowem, jak jedni chcą państwa świeckiego a drudzy religijnego to coś z tym trzeba będzie zrobić.

MN: Nie... nie mówiło się o tym. Chodziło o to, żeby odzyskać państwo. Ale tam już na terenie samej Palestyny to były kibuce. I tam były kibuce lewicowe, ale też lewicowe i religijne. A z kolei były kibuce w pełni skomunizowane, gdzie dzieci były oddane do wychowania kolektywnego. I byli zupełni ateści. I były kibuce takie zupełnie drobnomieszczańskie. To były takie osiedla – one się nazywały Moszawot. To imigranci kupowali tam ziemię i zakładali tam spółki...takie wsie - Moszawot. Na własności prywatnej, indywidualnej, z tym, że tam były kooperatywy.

ZS: Wie Pan, bo ja o to pytam też dlatego, żeby się dowiedzieć na ile to był konkretny plan – zdobycie państwa – a na ile to były takie wizje i marzenia. Dla ludzi, którzy to tworzyli – nie politycznie, ale dla was.

MN: Nie, dla nas to było marzenie, żeby mieć państwo, jak każde inne państwo: wolny, jak wszystkie inne narody. I nawet śpiewali: własni wariaci, własni więźniowie. Normalne państwo.

ZS: I jak miała być zorganizowana władza w takim państwie?

MN: Każdy sobie wyobrażał, że tak jak jego organizacja chce.

ZS: A Akiba?

MN: Państwo oparte na socjalnych zasadach, ale religijne.

ZS: A co miałoby się stać z Arabami?

MN: Wtedy nie było problemu. Tam było 400 tysięcy Arabów. Nie więcej. Dopiero kiedy Palestyna zaczęła się rozwijać gospodarczo i ekonomicznie to pod wpływem napływu kapitału i kolonistów to zaczęli przybywać Arabowie z terenów...

ZS: Głębszych?

MN: Tam z Jordanii, z Libanu – dopiero wtedy zaczęły napływać te elementy.

ZS: Rozumiem.

MN: No i oni się mnożą strasznie. Tam mąż ma kilkoro żon i oni się bardzo szybko mnożyli. Ale przede wszystkim była emigracja, bo tam był dobrobyt dla nich. Tam była praca i tam zatrudniali ich. Te kolonie, prywatne kolonie Żydów – te Moszawot - oni zatrudniali Arabów przecież.

ZS: Jako siłę roboczą?

MN: Jako siłę roboczą – tak.

ZS: Dlaczego Pan nie wyjechał w końcu do Palestyny?

MN: Zaraz powiem. Były ograniczenia wyjazdów. Anglia ustalała pewne limity. W tym roku tyle może przyjechać, w tym roku tyle a w tym roku tyle. I trzeba było w kolejności wyczekiwać. Nie mówiłem Pani jeszcze, że tutaj w kraju były takie placówki przygotowawcze do wyjazdu do Izraela. To się nazywało hachaszchara. To było przygotowanie do warunków życia w Izraelu, w tych kibucach. I to było w różnych folwarkach, w różnych – oni zatrudniali członków tych naszych organizacji.

ZS: A przepraszam, to były tylko folwarki żydowskie?

MN: Nie. Nie tylko.

ZS: Czyli polskie też?

MN: Też, też, też. Do tego słaba siła robocza, ideowcy. Studenci. I dopiero po ukończeniu tych...

ZS: Hachszary...

MN: ...ustawiało się w kolejce do wyjazdu. Ja byłem daleko w tej kolejce, bo tam byli starsi ode mnie, ja byłem młodszy. Ale kiedy już miałem wyjechać w pewnym momencie na hachszarę

ZS: Pan był na hachszarze?

MN: Tak. Ja byłem tam koło Delatynia, czy jak to się tam nazywa.

ZS: I jak taka hachszara wyglądała?

MN: No normalnie, jak na folwarku. Spało się w najgorszych warunkach... no: prymityw.

ZS: I czego się Pan tam uczył?

MN: No ziemie... wszelkie roboty, jakie tam mieli...

ZS: Przy gospodarstwie, na roli?

MN: Tak.

ZS: I jaka grupa młodzieży tam wtedy wyjechała?

MN: No to tam różnie, jedni byli, jedni wyjeżdżali...

ZS: Ale żeby to odbyć... bo ta hachszara dawała możliwość wyjazdu? Możliwość pozwolenia na wyjazd?

MN: Certyfikatu.

ZS: Czyli można było dostać papier, że się ją odbyło, zaświadczenie...

MN: Nie: organizacja kierowała.

ZS: Czyli od Akiby Pan dostał?

MN: Tak, Akiba miała pewne umowy z tymi folwarkami i podsylała tam grupy ludzi.

ZS: I jak długo Pan tam był?

MN: Nie, ja nie byłem tam długo. Bo ja byłem mechanikiem i liczyłem, że ja będę i że się tam wyspecjalizuję... Trzy miesiące, czy jakoś tak.

ZS: Trzy miesiące? To sporo.

MN: Byli dłużej. W zasadzie to był półroczny.

ZS: Pamięta Pan coś z tego okresu?

MN: Wieczorem zbieraliśmy się i śpiewaliśmy przy ognisku. I to było wszystko. Wcześniej rano – no jak chłopci, no normalnie, jak parobki.

ZS: Jakie piosenki się wtedy śpiewało?

MN: O ja znam dużo.

ZS: No ale mnie więcej?

MN: Jakies takie organizacyjne. No na przykład były: no taka podstawowa [*śpiewa*]. Chodziło o to, że my – bo emigracja do Izraela nazywała się alija - chodziło o to, że my jedziemy do kraju ze śpiewem i z radością. To taka znana. Masa takich piosenek. To ja bym sobie musiał przypomnieć, ale ja to pamiętam.

ZS: One były głównie po hebrajsku?

MN: Po hebrajsku. Więc wtedy były popularne, w tych wszystkich organizacjach, chora. Z kolei tam była dzika chora i zwykła chora. Chora polegała na tym, że się gromadziliśmy i trzymaliśmy za ramiona i tańczyło się. Na przykład taniec polegał na tym [pokazuje].

ZS: I do tego się śpiewało?

MN: Tak, śpiewało się. Z tym, że to...

ZS: Coraz szybciej.

MN: I była dzika chora i to wtedy cztery osoby najwyżej brali się tutaj pod pachy i coraz szybciej, coraz szybciej w wir. To było pod melodię, ale to w tej chwili nie do pomyślenia dla nas.

YY: Ale to dziewczyny i chłopaki?

MN: Tak, tak.

ZS: Bo ta hachszara była koedukacyjna?

MN: Wszystkie organizacje były koedukacyjne.

ZS: I Akiba też była koedukacyjna?

MN: Tak, też, to samo.

ZS: Bo słyszałam, że Haszomer Hacair mieli osobne drużyny – oni się często spotykali, ale mieli osobne drużyny.

MN: Kto to mówi?

ZS: Pani Andrzejewska. Że oni mieli dwuszczepowy... że teoretycznie były dwa oddziały – męski i żeński – ale, że na obozy wyjeżdżali razem.

MN: Nie, we Lwowie: nie.

YY: Panie Michale, a kiedy się Pan z dziewczyną pierwszy raz umówił?

MN: Ale ja się nie musiałem umawiać bo myśmy byli w organizacji razem.

YY: Ale nie chodzi 'razem', tylko ta jedna...

MN: No wychodziliśmy tam z lokalu – całowaliśmy się wzajemnie, tam na tej górze Lwowa.

YY: Ale kiedy Pan miał tą pierwszą sympatię?

MN: To była taka Helena – nazywaliśmy ją piękna Helena. Wtedy miałem trzynaście lat i miałem się przygotowywać do Bar Micwa i wtedy ojciec płacił tam takiemu nauczycielowi, który miał przygotować do tego Bar Micwy... że trzeba odmawiać jakieś specjalne modlitwy i tam w synagodze... no to jest tam duże święto. I ja zamiast chodzić tam do tego belfra to myśmy się zbierali tam na tej Górze Stracenia...

ZS: Gdzie to jest?

MN: Nazywało się to Chytra Góra. Ale tak normalnie to się mówiło Góra Stracenia. Tam stracili czterech powstańców styczniowych. I tam był ten pomnik i dlatego się nazywała Góra Stracenia. No i myśmy się tam spotykali no i różnie...

YY: Ale niech Pan od tej Heleny nie ucieka...

MN: No więc my – koledzy i dziewczęta – myśmy się zbierali na tej Górze Stracenia i była kiedyś kopalnia piasku. I pozostały hałdy. I pamiętam, że myśmy skakali z tych hałd w górę, kto dalej skoczy. No i Helena temu, kto najdalej skoczy – ona tego całowała.

YY: I Pan najdalej skoczył?

MN: Byłem najdalej. A potem inny kolega. Goldfinger Zawyk. On później zginął w Londynie. Bo on studiował w Londynie i później tam w lotnictwie był. To piękny chłopak, wysoki... dowiedziałem się od jego ojca, że on zginął. No to on był jej w zasadzie. No ale myśmy wszyscy się w niej kochali.

ZS: A on w niej też?

MN: Tak, też.

ZS: Ile wtedy mieliście lat?

MN: Ja trzynastcie. Ja dochodziłem trzynastu lat. Bo pamiętam, że potem miałem wielkie awantury, że ja nie chodziłem do tego...

YY: A jak ojciec karał Pana, jak Pan coś zrobił źle?

MN: Jedyną karą za to było o tak...

ZS: Ucierał ucho?

MN: Wyciągał mnie. I pamiętam jak babcia przyjeżdżała – babcia mieszkała w Zółkwi - i to jak ojciec nie chciał spełnić naszej prośby czy coś, to „ja ci uszy wyrwę” – ona tak mówiła. I ona jeszcze miała matkę. A tamta matka miała jeszcze siedem pokoleń.

ZS: Co to znaczy 'siedem pokoleń'?

MN: Ona była prababcią siedmiu pokoleń. I mieszkała samodzielnie...

ZS: W Zółkwi też?

MN: Nie, nie. To matka. A ona... nie mogę sobie przypomnieć w tym momencie. Gdzieś tam w jakiejś mieścinie, tam...

ZS: To była Pana prababcia?

MN: Mój ojciec to był najmłodszy...

ZS: Jej wnuk?

MN: ... ale starsze rodzeństwa miały już wnuków itd.

ZS: A pamięta Pan... Pan ją znał?

MN: Babcię znałem. Prababcię nie.

ZS: A babcię?

MN: Babcię pamiętam – dokładnie.

ZS: Opowie Pan coś o babci?

MN: Wiem, że ona samodzielna była i miała skład artykułów budowlanych. W rynku miała taki samodzielny domek miała. Pomimo wieku sama sobie była. Samodzielna.

YY: Dziadek już nie żył?

MN: Dziadek już nie żył.

ZS: Jak ona się nazywała?

MN: [...]

ZS: Bo to była ojca mama?

MN: Ojca.

ZS: Czyli to była babcia Eilbelgerowa?

MN: Tak.

ZS: I ona do was przyjeżdżała?

MN: Ona była Nadel!

ZS: Ona była Nader – dobra.

MN: I ona przyjeżdżała do nas w gości.

YY: A Pan do niej jeździł?

MN: Raczej nie.

YY: A jak były wakacje to gdzie Pan jeździł?

MN: No to tam była koło Lwowa taka miejscowość Pruty – taka wieś. Tam mieliśmy takich krewnych, oni tam mieli ziemie. To byli rolnicy. Diamant się nazywali. I tam do nich jeździliśmy.

ZS: I się jeździło na całe lato?

MN: Na dwa miesiące. Na miesiąc, na dwa miesiące – różnie było. Zależało od warunków. A poza tym raz byłem na kolonii z organizacji. Tam była koło Czortkowa taka miejscowość i tam mieliśmy taki obóz.

ZS: A wracając do rodzeństwa, bo od tego zaczęliśmy jakiś czas temu...

MN: Ja byłem najstarszy. Bo ten mój następca, ten po mnie, Wilek... urwis. Uciekał ze szkoły. Był straszny. I tam były – nie było wtedy samochodów tylko były wozy – i on się zapoznawał z takimi różnymi innymi urwisami i on był szczęśliwy, jak oni mu pozwalali jeździć takim wozem. A jeszcze jeśli pozwalali mu jeździć na koniu, no to już w ogóle. I on był młody człowiek... dziecko jeszcze i awantury były niesamowite. Nie chodził do szkoły tylko uciekał na wagary do nich. I ojciec go dał na naukę zawodu, bo on chyba ukończył szkołę powszechną i dalej do nauki zawodu.

Rozmowa z Michałem Nadlem

Przeprowadzona przez Zuzannę Solakiewicz

Łódź, 15.11.2004

MN: Ja tylko widziałem tutaj takie 'ziarenko' miał (Wilek) – takie znamię. Ale bardzo przystojny. I piękny głos miał. I dowiedziałem się, że we Lwowie, jak Niemcy przyszli, to on był w obozie w Janowie, był obóz Janowie we Lwowie.

ZS: Tak.

MN: I dzięki temu, że tak pięknie śpiewał tam u Niemców miał jakieś fory. Ale mam wrażenie, też dowiedziałem się, że jemu pomagali też bokserzy z Hasmonei – to był klub sportowy Hasmonea.

ZS: Tak.

MN: Ja tam byłem w tym klubie też.

ZS: Pan był też bokserem?

MN: Nie. Ja byłem od piłki nożnej. A poza tym był gimnastykiem. Było takie gimnastyczne towarzystwo – tak jak Sokół - i tam on się zajmował gimnastyką. I moi koledzy z tego klubu jemu pomagali i ułatwili mu pracę.

ZS: W tym obozie?

MN: I jemu się właśnie przydała znajomość koni. I woził im prowiant tam z miasta do obozu.

YY: Przeżył wojnę?

MN: Wiem od kolegów, którzy tam byli, że on zachorował tam na tyfus i potem doszedł do zdrowia i był dalej tym woźnicą. Aha, i tam jeszcze był wtedy mój najmłodszy braciszek. Ten Michał. To był też urwis. Jak byli wtedy Niemcy i nie było chleba, niczego – tam była jedna piekarnia w okolicy, która piekła chleb... tam były szalone kolejki, oni w nocy piekli a wszyscy stali w kolejce i czekali na wypieki... to była makabra – to ten Michał właśnie, on miał wtedy nie wiem... dwanaście lat, jedenaście... to on się wykradł ze szkoły i tam w kolejce za tym chlebem stał.

ZS: A Michał przeżył wojnę?

MN: Nie, on też nie. Więc brat też szycował się z miasta do obozu...

ZS: Bilet...

MN: On był takim cichym... i kiedy on zaczął zbierać do ucieczki z bratem i tam dokumentację, to pewnego dnia on wrócił do obozu i nie było już braciszka.

ZS: Małego?

MN: Małego. I on wtedy się załamał i poniechał wszystkich tych planów.

YY: A co się z nim stało?

MN: Zginął.

YY: Ale jak zginął?

MN: Nie wiem, nic nie wiem.

ZS: A ktoś z rodzeństwa przeżył?

MN: Nikt. Bo ja byłem – mówiłem już o tym – w Armii Radzieckiej. Jak Rosjanie weszli, to ja pracowałem wtedy w tym zakładzie prywatnym Neumana, który został uspołeczniony jako spółdzielnia pracy – tam, gdzie pracowałem – i to trwało do października 1940 roku. W październiku 1940 roku – pobór do wojska. Roczni 1917, 1918, 1919 mieli się zgłosić do poboru i nie było rady. Mogłem wtedy – bo wtedy były takie organizacje konspiracyjne, gdzie dostawali się do Wilna i stamtąd do Izraela – ale ja miałem wtedy rodzinę z małymi dziećmi, ojciec też załamany zupełnie. Absolutnie nie nadawał się do niczego. Matka chora i ja nie mogłem zostawić rodziny. I kiedy był ten pobór do wojska to była obawa: jeżeli się nie zgłoszą i uciekną to rodzinę wywiozą na Sybir, jako element...

YY: Wywrotowy.

MN: Ogłosili Lwów jako miasto przygraniczne i każdy kto został uznany jako element niepewny – Sybir. Więc gdybym ja się wtedy nie zgłosił do wojska to...

ZS: Kazachstan.

MN: Nie, niekoniecznie to różnie było. Kazachstan to był dobry jeszcze.

ZS: W 1940 roku Pan do tej armii...

MN: Tak. 18 Października – to pamiętna data. To były wtedy święta – Kuczki, Szałas- i pamiętam ojciec wrócił z synagogi i ja już czekałem, bo miałem tam do tego punktu zbrojnego się zgłosić. I wtedy ojciec z matką mnie odprowadzali tam, i tam z sympatią jeszcze...

ZS: I jak miała na imię ta dziewczyna?

MN: Ania. Mam zdjęcie nawet.

YY: No to super!

ZS: Ale to już była poważniejsza sympatia...

MN: Prawdopodobnie byśmy się ożenili, gdyby nie ta wojna. I ponieważ byłem mechanikiem i miałem dokumenty z tej szkoły, to mnie chcieli do lotnictwa. Tam baza lotnicza za Kurskiem. [nieczytelne] nazywała się miejscowość. O jakie tam perypetie... jak nas tam wieźli, jak myśmy się tam dostali... to naprawdę za dużo do mówienia! I o warunkach, jakie się tam panowały... w rosyjskiej armii chodziło się w kirzowych butach do wody rano

ZS: Kirzowych, czyli jakich?

MN: Bo tam nie było skóry. Jakies tam sztuczne takie, ze smoły... nazywały się kirzowe buty po rosyjsku. One miały tą dodatnią cechę, że nie przemakały. No więc wchodziliśmy tam do wody i tak się człowiek mył. I były tam takie rynienki, do których woda była nalewana i były tam takie kurki, które się naciskało. To było oczywiście na dworze, zimą, bez koszuli, bez niczego. Hartowaliśmy się. No ale byliśmy młodzi. W domu miałem zapalenie gardła – mama płakała... a tam - ja nie chorowałem. I kiedy wojna wybuchła – byliśmy wtedy w samym Kursku – bo tam mieli nas przetransportować i nasza jednostka też się miała wycofać na wschód. Staliśmy na tym głównym dworcu w Kursku – tam był bałagan straszny, chaos, pełno tych składów. I koledzy tam byli – Lwowiacy – i oni postanowili zostać. Myśmy nie wierzyli w to, że ci Niemcy tak mordują.

YY: Ale jak to – to była wasza decyzja? Że mogliście postanowić zostać?

ZS: Nie, to był tłum, prawda?

MN: To był lipiec już i tam naokoło dworca było zboże i postanowiliśmy wejść w zboże i koniec już. Jak Niemcy przyjdą. Namawiali mnie też. Ale ja powiedziałem, że jestem żołnierzem i że nie pójdę już. A tam trzech chłopaków: dwóch Żydów i jeden Ukrainiec. Oni tam mieli zostać i chować się w tym zbożu. I czekać na Niemców. Jak oni doszli do Lwowa – udało im się – i byli u mnie w domu i powiedzieli, że ja zginałem. Bo w tym czasie, kiedy ja tam byłem był nalot na dworzec, cholerny nalot, i te wszystkie wagony spaliły się, cały skład. Był pożar. I oni byli przekonani, że nasz skład też się spalił. I oni powiedzieli w domu, że raczej... wiem, że ojciec nie wierzył w to.

YY: Panie Michale, a jak Pan był Żydem w Armii Czerwonej to Pan się spotkał z jakąś niechęcią?

MN: Ja byłem wysportowany, byłem najlepszy w swojej drużynie...

YY: Ale oni nie wiedzieli, że Pan jest Żydem?

MN: Wiedzieli. Oczywiście, że wiedzieli. Ja tego nie ukrywałem. Nawet pamiętam – tam był taki festiwal muzyki ludowej, folkloru – oni to organizowali i wtedy Kazachy, Kozacy... wszyscy prezentowali swój folklor. Ja prezentowałem hebrajskie piosenki. Ja sobie nie zdawałem sprawy – dopiero później, że tam byli inni Żydzi, ja tam miałem wtedy kolegów gimnastyków i oni we wspinaniu się na sznurach, we wspinaniu się na drabinach byli najlepsi. W strzelaniu byli najlepsi. I to się liczy. Więc ja nie miałem problemów. Ale był taki jeden Żyd z Białegostoku. Taka mamałyga. To on już miał problemy.

YY: Ale nie dlatego, że Żyd, ale dlatego, że mamałyga.

ZS: Ale wyzywano go od Żyda?

MN: Nie... słowo 'Żyd' to tam było karane. Za słowo 'Żyd' to wymierzali karę. Jewrej

ZS: No dobra, ale Jewrej to znaczyło 'Żyd', prawda?

MN: Tak, także były zaczepki.

YY: A w ogóle jeszcze przed wojną, na przykład w szkole, jak Pan jeszcze chodził we Lwowie, w swoim mieście – czy spotkał się Pan z przejawami niechęci?

MN: Ja bym tego nie... No ja w pracy, już wtedy pracowałem, miałem kolegów Żydów i wszystko było w porządku – nie miałem problemów. Natomiast mieliśmy problemy jak żeśmy maszerowali z organizacją, za miastem, w mundurach harcerskich. To wtedy były z tym problemy. Obrzucali nas kamieniami.

YY: Ale kto?

MN: No szczeniacy.

ZS: Ale nie jakieś zorganizowane, narodowe...

MN: Nie, nie. Narodowcy to była inna sprawa – no jeszcze w Polsce, korporacje studentów. No wtedy były takie okresy, kiedy oni, takie grupy całe, wpadali, wyrwali mieli takie laski z żyłkami i byli bohaterami. I kiedy oni docierali do dzielnicy żydowskiej to tam była taka bożnica i oni w tej bożnicy, no i to były najczęściej dzieci tych komisarzy.

YY: A Panie Michale, pamięta Pan życie kulturalne wtedy? Żydowskie. Był przecież teatr żydowski...

MN: Był teatr żydowski. Przy ulicy Kieleckiej [?].

YY: Był Pan tam jako młody chłopak?

MN: Tak, tak.

YY: Pamięta Pan jakieś przedstawienie na przykład?

MN: No były różne, ale ja mało bywałem. No na przykład by polski teatr kiedyś, wielki, piękny budynek. I tam grała ta... w tej chwili już nie pamiętam.

Michał Nadel;

Rozmowa przeprowadzona przez Zuzannę Solakiewicz, Łódź, 01.12.2004

Kaseta 2

ZS: Mówimy o braciach, tak? O Anszelu, Szalomie i Michaelu, tak?

MN: Tak, tak. Oni byli uczniami szkół.

ZS: A kiedy oni się mniej więcej urodzili?

MN: Były takie przerwy dwuletnie prawie, półtora letnie. Ten Wilhelm , był po mnie, więc on mógł być 1919, może 1920 rocznik. Anszel mógł być 1921, 1922 rocznik, mniej więcej. No takie przerwy, półtora roczne, dwuletnie...

ZS: Czyli oni mogli mieć koło piętnastu lat, jak wybuchła wojna?

MN: No jeden miał, ten Wilhelm, Wilek miał osiemnaście lat, dziewiętnaście lat. Tamten mógł mieć siedemnaście lat a potem piętnaście i trzynaście, czternaście... trzynaście lat. Ale chwileczkę, tam były siostry jeszcze...

ZS: No właśnie, bo jeszcze nic nie mówiliśmy o siostrach – była jedna siostra?

MN: Dwie siostrzyczki były. Jedna była najmłodsza, a jedna była chyba między tym Wilhelmem a Anszelem. To ona mogła mieć właściwie... gdyby on miał dwadzieścia lat to ona by mogła mieć... ale ja powiedziałem, że on miał dziewiętnaście lat, to ona miała siedemnaście – tyle mogła mieć.

ZS: Jak one miały na imię?

MN: Ania.

ZS: Ania to była ta młodsza od Wilka, a druga, ta najmłodsza w rodzinie?

MN: Druga, ta najmłodsza to była siostrzyczka, Cecylia.

ZS: Cecylia?

MN: Nie, Cyla – to było podobne to imienia mamy. Ale trochę zmienione, bo u Żydów nie można mieć takiego samego imienia jak imię ojca albo matki.

ZS: Dlaczego?

MN: Dopóki żyją. Po śmierci – tak. Jak się rodzi wtedy dziecko.

ZS: Aha.

MN: Albo nawet wnuki – też nie mogą, przede wszystkim imienia rodziców albo dziadków.

ZS: A jak miała na imię mama?

MN: Cywia, właściwie to ona miała na imię Cywia. A ta najmłodsza miała na imię Czes... Cylia.

ZS: Czesia, tak?

MN: Nie, nie: Cylia.

ZS: A mama z domu nazywała się?

MN: Hamer.

ZS: A proszę mi powiedzieć, jakie były różnice w wykształceniu między braćmi i siostrami – oni chodzili do tych samych szkół?

MN: Nie. Przede wszystkim chłopcy szli – w wieku trzech lat, po ukończeniu trzech lat – to tam były takie uczelnie, które uczyły... to były takie religijne uczelnie. To się popularnie nazywało Cheder. I tam się uczyło ten alfabet hebrajski i potem się uczyło Biblii i potem – dalej z wiekiem – Talmud. To były dla chłopców. Oczywiście to nie kolidowało z nauką w szkole powszechnej.

ZS: No właśnie – to było jak zrobione? Po południu był Cheder?

MN: No to dopóki nie byłem w szkole, do trzeciej godziny – w wieku od trzech do sześciu lat – to były takie poranne. Właściwie cały dzień... z przerwą na obiad. Dzieci trzymano dość krótko. Był obiad, przerwa na obiad, i potem znów powrót do tego Chederu. A potem, od wieku lat siedmiu, do tego chederu chodziło się tylko po obiedzie. Po piętnastej.

ZS: Czyli tak czy inaczej – cały dzień w szkole?

MN: Tak.

ZS: Pan też chodził do chederu?

MN: Tak.

ZS: A gdzie był ten cheder? On był na tej samej ulicy, na której Pan mieszkał?

MN: W moim przypadku był na tej samej ulicy.

ZS: A jak wyglądał ten budynek?

MN: No jak? Budynek. Klasy – tam normalnie, pierwsza klasa... tam nie było takie numeracji w zależności od wieku tylko od treści nauki.

ZS: A jak się nazywały te klasy?

MN: Nie nazywały się w ogóle. Tylko jak już umiałem czytać to przechodziłem... nie: normalnie, żebym umiał czytać wersety biblijne. A potem, na piątym roku, to już się normalnie czytało biblię. I uczyło się na pamięć. A potem na szóstym roku – na szóstym, siódmym roku, w zależności od zdolności dziecka – to się przechodziło na Talmud. A to już wymagało więcej wiedzy, więcej inteligencji i trudniejszy był. No więc były takie klasy... najpierw był Midrasz a potem Gemura, Gemara. I to był najwyższy stopień. Po starohebrajskim to było Gimure a teraz, w nowohebrajskim, to było Gemara.

Bo jest hebrajski sefardyjski i hebrajsko starozakonny. W obu przypadkach te spółgłoski inaczej się odmieniają.

ZS: Bo wie Pan co, w literaturze mówi się czasem, że Cheder to była taka okropna szkoła, gdzie belfrzy bili po rękach itd...

MN: A w szkołach nie było tego? Podstawowych? Zależy gdzie, może w jakiejś małej miejscinie, albo gdzieś nauczyciel walił linijką po rękach. Ja dostawałem we Lwowie linijką po rękach. A ja w Chederze...

[przerwa]

ZS: Zaczęłam Pana pytać o cheder...

MN: No tak. Cheder tym się różnił od szkół, tak jak my teraz myślimy, że nie miał ławek tylko były stoły – po obu stronach – i tam były takie ławy i uczniowie siedzieli. A ten co pouczał nazywał się rabin. Albo mełamed. Mełamed po hebrajsku to jest „ten, który uczy”. I on miał tam takie, gdzie siedział, ale zazwyczaj chodził dookoła. No i on uczył. Ale każdy rabin miał swoje sposoby, swoje systemy nauki. Jeden żądał od każdego indywidualnego czytania a inny chciał chórem. No i czasem się zdarzało, że walił linijką. Ale nie wszyscy. Zdarzali się bardziej wykształceni, postępowi – to jest kwestia charakteru... ale Cheder tym się różnił, że nie było ławek, nie było sali gimnastycznej – tego wszystkiego nie było.

ZS: A czytałam też kiedyś w takiej książce, że uczniowie w chederze mieli różnego rodzaju zabawy – takie wyliczanki... Pamięta Pan coś takiego? To była taka książka Lilientalowej i ona pisała, że na przykład było coś takiego: jeden mówił jakąś stronę, drugi dodawał... już nie pamiętam. Drugi brał coś losowo a

trzeci miał wymyślić jakąś zagadkę, że w środku było słowo... nie pamięta Pan nic takiego?

MN: Nie było czasu na to w chederze. Może potem.

ZS: A dlaczego nie było czasu?

MN: No bo to normalnie było – mełamed siedział i uczył i koniec na tym.

ZS: Cały czas?

MN: Cały czas.

ZS: Bez przerw?

MN: Bez przerw. Chociaż zaraz, chwileczkę. Zdaje się, że były jakieś krótkie przerwy. Jakoś rozmawialiśmy. Jakoś tak, chyba były przerwy.

ZS: A dziewczynki jak?

MN: A dziewczynki nie chodziły do chederu.

ZS: A do którego roku się chodziło do Chederu?

MN: Od trzeciego.

ZS: Od trzeciego do...

MN: A to zależało od zdolności, od warunków materialnych rodziców.

ZS: Bo za cheder się płaciło?

MN: Nie, Cheder był bezpłatny. No ale jak nie był specjalnie uzdolniony to potem szedł do szkoły podstawowej a potem do jakiejś pracy. A jak był bardzo uzdolniony – w zależności od warunków materialnych rodziców – a nawet byli wspomagani z Gminy. Były takie towarzystwa, które wspomagały takich uczniów. Bo potem była jesziwa. Wyższy stopień.

ZS: Te towarzystwa się jakoś nazywały?

MN: Nie, nie, nie – to była szkoła, która nazywała się jesziwa.

ZS: Nie, to ja wiem, ale te towarzystwa, które wspierały uczniów, to one miały jakieś nazwy?

MN: Miały różne nazwy, w tej chwili trudno mi sobie przypomnieć, ale przede wszystkim gmina. Gmina miała wewnętrzne takie towarzystwa, które pomagały.

ZS: A jesziwę kiedy się zaczynało?

MN: Jesziwę na ogół w wieku dwunastu, trzynastu lat. W zależności od uzdolnień ucznia. Bo w jesziwie nie było tak jak w szkole żadnych tam świadectw, dyplomów tylko przechodziło się... w miarę zdolności to się przechodziło do kolejnego stopnia nauki.

ZS: A po Jesziwie?

MN: No po Jesziwie to albo dyplom się dostawało...

ZS: Dyplom Rabinacki?

MN: Dyplom Rabinacki – tak.

ZS: I na ten dyplom to się składało jakieś egzaminy?

MN: To ci rabini, tacy słynni ci...

ZS: Rada Rabinów się zbierała, tak?

MN: Tak.

ZS: I oni egzaminowali takiego...

MN: Tak, tak i egzaminowali.

ZS: Z Talmudu, Tory itd.

MN: Tak.

ZS: A kiedyś czytałam, że w takich religijnych rodzinach, jak ktoś był zameężny, to już nie chodził do jesziwy, ale dalej zbierał się... tylko nie pamiętam, jak się nazywało to...

MN: Były takie Bejt Midrasze albo to się też nazywało Klojze - takie izby. I to były miejsca do modlitwy, ale poza modlitwą tam można było siedzieć i tam były księgi różne - można było siedzieć i studiować Talmud. To się nazywało Bejt Midrasz- dom komentatorów, coś w tym rodzaju.

ZS: A Pana ojciec chodził do takiego Bejt Midraszu?

MN: Nie, nie. Mój ojciec miał rodzinę. A tam chodzili ludzie, którzy... jak by to nazwać? Tacy, którzy nie mieli żadnego zawodu, nie mieli żadnego przedsiębiorstwa i tam siedzieli...

ZS: I z czego oni się utrzymywali?

MN: No najczęściej te bidne żony na nich pracowały. Niestety tak to było. Ja bym to porównał do dzisiejszych takich dziwaków, którzy mają jakieś hobby, wie Pani, o czym mówię? I najczęściej taki facet nie myśli o dzieciach ani żonie tylko o...

ZS: A tacy ludzie jak na przykład Pana ojciec zaglądali czasem w ciągu dnia do takiego Bejs Medreszu na chwilę?

MN: Nie. Najwyżej szli się tam rano modlić, ale ojciec się modlił w innej synagodze. Nie w tej. I jeszcze w tych Bejs Medreszach był czasem azyl dla takich ludzi bezdomnych czasem - to były takie pojedyncze osoby bezdomne - to oni przy tych piecach spali na ławkach, wie Pani. A czasem też były takie małe izby, takie synagogi, jak ta, która jest w Łodzi - Pani widziała tą synagogę?

ZS: Tak.

MN: To coś w tym kształcie. I tam też były takie szafy z księgami, w których były księgi i można było tam studiować.

ZS: W tej synagodze?

MN: Tak.

ZS: Ale na to się już nie mówiło Bejs Medresz?

MN: Nie. To już było w synagodze. W bożnicy, jak to się mówiło. Ale byli oczywiście tacy, co to studiowali tylko u rabinów. Bo rabini to cały czas studiowali, a byli tacy, co u nich tylko byli... jak tamci robili doktorat to ci przy nich byli.

ZS: Panie Michale, a kto decydował o koszerności? Jak na przykład trzeba było rozsądzić czy kura jest koszerna, czy nie to gdzie się szło?

MN: Rzezak to tam znał przepisy, jaka kura jest koszerna a jaka nie. Ale poza tym zawsze był tzw. Maszgijach. Tłumaczenie na polski to by było „ten, co pilnuje”. I on rzeczywiście musiał być wyznany w przepisach. Są takie przepisy zawarte w Szulchan Aruch i jeszcze gdzieś tam. W halacha. Tam są przepisy i one konkretyzują zasady koszerności. I oni musieli zdać egzamin z tych przepisów.

ZS: I zdawał ten egzamin też przed Radą Rabinów, tak?

MN: Tak.

ZS: A to było tak, że U rzezaka siedział zawsze maszgijach czy na przykład jak były jatki czy kramy z mięsem...

MN: Nie. Przede wszystkim mięso przy uboju to był maszgijach. I on pilnował, żeby ono było zdrowe. I on patrzył czy była zdrowa kura czy krowa. I ona dawał...

ZS: To się nazywało haszgacha? To zezwolenie...

MN: Tak.

ZS: A to było tak, że każda ubojnia miała swojego maszgijacha?

MN: To gmina dawała i opłacała...

ZS: A rzezak utrzymywał się sam?

MN: Tak, tak. Nie, właściwie rzezak też utrzymywany był przez gminę. A rzeźnik to nie był RZEDAK****. RZEDAK**** to był ten, co tylko zabijał. To się nazywało SZOCHET****.

ZS: A rzeźnik?

MN: Rzeźnik sprzedawał.

ZS: Aha, czyli szochet tylko zabijał a rzeźnik tam już robił z tego wędliny itd.?

MN: Tak.

ZS: A maszgijach patrzył na to co robił rzezak I zatwierdzał... No to już rozumiem. To z powrotem do tych dziewczynek: jakie było dziewczynek wykształcenie?

MN: Dziewczyny się w domu kształciło. Jak były jakieś rodziny zamożne to byli tacy korepetytorzy, którzy tam przychodzili i uczyli.

ZS: A czego oni uczyli?

MN: No jeszcze czasem ojciec też tam uczył... no ale przede wszystkim czytać po hebrajsku. No i modlitwy i błogosławieństwa, tam te w piątkowe wieczory i różne przepisy, które dotyczyły kobiecych obowiązków.

ZS: A te wszystkie przepisy, które są związane z kobietą – to tego wszystkiego uczył nauczyciel czy matka?

MN: Matka swoją drogą. Ale te przepisy, na przykład te modlitwy, to on uczył.

ZS: Ale to jak na przykład dziewczynki chodziły do mykwy to matka wprowadzała?

MN: To matka wprowadzała.

ZS: I do Pana siostr też przychodził taki nauczyciel?

MN: Ojciec sam uczył.

ZS: I to tak popołudniu, regularnie, siadał i uczył?

MN: Tak, tak.

ZS: A proszę powiedzieć jak wyglądał szabat u Państwa w domu?

MN: No już w piątek mama przygotowywała. Te posiłki co na sobotę to już w czwartek zaczynało się przygotowanie, a w piątek od samego rana, ryby, rosół z kurą, albo z wołowiną albo jakoś tam mieszane. Ale rosół obowiązkowo, kluski, no i gdzie drugie danie – jakaś marchewka do mięsa. A na sobotę przede wszystkim to się zaczynało od ryby. I tam jest przede wszystkim cały obrządek jak to po żydowsku jest z rybą?

ZS: Nie, nie znam.

MN: Nie wolno było kupować ryb martwych – to przede wszystkim. Musiała być ryba żywa. Na ogół się brało karpia. Bo są ryby dozwolone i niedozwolone. Nie wiem, czy Pani wie o tym.

ZS: Słyszałam, ale nie pamiętam...

MN: Muszą być z łuską i mieć płetwy.

ZS: Czyli na przykład węgorz jest niekoszerny?

MN: Nie, nie. No i na ogół mama kupowała taką rybę w czwartek i wrzucało się ją do wody, do takiej wanienki z wodą. Żeby żyła do piątku. W piątek młotkiem w łeb i...

ZS: I to wszystko mama robiła?

MN: To różnie było – były mamy co nie mogły tego robić. I pomagał albo ojciec albo synowie jak podrośli. A czasami sąsiad sąsiadowi, bo nie każdy miał do tego przekonanie. To się czasem po sąsiedzku robiło, o tak. No i potem obróbka – nie wiem, czy Pani ciekawa jest?

ZS: Tak.

MN: No więc w pierw trzeba łuski umyć. I tak nożem się to zdrapywało – to bardzo szybko szło. I potem nożem i się wnętrzności wyjmowało. I tu były różne – niektórzy całe wnętrzności wyrzucali a niektórzy oddzielali takie czyste jelita od innych i to potem dali do wywaru. Na smak. I do żelatyny. Oczywiście trzeba było uważać, żeby żółć nie pękła. Trzeba było przy tym oddzielaniu oddzielić woreczek żółciowy tak żeby się nie rozwalił. Bo jak się rozbił to koniec. To wnętrzności były nie do jedzenia. No i potem odcinało się głowę. No i znowu – czyścili. Niektórzy oczy wydłubywali. I wbrew temu co robią w knajpach, w restauracjach – jak tam głowy niektórzy wyrzucają – to najwięcej dało smaku wywarom. I następnie kleiło się z mąką, soliło się i czekało się na ten wywar.

ZS: Bo w między czasie robiło się ten wywar z wnętrzności i z głów i z jakichś warzyw, tak?

MN: Nie, nie, wywar był na cebuli i trochę marchwi, niedużo, takie płaskie plasterki marchwi. Niektórzy dawali pietruszki też trochę, korzennej, ale mało. I potem dużo wody, bo chodziło o to, żeby była galaretka bez żadnych dodatków utwardzających. I te warzywa się gotowały z piętnaście, dwadzieścia minut. I wtedy się wrzucało te dzwonki. I potem znowu piętnaście, dwadzieścia minut – oczywiście dało się soli trochę, odpowiednio, czasem na słodko to jedni więcej soli czy pieprzu a inni nie pieprzu tylko cukru. Wiem, że niektórzy tam dawali nawet rodzyнки. No i po piętnastu minutach trzeba się było skosztować. Jaki smak? I do smaku dosypać soli, pieprzu, cukru – w zależności od upodobania. I następnie odstawiono – jak się zagotowało, pod przykryciem – aha, a ryby się nie gotowało pod przykryciem. A potem się odstawiało, pod przykryciem i ona tam stała, piętnaście minut, pół godziny, a żeby ta ryba nasiąkła smakiem tego wywaru. A następnie rybę się stawiało na takim talerzu – były takie specjalne talerze. Składano i zalano tą galaretką.

ZS: I to właśnie była ta gefilte fisz?

MN: Nie, nie: gefilte nie. To była normalna ryba.

ZS: A gefilte?

MN: A gefilte fisz to już była cała ceremonia. Trzeba było po umyciu, po oczyszczeniu, to się oddzielało skórę od mięsa, to się też kroilo w dzwonki, ale od skóry oddzielało się mięso. Mięso mielono, albo siekano, w zależności... do mięsa dodawano mąki takiej...

ZS: Jakiej?

MN: Nie, nie, nie – takiej bułki, tartej bułki. Ale zupełnie na drobno. Albo czasem też mąki białej. No i do smaku – czasem też nadziewali te skóry, które zostały, nadziewali tym farszem z mięsa. I na nowo ten farsz otoczono tą skórą i gotowało się. Oczywiście dodano do tego trochę pieprzu, trochę soli, normalnie jak do farszu. I to było gefilte fisz.

ZS: Aha.

MN: Bo gefilte – to słowo to jest nadziewane.

ZS: Nadziewane... A jeżeli chodzi o szabat – bo stanęliśmy na gotowaniu w piątek?

MN: Tak. No następnie tam rosół, ale to nie muszę powiedzieć, jak to tam wyglądało. Ale jeśli Pani chce, mogę powiedzieć, tak na marginesie, taki byłem zły – bo w piątek już nie było czasu na gotowanie obiadu. Mama robiła zawsze krupnik z ryżu. I do dzisiaj pamiętam, że...

ZS: Nie lubi Pan krupniku?

MN: Teraz już lubię, bo wojna nauczyła mnie wszystkiego. Ale wtedy... no i przychodzi zmierz, te godziny przed zmierzchem – mieszkanie musiało być czyste na glanc, tam, gdzie były podłogi takie nie pastowane tylko gołe deski to obowiązkowo musiały być umyte.

ZS: Bo wtedy się nie lakierowało podłóg, takie gołe dechy, tak?

MN: Nie, nie lakierowało się podłóg. Takie gołe dechy. Oczywiście w domach bogatych to było inaczej, ale...

ZS: Bo Państwo byli średnio zamożną rodziną, tak?

MN: Średnio.

ZS: Ale mama to wszystko sama robiła czy miała kogoś do pomocy?

MN: Więc w pewnych okresach miała kogoś do pomocy. Ale później to już niestety była schorowana, bo ona miała problem z płucami – wtedy to jeszcze tego nie rozumiałem, ale

teraz wiem, że ona miała krwotoki. Z oskrzeli czy z płuc... no i przed zmierzchem, biały obrus na stół, świeczniki, chały, chałki tam... i ojciec siedział naprzeciwko chałek. Tam takie serwety zielone... i modlitwa taka [*mówi po hebrajsku*] Bądź błogosławiony Boże, co dajesz ziemi chleb. I kiedy się zebrała cała rodzina to matka zapalała świece. I ona odmawiała modlitwę i nie raz zapłakała przy tym. Była taka modlitwa, w której prosiła o...

ZS: O zdrowie i błogosławieństwo dla rodziny, tak?

MN: Tak. I potem ojciec wszystkich tak pobłogosławił i poszliśmy do synagogi.

ZS: A błogosławił też dzieci?

MN: Tak.

ZS: A świec było ile?

MN: W zależności od liczby dzieci.

ZS: W zależności od liczny dzieci, tak?

MN: Tak, tak.

ZS: Ale to było tyle, ile dzieci plus dwie?

MN: Nie, nie.

ZS: Tyle ile dzieci?

MN: Tak, tak. Dwie duże...

ZS: Aha, dwie duże i jeszcze tyle, ile było dzieci?

MN: Tak, tak. Ale to już nie wszędzie tak było. To już zależało od rodziny.

ZS: Ale u Pana tak było?

MN: Tak, tak.

ZS: A potem?

MN: A potem ojciec się ubierał, dzieci też, chłopcy, i do synagogi się szło. Na modlitwę. Takie modlitwy trwały godzinę, najwyżej. I jak się przychodziło do domu, to tam była taka modlitwa, gdzie ojciec wita rodzinę. Na sobotę już...

ZS: Czyli...

MN: Ojciec wchodził do domu, tam Szalom Alejchem, pokój Wam wszystkim, odmawiał tam dwa wersety, siadał do stołu i wszyscy dookoła i nalał sobie – aha, bo tam butelka wina była, obowiązkowo. Na ogół myśmy mieli wino domowej roboty. Nie kupowaliśmy. Ojciec robił sam. Pamiętam, że robił też z rodzynek. I była taka wielka butla i do tej butli dawał rodzyнки, cukier, wodę i tam tak stało przez pewien czas i nabrało mocy. I było pyszne. Mocne. W głowie się zakręcało jak się piło dużo. Potem odciedzano wino od tych rodzynek i było czyste wino. W butelce.

ZS: To przez gazę się tak przelewało, tak?

MN: Tak. I to trwało kilka miesięcy, ale na piątek zawsze było. Jakby wino mszalne.

ZS: A długo musiały stać te rodzyнки?

MN: Dopóki nie sfermentowały. Bo przykrywało się te słoje takimi gazami i to naprawdę było bardzo mocne i pyszne, bardzo pyszne wino. W tej chwili niektóre wina izraelskie są podobnego smaku.

ZS: Tak, tak są wina rodzynekowe takie.

MN: Tak, tak. Podobnego smaku. No i ojciec nalewał każdemu kieliszek wina.

ZS: Dziewczynkom też?

MN: Tak, też, wszystkim. Ale to były małe kieliszki. I odmawiał modlitwę.

ZS: I to był właśnie kidusz, tak?

MN: Tak, kidusz Wszyscy stali. No i jak wszyscy odmówili to siadali i pili swoje winko. Aha, i szło się myć ręce.

ZS: Po kiduszu?

MN: Po kiduszu. Przed jedzeniem. I potem te chałki, bo tam były dwie chałki, pod przykryciem, obok siebie. I on je odkrywał, odmawiał modlitwę, krótką taką [*po hebrajsku*] Adonejnu ha Olam.. Bądź błogosławiony, Boże naszych ojców, który dajesz nam chleb z ziemi. I ojciec pokroił i każdemu dziecku dał.

ZS: A też się wtedy soliło tą chałkę?

MN: To, to nie wiem, ja tego nie...

ZS: Tego nie było u Pana w domu?

MN: Nie. To są takie chasydzkie zwyczaje, ale u nas to nie.

ZS: A chałka była pieczona w domu, czy kupowana?

MN: W domu, w domu. mama przeplatała, to była sztuka, wie Pani...

ZS: No wiem, to trzeba umieć.

MN: Zawsze lubiłem się patrzeć jak mama to robi. I wtedy się zaczynało od ryby – każdy dostawał swoją partię tych dzwonków. I tutaj do ryb już była wódka.

ZS: Aha.

MN: Ojciec nalewał sobie kieliszek i chłopcom, starszym chłopcom, po troszeczkę.

ZS: To ile trzeba było mieć lat, żeby zacząć pić wódkę?

MN: Po Bar Micwie. Ale jak już miałem osiemnaście lat to już dostałem nieraz cały kieliszek. To były małe kieliszki. No i w każdym razie po tej rybie to tam był rosół z kluskami, po tym rosole było mięso, w zależności od pory, od soboty, to się przygotowywało kurczaka, wołowinę...

ZS: Bo to różne soboty miały różne rodzaje mięsa...

MN: Tak, tak. I potem był kompot i różne ciasteczka. Herbatniki, ciasteczka. No i czasem śpiewało się takie melodie, takie krótkie, wie Pani, jak się przy stole czasem śpiewa. No i krótka modlitwa po jedzeniu, bo wie Pani, czasem niektórzy to całe modlitewniki, ale tutaj było krótko. Wie Pani, czasem to jest więcej modlitwy niż jedzenia.

ZS: I potem była sobota?

MN: I to różnie, czasem ojciec tam siedział i goście przychodzili, już po kolacji, i siedzieli i tam – w zależności – różne herbatniki były, takie słodkie, makowe... takie z makiem i czasem z taką lekką cebulką, ale lekką. No i były tam jeszcze ciasta różne, jabłecznik... sernik to nie wiem, bo po mięsie nie wolno jeść mlecznych.

ZS: Ale jak robiła jabłecznik to musiała na tłuszczu roślinnym i nie mogła dodawać mleka? Ale jajko mogła?

MN: Tak, tak. No a jak już podrośliśmy trochę to się zbieraliśmy do miasta. No i różnie tam, jedni szli na corzo, taki deptak, nazywany corzo. No i tam się szło na deptak, albo do klubu chodzili niektórzy. Ja chodziłem do mojej organizacji harcerskiej. I tam się spędzało godzinę czy dwie, bo w domu trzeba było być na dziesiątą. Bo o dziesiątej była szpera, czyli bramy się zamykało. Więc o dziesiątej trzeba było być absolutnie. To był piątek. A teraz sobota. W sobotę nie było takiego wypoczynku jak teraz, bo trzeba było iść do synagogi i się modlić. Nam dzieciom na śniadanie dawano kakao czy mleko. I to było poranne śniadanie i potem szło się do synagogi a potem znowu do domu. i potem obiad. kidusz znowu, kidusz i błogosławienie chleba, to znaczy tych... chałek. Problem był, że w sobotę nie można było nic w kuchni pod gazem gotować. Były takie urządzenia z niklowanej blachy i to się stawiało na kuchni – u nas był kuchnia z paleniskiem – i to się stawiało na kuchni i to się przykrywało kocem. I tyle się nakładało w piątek, żeby żar wytrzymał następnego całego dnia i pod tym przykrytym potrawy stały i cały czas utrzymywały ciepło. Między innymi kluski. U nas to były dwa rodzaje klusek z jakimiś tam dodatkami, z mięsnymi i zapiekane, takie zapiekanki, kluski takie na jajkach. Taki rodzaj sufletu – dla mnie to było za tłuste. Innym razem to były ziemniaczane takie... takie samo: zapiekanka z ziemniaków, z mięsem i z jajkami. Takie to dwa rodzaje ja znam. I to wytrzymało zawsze w takich glinianych naczyniach i w tym niklowanym pojemniku. I to trzymało ciepło zawsze.

ZS: A to kakao to jak wam mama robiła rano jak się nie dało ten...?

MN: Ja nie pamiętam...

ZS: Chyba zimne kakao było?

MN: Może zimne, ja już nie wiem. Na pewno nie gotowała. A może mleko stało tam pod tym... ale nabrałoby zapachu wtedy... nie wiem, może na zimno było. A potem po obiedzie znowu – dzieci na miasto a mama i tata w domu zostawali. Bywało też tak, że razem wychodzili na spacer, szczególnie w pierwszym okresie, ale potem już nie bo byli zmordowani. Właściwie to przede wszystkim raczej odpoczywali. Pod wieczór ojciec szedł do synagogi, ale nie wszyscy szli... zresztą wtedy się nie szło do synagogi, ale tam były takie kluby, jak ja mówiłem takie sztible. Tam wszyscy się znali i po ciemku tam śpiewano. Nie wolno było światła zapalić.

ZS: To taki półmrok panował?

MN: Mrok! Bo dopiero jak gwiazdy wyszły to można było światło zapalić. I dla nas, dla dzieciaków to był frajda, bo potem to już z ojcem tam nie chodziłem, ale wtedy to myśmy tam po ciemku chodzili i się ganiłi, pod stołami, między stołami. Rozrabialiśmy. Jako młodzi chłopcy. To były niesamowite historie. A potem to już chodziłem swoimi drogami. Już tam w mojej organizacji myśmy chodzili na Wzgórze Lwowskie – jak teraz młodzież. Młodzież, chłopcy, dziewczęta, a ci strarsi Żydzi tam w tych sztible siedzieli.

ZS: I czekało się do zmroku...

MN: A potem się odmawiało modlitwy, modlitwy takie wieczorne. A potem szliśmy do domu i ojciec znowu w domu napalił taką świecą...

ZS: hawdala?

MN: hawdala - tak.

ZS: I to rzeczywiście musiała być taka pleciona świeczka?

MN: Tak, tak, ale nie musiała być.

ZS: Bo teraz sprzedają takie plecione...

MN: Tak, ale wtedy nie musiała być.

ZS: Czyli zwykłą taką?

MN: Tak, tak, tylko były takie wieżyczki z zapachami...

ZS: Takie balsaminki, tak?

MN: Tak. One zawsze były w domu.

ZS: I jakie tam się dawało zapachy?

MN: Goździki. Ale potem jak już dorośliśmy to myśmy już mało bywali domu. W święta tak, ale... no i tyle. Jeszcze goście czasem byli. Po obiedzie.

ZS: Po obiedzie czy po kolacji?

MN: Po obiedzie głównie. Rodzina... ja miałem bardzo liczną rodzinę we Lwowie. Myśmy mieszkali w centrum więc zawsze był dom pełen gości i jak się szło na spacerzy to potem wstępowali. I wtedy mama musiała przygotować jeszcze jakieś herbatniki, ciasta...

ZS: A ta duża rodzina to głównie ze strony mamy czy ze strony ojca?

MN: Z obu.

ZS: Bo oboje mieli rodzeństwa?

MN: Tak, rodzeństwa a rodzeństwa mieli dzieci.

ZS: A pamięta Pan ile mama miała siostr? Rodzeństwa?

MN: Pamiętam. Mama miała we Lwowie dwie siostry a jedna pamiętam wyjechała do Ameryki.

ZS: Jedna z nich, tak?

MN: Nie, trzecia. Ona wyjechała zaraz po wojnie, po pierwszej wojnie. Wyjechała do Ameryki. I brat.

ZS: I brat. Czyli razem miała czwórkę rodzeństwa, tak?

MN: Tak.

ZS: A jak oni się nazywali?

MN: Wujek, czyli brat matki to był Hersz - Herman. On był postępowy człowiek. Herman raczej go nazywano, a jak go wzywano do czytania Tory to Hersz Cwi. A siostry to była jedna – Rachela. A najmłodsza to była Małka, czyli królowa.

ZS: A ta, która wyjechała do Ameryki?

MN: Cutele O właśnie ta moja siostrzyczka to miała imię po niej. Bo ona zmarła tam. Miała imię jej.

ZS: Ona miała na imię Cutel.

MN: Cutl A mówiło się na nią Czesia.

ZS: A ta, która wyjechała do Ameryki to zmarła?

MN: Tak, bo ta najmłodsza miała właśnie po niej imię.

ZS: A nie wie Pan co się z nią tam stało?

MN: Nie wiem.

ZS: A już wyjechała jako zamężna?

MN: Tak, to była najstarsza.

ZS: A jeżeli chodziło o rodzeństwo ojca?

MN: Z ojca to ja się znam tylko z siostrą, która mieszkała we Lwowie, ale imion to ja nie pamiętam. Bardzo często, kiedy są te modlitwy za zmarłych, to ja bym chciał ich wymienić, ale imon nie pamiętam, nie mogę sobie przypomnieć. Nazwisko wiem, bo ona była zamężna za Duholc. A imienia nie pamiętam. Ona miała trzech synów, jeden miał

chyba Pinkas i drugi... Ale wiem, że młodszy to był wyjątkowy talent, śpiewak i też tak samo chodził jak mój brat, do konserwatorium chodzili.

ZS: A Wilek chodził do konserwatorium, tak?

MN: Tak.

ZS: A to już mówiliśmy o tym...

MN: On miał wspaniały głos. Mocny, silny. A jak już mówimy o chłopcach. Ojciec też miał zdolności i w święta to honorowo modlił się jako kantor.

ZS: W synagodze?

MN: W synagodze. Jako kantor. W takie święta jak Nowy Rok, w Sądny Dzień to on odprawiał modlitwy jako kantor.

ZS: W tej synagodze, do której chodził?

MN: Tak. To była taka postępową synagoga przy ulicy Żółkiewskiej.

ZS: To była postępową synagoga?

MN: Tak. Tam nie było tych ludzi z brodami...

ZS: Pana ojciec brody nie nosił?

MN: No miał.

ZS: A pejsy miał?

MN: Nie, nie.

ZS: A kobiety w Pana rodzinie nosiły peruki?

MN: Mama moja nosiła perukę. W pewnym okresie. Była blondynką.

ZS: Naturalną, tak? To znaczy sama z siebie?

MN: Tak.

ZS: A perukę też nosiła blond?

MN: Tak. Bo ojciec pochodził z takiej bardzo pobożnej rodziny i kiedy się pobraли to byli pod wpływem tych swoich rodzin i były wymogi pewne. Babcia i prababcia...

ZS: A był Pan kiedyś na takim religijnym weselu?

MN: Tak.

ZS: A to było czyje? To było w rodzinie u Pana?

MN: Chyba tak. Kuzynka, ta, co mówiłem ta córka ojca siostry to ona miała trzech synów i jedną córkę. Więc na jej weselu ja byłem.

ZS: A mógłby Pan opowiedzieć, jak takie wesele wtedy wyglądało?

MN: Szczegóły to nie...

ZS: Szczegóły nie, ale tak w ogóle...

MN: Trudno mi powiedzieć teraz. Pamiętam baldachim. I że pod tym baldachimem młoda para stała. I że rabin udzielał ślubu i że dali im potem wypić wino i kieliszki o ziemię.

ZS: Bo to się chupa nazywało ten baldachim...

MN: Tak.

ZS: I to się gdzie robiło, przed domem, w synagodze?

MN: To się w mieszkaniu robiło. No chyba, że więcej gości było, no to wtedy na sali, ale tak... ale w synagodze nie, raczej nie... Może na prowincji to stosowali, że w synagodze, to też możliwe...

ZS: Bo ja się spotkałam, że pod gołym niebem się stawiało chupę, właśnie nie w pomieszczeniu, ale...

MN: Może na prowincji. Może to wynikało z okoliczności, że nie synagogi nie były aż tak pojemne, żeby wszystkich pomieścić. To może wynikało z konieczności. A konieczność nieraz zmienia tradycję.

ZS: A Pan mówił, że jak się zaczęła wojna to rodzeństwo było bardzo młode – czy to znaczy, że oni wszyscy zginęli w czasie wojny?

MN: Z tego co ja wiem, to wszyscy zginęli. Ale szczegółów nie znam.

ZS: Bo tak: w 194...

MN: W 1939 roku, we wrześniu, Lwów był otoczony przez Niemców, ale wcześniejsze walki trwały na przedmieściach, ale nie zdołali miasta zająć. I dziesiątego dnia, kiedy Niemcy rozrzucali ulotki, żeby opuścić miasto, bo miasto będzie całe zbombardowane. Że miasto to będzie teren wojenny. Zdaje się mówiłem to poprzednim razem, jedni postanowili opuścić miasto a inni, między innymi moja rodzina, że co ma być to niech będzie u mnie w domu. No i dziesiątego dnia Rosjanie weszli no i przez radio – bo myśmy byli w schronach, i oni przyszedli z tą informacją, że idą nam na pomoc i że walczą z Niemcami i że oni ich zlikwidują. I myśmy byli pewni, że tak jest a oni po prostu po rosyjsku, po ukraińsku, mówili, że idą wyzwolić braci swoich. A oni mieli na myśli, że idą wyzwolić Białorusinów i Ukraińców. Dlatego myśmy nie rozumieli. Ale Niemcy się wycofali a Rosja została. No i oni zaczęli chodzić po domach, robili takie zgromadzenia, żeby wszystkim wytłumaczyć, na czym polega ta nowa władza sowiecka, do czego zmierzają itd. ale tam nie było mowy, że oni mają być na stałe. Dopiero po kilku miesiącach czy miesiącu zaczęło się rozdawanie paszportów, aresztowanie urzędników, policjantów i bogatych ludzi i zsyłka. I po tym wydawaniu paszportów. I były wydawane paszporty: roczne, pięcioletnie i żadne. Takich, co uważali za element...

ZS: Nieużyteczny?

MN: Nie tylko to... taki element niepewny. I ogłosili, że Lwów leży w strefie przygranicznej i w związku z tym w ich bezpieczeństwie leży, żeby tacy ludzie zostali wysiedleni. I wysiedlali ich na Kazachstan, Sybir itd. Jedni dostali roczne paszporty – to był element nie bardzo pewny. A jedni pięcioletni. A nasza rodzina – myśmy otrzymali roczne. I to oznaczało, że moje marzenia się nie spełniają. Bo ja byłem wtedy w tej naszej organizacji harcerskiej i urządzali taką nielegalną emigrację do Wilna. Wilno to

było miasto wolne. A z Wilna – tam już kolejna organizacja – urządzali kolejną emigrację do Izraela.

[zmiana strony]

MN: Haszomer haCair, no w ogóle wszystkie te organizacje harcerskie tą emigrację organizowały. I ja się bałem zaszkodzić tym tam z tego sztabu pracy. Bo ja byłem w komendzie głównej... ale ja też nie mogłem zostawić ojca... bo ja mówiłem, że ojciec miał inwalidztwo... Matka była chora, małe dzieci.

ZS: A poza tym rodzice ile mieli wtedy lat?

MN: Ojciec może miał 54 lata.

ZS: A mama?

MN: A mama może rok młodsza. Mama była ciężko chora, ale ojciec się zawahał – Rosjanie weszli. Zupełnie inny człowiek. Nikt nie wszedł do domu, nikt nie wychodził. Wpadł w depresję. I bałem się, że jeśli ja ucieknę to ich wszystkich przesiedlą na Sybir. I to mnie trzymało. I ja pracowałem wtedy i pomagałem rodzinie.

ZS: I gdzie Pan pracował wtedy?

MN: To były Zakłady Galanterii i WYROBÓW SREBRNYCH.

ZS: Czyli tam, gdzie przed wojną, tylko, że to było nacjonalizowane?

MN: Tak, oni zamienili to na spółdzielnię. Ale ja tam dalej pracowałem. Ja byłem koszerne pracownik i mogłem pomóc rodzinie. I moja siostra młodsza też poszła pracować do jakiegoś sklepu... tak jak u nas było Społem to tam też było coś takiego. I ona tam pracowała.

ZS: To wy we dwójkę. A Wilek?

MN: Wilek też pracował, ale już nawet nie wiem gdzie. A już wiem – on pracował prywatnie. Tam był taki kapelusznik. I rzemieślnik. I on tam te kapelusze, wie Pani. I on go znał tam z klubu sportowego. I on go zatrudnił tam. A Anszel też poszedł do pracy. Do cukierni. Bo wujek miał zakłady cukiernicze.

ZS: Wujek ze strony mamy czy ojca?

MN: Ojca. I on tam poszedł do pracy. A potem znów jak pobór do wojska był to niektórzy uciekali do lasu albo zagranicę, ale ja się bałem. Co się stanie z rodzicami. To była czteroletnia służba, ale ja miałem sympatię i...

ZS: I wtedy Pan trafił do tej jednostki na północy?

MN: To znaczy na północy... To był Kurska oblast.

ZS: To jest w pobliżu Moskwy, prawda?

MN: Nie, nie. To jest na pograniczu Ukrainy i Rosji. Tam jest Sume [?] a potem jest Kursk a potem jest Woroneż. I właśnie między Kurskiem a Woroneżem ja byłem, była moja jednostka.

ZS: I to był ostatni raz, kiedy Pan się widział z rodziną?

MN: Tak.

ZS: A czy Pan wie, co się z nimi stało?

MN: Nie. Wiem tylko, że widzieli ojca i matkę i kogoś tam, jakieś siostry na platformach jak jechali w jakimś kierunku. Bo jak była łapanka to na takich platformach tramwajowych Niemcy wozili, ale jednych tu a innych gdzie indziej. Jedni jechali do obozu do Janowa – i tam ponoć urządzili obóz i jednych tam wywieźli a niektórych do obozu w Bełżcu. Jednych od razu do likwidacji a innych do pracy segregowali. Więc nie wiem, czy wywieźli ich do tego Janowskiego czy do Bełżca. Natomiast wiem o Wilhelmie i o Michasiu. To oni byli w Obozie Janowskim – brat był furmanem a mały miał grzechy, bo jak to się mówi ze szkoły wagarował... a potem koledzy tam z tego sportowego klubu Hasmonea to oni mu pomogli i on właśnie miał ten przywilej, że mógł opuszczać miasto i jeździć wozem do miasta w różnych tam sprawach dla obozu. Ale przy okazji wiem od tego Richtera, że on tam również jakieś dokumenty przywoził... w każdym razie chorował tam na tyfus i udało mu się wyzdrowieć. I dalej pracował jako woźnica. A ten najmłodszy braciszek, był takim piccolo w szpitalu. Wie Pani co to jest piccolo?

ZS: Nie.

MN: On był takim piccolo... tam chodził...

ZS: Taki chłopiec na posyłki?

MN: Tak. I wiem tam od ludzi, że jego namawiali, że... dlaczego on nie ucieka do lasu? I on się w końcu zdecydował. On też był taki, że wiedział, że inni zginęli – on też myślał, bo o mnie też były pogłoski, że ja zginąłem i to były takie depresyjne stany – i w końcu kiedy zdecydował się uciekać i jak już sobie załatwił te dokumenty aryjskie i kiedy wrócił do obozu to nie zastał już braciszka. I wtedy on podobno zdecydował się już zostać.

ZS: I nic nie zrobił już?

MN: Nie.

ZS: Ale to Pan się dowiedział już po wojnie?

MN: Tak.

ZS: A tam w jednostce?

MN: Nic nie wiedziałem. Myśmy mieli tylko informacje sowieckich władz, bo oni nie mieli odbiorników radiowych tylko tzw. kołchozniki. Wie Pani?

ZS: Tak. Z przydziału jedna stacja...

MN: Tak i każdy tam w koszarach itd. i tam były takie głośniki, które przekazywały oficjalne wersje...

ZS: I co przekazywali?

MN: No, że Niemcy mordują, że palą, że tam obozy urządzili.

ZS: To w którym to roku? 1941, 1942?

MN: W 1942 roku. Chociaż pod koniec 1941 roku też. Ale w 1942 to już tak mocno – podawali nazwy tych obozów, wszystko podawali. Ale powiem Pani, że ja w to nie wierzyłem, podobnie jak wielu chłopców nie wierzyło. Bo myśmy byli wychowani we

Lwowie, gdzie był przecież zabór austriacki, który był wyjątkowo liberalny. I myśmy nie mogli sobie wyobrazić, że można na zimno, planowo mordować całe społeczeństwo. Ja rozumiałem, że może być pogrom, że taki rozjątrzony tłum może rządzić pogromem, w afekcie, ale żeby planować i robić obozy śmierci to myśmy nie wierzyli. Myśmy myśleli, że to propaganda radziecka.

ZS: A jakieś listy, jakaś korespondencja – w czasie wojny nic nie dochodziło?

MN: Nic. I zanim wybuchła wojna z Niemcami to były listy...

ZS: No bo Pan został powołany w 1949 roku?

MN: 18 października 1940 roku.

ZS: Czyli Pan prawie pół roku był w armii zanim wybuchła wojna z Niemcami, tak?

MN: Więcej. Bo w czerwcu... Osiem miesięcy.

ZS: I wtedy dochodziła korespondencja?

MN: Tak.

ZS: A od momentu wybuchu wojny...

MN: To już nic.

ZS: A co z Panem się wtedy działo?

MN: No ja byłem w szkole lotniczej – jeszcze przed wybuchem wojny byłem w szkole lotniczej. Jako że ja miałem szkołę przemysłową i byłem technikiem... mechanikiem. Więc mnie tam przydzielili do lotnictwa. Ale jeszcze przed wybuchem wojny odesłali mnie do jednostki, tam naczelnik mnie odesłał.

ZS: Tam do Kurska?

MN: Tak, tak. Łącznie z tym, że chcieli koniecznie, żebym ja pracował dla informacji wojskowej.

ZS: Ale w sensie w wywiadzie?

MN: W każdej jednostce byli ich ludzie, którzy byli w kontakcie z nimi...

ZS: Tak zwane wtyki...

MN: Tak. Ale ja odmówiłem. Ja jak wróciłem z lotniska to powiedzieli mi, że ja mam się zgłosić tam do informacji wojskowej. A ja nie wiedziałem, kto to jest. Wiedziałem, że to są rosyjscy koledzy, ale ja widziałem ich dziwne zachowanie. I to była taka komórka NKWD w wojsku i.. wpierw oni pokazali mi, że oni wszystko wiedzą o mnie. Bo ja im powiedziałem, że ja się nie nadaję, ale oni, że „wszystko wiemy o was, że znamy warunki...”. Nawet się pytali, dlaczego ja miałem inne nazwisko a potem miałem inne nazwisko. Ja byłem zaskoczony. Bałem się im odmówić, ale pamiętam, jak ojciec mówił mi „Pamiętaj, nie daj się wciągnąć do żadnych, absolutnie żadnych, wywiadów”. I ja słuchałem ojca i pod wszystkimi względami chciałem uniknąć tego; że nie znam rosyjskiego dobrze, że nie rozumiem dobrze, co ludzie mówią, ale „my wiemy, że wy rozumiecie...”. no to potem, że ja się muszę uczyć do egzaminów różnych, do szkoły lotniczej, że muszę się przygotować tam z języka i z matematyki. „Nie bójcie się, wszystko będzie załatwione”. Że pomogą mi. I wtedy wytłumaczyli mi o co chodzi. Że są wrogowie, którzy tam... i ja... Aha, i „czy ja wiem, gdzie ja jestem?” Ja mówię, że w sztabie. „Nie, ale jaka to jest formacja?” Ja powiedziałem, jak się nazywa ta komórka w sztabie... „A wiecie co to jest?” „Nie, nie wiem”. I wtedy wytłumaczył mi co to jest. Że są wrogowie wszędzie, w zakładach pracy i w ogóle i że oni chcą ludzi, do których mają zaufanie, żeby im pomogli. Więc te moje odmowy i to wszystko nie pomogły to ja powiedziałem, że dobrze, że wiem, gdzie ja jestem i w razie, gdyby, ja wiedział coś tam o jakichś przedsięwzięciach przeciwko władzy... „no, ale my chcemy, żebyście dali nam stałe sprawozdania. My chcemy, żebyście byli na stałe”. No i tu ja powiedziałem, że ja się nie nadaję do tego. Odmówiłem. Miałem plecy mokre! Odmówiłem. I chyba wtedy zostałem wojskowym odsuniętym jako element niepewny. A jako, że miałem stopień starszyny, taki u nas sierżant i specjalista lotniczy to w ja w tej bazie wojskowej, lotniczej, jako mechanik...

ZS: Ale ten kurs co Pan miał robić, to Pan miał robić na lotnika, prawda?

MN: Na lotnika.

ZS: I od tego został Pan odsunięty i został Pan mechanikiem?

MN: Tak, tak. W tym czasie w naszej jednostce było pięćdziesiąt siedem samolotów. Pięćdziesiąt nowych i siedem starego typu.

ZS: W jednostce, tak?

MN: W jednostce, tak. To w ciągu paru tygodni wszystkie pięćdziesiąt zostało zestrzelone. Bo okazało się co? Że one były tak urządzone, że strzelec pokładowy, wie Pani, to były bombowce, bo tam jest strzelec obrotowy i on strzeże dostępu wrogim myśliwcom. A te sterowce, to właśnie miejsce strzelcy było w polu obstrzału – jak z tyłu był nalot myśliwca, to on nie mógł obstrzeliwać, bo własne stery by ostrzelił. I oni to wykorzystali i...

ZS: I myśliwce od tyłu atakowały te bombowce?

MN: Tak. A ludzie byli bezbronni bo samoloty nie były opancerzone tylko pilot miał plecy opancerzone. I wtedy kiedy oni się zorientowali o co chodzi to umieścili w samolotach w samym ogonie, takie stanowisko ogniowe – wydrążyli takie stanowisko i strzelec leżał na leżąco i wtedy mógł strzelać. I wtedy skończyły się te... i ja byłem właśnie taką ofiarą. To znaczy ja byłem strzelcem ogonowym.

Michał Nadel,

**Rozmowa przeprowadzona przez Zuzannę Solakiewicz, 16.12.2004, Łódź -
dokończenie**

MN: I tam w biurze mi urządzili taki pokój. Absolwenci stali w kolejce. Przede mną stał taki Wieczorek, który potem był nawet wice-ministrem czy ministrem nawet. Przyszła moja kolej – no ucieszyli się, zaproponowali mi – powiedziałem, że ja się nie nadaję. „No, ale dlaczego – przecież macie doświadczenie, tacy są potrzebni nam... piękną przeszłość”. No ja powiedziałem, że jestem chory i że nawet pasa nie mogę nosić... „No, ale u nas Pan pasa nie będzie nosił... będzie Pan cywilem”. I dali mi do zrozumienia, że będę miał jedną pensję u nich a jedną od nich, od jakiegoś innego etatu. Ja się broniłem jak lew a on nadal atakował: „że tak, że tacy są nam potrzebni...”. i jak nic nie pomagało, to on powiedział, że „Ja nie chciałem bym korzystać z zasady o nakazach pracy – bo to była taka ustawa...

ZS: Bo to było przed 1956 czy po?

MN: Przed. 1952 rok. Albo 1953 rok. „Nie chcielibyśmy skorzystać z nakazu pracy i chcielibyśmy, żeby Pan sam”. Jak ja usłyszałem nakaz pracy, to ja wtedy zdębiałem. Powiedziałem, że ja jestem inwalidą wojennym i nie podlegam nakazom pracy. No i jak on to usłyszał, to wiedział...

ZS: ...że to już koniec...

MN: ...no i potem jeszcze z sądem i z ministerstwem była historia – już nie pamiętam, czy ja tam... ale potem był problem z pracą. Ja chciałem pracować. A żona pracowała, bo już dziecko się odchowowało i ona mogła zacząć pracować. A dopóki ja miałem stypendium to jakoś było a tak...

ZS: A żona miała jakie wykształcenie?

MN: Średnie. I ona pracowała w tych firmach jako kasjerka. Ona też była inwalidą wojenną.

ZS: Państwo byli mniej więcej równoletkami?

MN: Nie, ona była młodsza ode mnie o dwa lata. Ona maturę przed wojną jeszcze zrobiła. I chcieli ją posłać na studia do szkoły dyplomatycznej – ona była bardzo zdolna – ale oczywiście nie było mowy. I zaczęła szukać pracy z gazet, z ogłoszenia – tam było dużo tych ogłoszeń: poszukuje się kierownika działu administracyjnego, kierownika takiego, kierownika innego... i ja zbierałem te ogłoszenia. Miałem te wszystkie dane; byłem po wojsku, i jak pisałem, że jestem inwalidą wojennym i według tamtejszych przepisów miałem pierwszeństwo wśród innych o tych samych kwalifikacjach. I albo otrzymywałem odpowiedzi, że już kogoś zatrudnili, albo w ogóle nie odpowiadali. I szukałem kilka ładnych miesięcy. I potem dopiero się zorientowałem, o co chodzi. Że na te wszystkie stanowiska trzeba było być akceptowanym przez Służbę Bezpieczeństwa. I widocznie oni mnie nie dopuścili. Wszystkie. I złożyłem też taką propozycję do Rady Adwokackiej. I miałem znowu pierwszeństwo jako inwalida wojenny. I oczywiście grzecznie, że nie mają wolnych etatów, ale jak będą mieli to mi oczywiście dadzą znać. Czekałem miesiąc, dwa, trzy i nic. I tak czekałem przez rok i w końcu miałem naprawdę fatalne warunki materialne. Poszedłem do uczelni – tam już było POP – Taki tam sekretarz partyjny na uczelni, wydziału prawa. Bo ja nie miałem do kogo się zwracać. Nie chciałem korzystać z żony znajomości czy protekcji. I pokazałem mu te wszystkie podania i powiedziałem, że

labo nie ma już miejsc albo nikt nie odpowiada a Rada Adwokacka nic nie robi. On mi kazał czekać a ja jemu, że już czekałem dobre parę miesięcy. I wziął słuchawkę i zadzwonił do Rady Adwokackiej. Skończył rozmowę i powiedział, że „Pan się zgłosił tam do dziekana Foteckiego [?], nazywa się Fotecki [?]- ten dziekan. I za miesiąc jakiś dostałem zaproszenie na kurs na aplikację adwokacką. Tam były takie specjalne przyjęcia. I dostałem tam to zaprzysiężenie na aplikanta i przydzielili mnie do sądu numer jedenaście, nie... jeden. Koło sądu – na aplikanta. Ale mnie się bali wszyscy. Bo tam się dostawali tylko dzieci adwokatów albo wielcy partyjniacy. Ja nie byłem ani jednym ani drugim. A byłem w wojsku i też w wojsku polskim więc oni myśleli, że jestem z Służby Bezpieczeństwa a adwokaci nie mają czystych sumień. I potem tam przy pierwszej okazji tam przenieśli mnie do zespołu numer jedenaście, tam na śródmieściu. Tam był taki zespół i tam był taki etat aplikanta i mnie tam przenieśli. Tam mnie chcieli zabrać – tam był taki biedniejszy zespół.

ZS: I tam Pan już potem normalnie pracował?

MN: Tam byłem aplikantem przez prawie trzy lata. I zdałem egzamin z aplikacji bo tam z aplikacją było połączone szkolenie. Byłem takim etatowym terminatorem – gdzie były najgorsze sprawy... jak były jakieś odpisy albo jakieś najgorsze sprawy to się aplikantowi daje. „Niech on najpierw przegra a będzie dobrym adwokatem”. Marne grosze były. Bardzo małe miałem uposażenie. Bo ja miałem uposażenie jako pracownik... żona pracowała. Dotrwałem do egzaminu, zdałem pomyślnie i znowu – bo wtedy nie było prywatnych kancelarii tylko były zespoły adwokackie i trzeba było czekać na jakiś przydział do jakiegoś zespołu. I prawdopodobnie wszystkie zespoły się mnie bały. Ale już miałem – w tym zespole, w którym pracowałem, oni mnie już znali i miałem tam pełne zaufanie, lubili mnie i nawet po dziś dzień... jest taki adwokat Szczęsny. On ma dziewięćdziesiąt dwa lata, ale jest całkiem sprawny. Ta jego córka to jest ta artystka – Zawadzka – i on był żołnierzem AK i on wiedział, że do mnie przyszli kiedyś zbierać materiał na niego. „Co ja wiem na niego?”. „Ja nic nie wiem, ja mało wiem, poza tym jestem tylko aplikantem w zespole, mało jestem w zespole, bo ja muszę być w domu bo mam dziecko i żonę. Muszę się uczyć też. Wiem, że on jest lubiany przez tam okoliczną ludność, że ma dobrą klientelę, czasem nawet bezpłatnie, że jest dobrym obrońcą – to mogę o nim mówić”. No ale oni chcieli, żebym ja koniecznie mówił coś o jego politycznych... a on był taki polityczny, wojujący antykomunista. I oni wyszukiwali materiał na niego i oni myśleli, że może ode mnie się coś dowiedzą. I ja ich zbyłem. I to był pierwszy i ostatni raz, kiedy do mnie zgłaszali się z SB. Ale prawdopodobnie on miał jakieś chody tam, bo się o tym dowiedział. Prawdopodobnie, bo ja nigdy z nim nie rozmawiałem na ten temat ani on ze mną. Ale on był dla mnie wyjątkowo uprzejmy i cały

ten zespół. I potem ja egzamin zdałem i chcieli mnie przenieść bo powstały nowe zespoły, w kilku miejscach powstały nowe zespoły to chcieli mnie tam delegować. A oni się uparli – a ja nie chciałem, bo żona ciągle była chora, dziecko, a oni się uparli, że oni mnie chcą u siebie. Ja nawet chciałem iść do innego zespołu w śródmieściu – tam miałbym łatwiej, ale... zostałem u nich do końca, czyli do 1964 roku. Aha, bo jednocześnie ja byłem radcą prawnym w PSSie w ORS... Oni udzielali pierwszych rat. Ośrodek Ratalnej Sprzedaży czy jak tam – to był ośrodek, który udzielał kredytów na zakup różnych materiałów: ubrań, mebli... to była bardzo ciężka praca. Bo ja byłem w PSSie – Państwowa Spółdzielnia Spożywców. Tam był taki kolega, który tam był radcą prawnym, ale on się przeprowadził do Kutna i on mnie tam oddelegował. I tam z dyrekcji do mnie zadzwonili. I on mi powiedział: „Słuchaj, to jest ciężka praca, bardzo ciężka praca”... nie, przepraszam, Maliszewski, radca prawny przedwojenny – on był radcą tam w tym PSSie. I on powiedział, że odchodzi i może mnie tam polecić, ale „Zaznaczam: tam jest bardzo ciężka praca. To jest handel i to jest bardzo ciężka praca, bardzo nieprzyjemne warunki, bo tam są wielkie kredyty i ja odchodzę stamtąd i ja uprzedzam Pana – tam są bardzo ciężkie warunki. Żeby Pan potem do mnie nie miał pretensji”. No ale ja potrzebowałem mieć większy dochód dla rodziny, bo jak na adwokata ja miałem mały dochód bo ja nie miałem naganiaczy, bo, wie Pani, że adwokaci mają naganiaczy. Więc przyjęli mnie tam, ja miałem cholerną pracę, ale dla mnie to była świetna praktyka. Bardzo trudne sprawy, handlowe, takie windykacje. I kiedy zorganizowali ten ORS w 1959 roku... to właśnie ten adwokat, Krzemiński czy jak, co ja się z nim zaprzyjaźniłem, to on mnie właśnie zaproponował do tego ORSu. Nie. W PSSie jak byłem to założyłem taki dział windykacji to byłem tam... i tamten zespół złożył naszemu zespołowi jakąś pracę więc byłem komórką windykacyjną. I myśmy się lubili, tam pracowała żona tego adwokata, moja żona też mi pomagała, bo to były naprawdę duże sprawy, o milionowych sumach. I kiedy powstał ten ORS to oni przyszli do mnie, żeby dla nich pracować bo ta nasza windykacja stała się sławna w całej Łodzi. Tam był też taki zespół od kredytu meblowego i oni splajtowali zupełnie. I nie wiem, kto mnie polecił.

ZS: I tam Pan potem pracował?

MN: Jako radca prawny. Ale ja byłem cały czas w zespole.

ZS: I tam Pan był do 1964 roku?

MN: W 1964 roku weszła ustawa, że albo zespół albo radca prawny. Ja prawie osiwiiałem wtedy – co robić. W zespole za mało, żeby żyć jakoś. A wtedy też aresztowali adwokatów – były nagonki, za łapówki... i że nie chcę się narazić. No i że nie wyżyję z tego, to były

groszowe sprawy. I zostałem , bo to było skromne, ale pewne, W 1964 roku zawiesiłem swoją pracę w adwokaturze – ale to było takie zawieszenie: w każdej chwili wolno wrócić – i zostałem w tym na: [nieczytelne] I później ten ORS został przejęty przez PKO oficjalnie więc stałem się pracownikiem PKO oficjalnie i w pewnym momencie stałem się nawet kierownikiem radców prawnych na całe województwo w pewnym momencie. A potem jak się uniezależniły te ekspozytury to zostałem tylko tu w Łodzi. Byłem radcą prawnym w PSSie w PKO i jeszcze w Gazotechnice: Wytwórnia Gazów Technicznych. Ten zastępca dyrektora w ORDzie stał się dyrektorem w Gazotechnice. I on mnie tam wciągnął też.

ZS: I do którego roku był Pan czynny zawodowo?

MN: Czynny zawodowo byłem do 1993 roku. Z tym, że ja tam ioprac emeryturą ja nie mogę być na pełnym etacie tylko na pół etatu i zacząłem likwidować powoli... wpierw tam w Gazach Technicznych, potem w PKO, w 1983 roku w PKO i w PSSie zostałem do roku 1993.

ZS: Czyli najdłużej w PSSie?

MN: Tak. I w związku z chorobą żony – bo ja bym tam pracował dłużej. Ja byłem tam już w wieku mocno emerytalnym, ale... ja przeszedłem tylko na emeryturę a nie na rentę.

ZS: A jak to było z Gminą Żydowską – jak już Pan skończył te studia, to jakie były Pańskie stosunki z Gminą Żydowską?

MN: No więc tak: pierwszy kontakt był w Krakowie, bo jak ja zacząłem chodzić z laską to chodziłem bo byłem ciekawy, czy może coś się z rodziną dzieje. Więc tam się udałem do Komitetu Żydowskiego i tam spotkałem tych wszystkich Richterów, ale oni się niczego nie dowiedzieli. Tylko dowiedziałem się, że był kibuc.

ZS: Ale gdzie był ten kibuc?

MN: W Krakowie? To byli tacy młodzi z łagrów itd. i tam oni się przygotowywali, tam był edukacja i oni się uczyli. Tam był język hebrajski, oni tam czytali i przygotowywali się do wyjazdu do Izraela. I ja tam zacząłem przychodzić – jak miałem wolną chwilę zacząłem tam przychodzić. Oni mnie tam polubili, bo tam były młode dzieci a ja byłem wojskowy więc to dla nich była atrakcja. A znałem też hebrajski język więc dla nich to była ogromna atrakcja. Jak przychodziłem do nich.

Następnie, kiedy byłem w Kudowie w szpitalu, okazało się, że tam była granica z Czechosłowacją. I tam był taki przerzutowy punkt z tych kibuców niby nielegalnie. Władza wiedziała o tym, bo tam była angielska kolonia i Rosja była zainteresowana, żeby tam przerzucić. I tam był punkt przerzutowy i takie hale po fabryce samolotów. I oni się tam przechowywali dopóki nie przyszła kolei na przerzut. I ja zacząłem tam chodzić – bo byłem wolnym człowiekiem i byłem w mundurze – i tam spotkałem znajomych, nawet takich dalekich krewnych.

ZS: Ale tam tylko młodzi ludzie przejeżdżali czy były też całe rodziny?

MN: Całe rodziny. Tam była fabryka samolotów i tam w tych opustoszałych barakach oni się tam mieścili. I ja spotkałem tam... nie wiem, czy to moi dalecy krewni czy tylko znajomo, ale oni pochodzili z tego samego miasteczka, co moja mama.

ZS: A Pana mama pochodziła z...?

MN: Siedlisko Nowe [?] koło Lwowa.

ZS: Siedlisko Nowe [?] koło Lwowa?

MN: Tak. I oni byli to byli moi dalecy krewni. Bo jak oni przyjeżdżali czasem do Lwowa to oni byli też czasem u nas w domu, w gości. Nie pamiętam, czy ja ich poznałem, czy oni mnie poznali, ale oni się uratowali. Oni mieli takie wielkie ziemskie gospodarstwo – a na tych terenach to tak nie było. Takie gospodarstwo rolne. I jak myśmcy jeździli czasem do nich na wakacje to oni mieli piękne konie. To te konie mnie bardzo fascynowały. I od nich też się dowiedziałem, że oni nikogo nie znaleźli. Oni się tylko uratowali – już nawet nie wiem jak – te dzieci, bo starzy nie. Oni byli starsi ode mnie, wtedy może w wieku trzydziestu lat...

ZS: I oni pojechali do Izraela?

MN: Nie, do Ameryki. Bo tam ich brat wyjechał przed wojną i tam w Ameryce się jakoś urządził i on ich tam ściągnął. Nazywał się Karpin.

ZS: Karpin?

MN: Karpin. To byli bracia wysocy, potężni, piękni. Jakoś nie wiem, czy oni wtedy byli w partyzantce, czy w ukryciu – nie wiem. I to były moje zetknięcia z żydowskim...

ZS: A Pan był kiedyś w Izraelu?

MN: Byłem.

ZS: Ale teraz ostatnio, czy...

MN: W 1973 roku. Kiedy wyjechałem do syna do Kopenhagi to też tak myślałem, żeby się ewentualnie przenieść do Izraela. I syn mi załatwił tam wizę...

ZS: Tak, ja pamiętam, że to trzeba było na osobnych kartkach, że nie w paszporcie, że się nie wbijało wjazdu do Izraela w polskim paszporcie itd.

MN: I tam wyjechałem z synem, spotkałem wielu znajomych, ja tam miałem wielu znajomych ze Lwowa. Jeden był nawet ministrem. Rafael. Był ministrem po wojnie. Był ministrem do spraw wyznaniowych. Bo on miał doktorat z judaistyki. A myśmy chodzili do jednej szkoły i nawet byliśmy w tej samej organizacji, w tej Akibie. Ja byłem w tej komendzie miejskiej a on był w tej okręgowej. Ale on zmienił nazwisko bo on z domu nazywał się Icchak Werfeld. Ale tam w Izraelu zmienił nazwisko na Rafael. Ale te same litery tylko odwrotnie. I jak się wszyscy koledzy dowiedzieli, że ja jestem to...

ZS: ...się zjechali...

MN: ...on przyjechał do Tel Avivu – bo on przyjeżdżał raz na tydzień do Tel Avivu i tam się spotkaliśmy w takim super eleganckim hotelu, gdzie on się spotykał z ludźmi z diaspory. I tam byłem umówiony z nim i on mi załatwił mieszkanie w Jerozolimie. A to było bardzo trudne o mieszkanie w Jerozolimie. Trzypokojowe mieszkanie, pracę w banku Mizrachi. I on mówi: „Tyle ja ci mogę załatwić. Hebrajski znasz, będzie ci łatwo – umieścimy cię w Ulpanie z rodziną, będziesz pensję miał, wszystko. Tobie będzie łatwo bo język znasz, kwestia tylko przyjęcia nowych słów, nowych terminów, terminologii. Pracę będziesz miał – a adwokatem, tego ci nie zapewnię. To będzie zależało od twojej własnej inicjatywy”. I dwa dni czy trzy dni przed wyjazdem byliśmy na wycieczce w Riszon Le-Cion. I tam był cholerny upał i ja tam zemdlałem. Leżałem tam, straciłem przytomność i tam była w naszym towarzystwie taka lekarka. I jakoś mnie tam doprowadziła do porządku i powiedziała: „Pan nie ma prawa wyjechać do Izraela”.

ZS: Mieszkać w Izraelu...

MN: „Panu nie wolno”. I ja niestety musiałem wrócić.

ZS: Pan był w Izraelu z żoną czy sam?

MN: Sam. Żona została w Kopenhadze a ja wyjechałem. I tak się skończyła moja przygoda niestety. Albo stety. A – nie mówiłem jeszcze, że wszyscy moi koledzy w szpitalu w Krakowie, było tam kilkanaście Żydów, żołnierzy żydowskich rannych. I kiedy w Izraelu działa się ta wojna wyzwolenicza, to oni postanowili zrejterować ze szpitala – bo oni już byli podleczeni – i do Izraela. Tam była cała grupa i zastępcą dowódcy był kapitan Barabasz. I ja chciałem z nimi jechać. A z żoną, myśmy postanowili wyjechać razem do tego punktu do Kudowy, tam się mieliśmy spotkać. I ja miałem się pożegnać z nią – myśmy nie byli jeszcze wtedy małżeństwem tylko to była sympatia – i ja się miałem pojechać z nią pożegnać. I powiedziałem jej, że w tej chwili trudno mi nie wyjechać. Rano odprowadziła mnie i tam jest taki park, że dwa kilometry trzeba iść do dworca i w tym parku myśmy się pożegnali. Był piękny letni dzień, piękny dzień, na ławce siedzieliśmy, tam nie było nikogo, pożegnaliśmy się i ja odszedłem. I jak już odszedłem parę metrów, to jednak zachciało mi się ją zobaczyć jeszcze raz i kiedy podszedłem do tego punktu, kiedy mogłem ją jeszcze zobaczyć to ona siedziała i płakała. To było dla mnie... cholernie mnie to ruszyło. A pewnie się martwiłem, że ona może popełnić samobójstwo. Sama, o kulach – ona wtedy chodziła jeszcze o kulach – i wiem, że ona liczyła wtedy na mnie, na jakiś trwalszy związek. I wtedy nie wróciłem się już do niej tylko poszedłem swoją drogą, przyjechałem do Krakowa, do szpitala. I powiedziałem, że „ja niestety nie mogę z wami jechać. Może kiedyś, ale teraz nie mogę”. I oni pojechali beze mnie – to była cała grupa, bardzo ciekawa grupa.

Michał Nadel;

Wywiad przeprowadzony przez Zuzannę Solakiewicz; Łódź 01.12.2004

Kaseta 2

MN: Mówiłem, że byłem tam kontuzjowany przedtem?

ZS: Nie.

MN: Nie to było potem, dużo później. Najpierw byłem w tym ogonie, a potem był nalot na tym lotnisku i wtedy ja byłem na tym lotnisku raniony odłamkami i miałem szczękę połamaną i miałem ogólną kontuzję. Słuch straciłem wtedy, miałem odłamki w oku i wtedy właśnie dostałem się do takiego polowego szpitala do Czelabińska do szpitala. I tam miałem tam usunięcie tego odłamka z oka.

ZS: A kto to wtedy bombardował? To było niemieckie bombardowanie?

MN: Tak. No oni mi tam wtedy to oko uszkodzili i tak ogólnie zdrowie... miałem kontuzjowane. No ale tam mi to wszystko już ustępowało. Jakie tam warunki w tym szpitalu były to nawet nie warto mówić. W pamięci zostało mi jak pewnego razu było mleko, zsiadłe mleko i to niecałe pół szklanki.

ZS: Na pacjenta? No to rzeczywiście... to było w którym roku?

MN: To było w 1941 roku.

ZS: W 1941 roku. I Pan wtedy tam w szpitalu długo leżał?

MN: No kilka miesięcy. Ja nie pamiętam. Może dwa. Jakoś niedługo.

ZS: I potem co?

MN: No ja wróciłem do jednostki mojej. I tam z okolicznych lasów ostrzeliwali nasze samoloty – taki najbardziej niebezpieczny moment, kiedy samolot się unosi, to oni wtedy strzelali.

ZS: Chodzi o to, że jest jeszcze stosunkowo blisko i można trafić?

MN: Nie, nie chodzi o to, że nie można wtedy wyskakiwać. I nie można manewrować bo samolot spada. To są najgorsze momenty.

ZS: A to było już blisko frontu?

MN: No tak, to już było tutaj... chociaż, nie. Front był jeszcze daleko. To był sabotaż. To były dalekosiężne, dalekobieżne... nazywały się DEBETRY/DB3. To były dalekiego zasięgu więc do frontu to było jeszcze daleko.

ZS: A ten sabotaż to był powszechny?

MN: Nie wiem, tam było... nie wiem. Oni tam brali wszystkich zakładników.

ZS: Czyli wszystkich ludzi z zachodu?

MN: Tak, ale nie wszystkich. Bo tam zostali też.

ZS: Ale brali personalnie czy to były jednostki?

MN: Nie, to nie były jednostki. Myśmy byli w normalnie w jednostkach... więc oni personalnie wycofali...

ZS: Czyli to był sabotaż, uczestnicy byli podejrzani, że wzięli udział w sabotażu...

MN: ...niepewny element, nie wiadomo kto, co i jak i w pewnym dniu był raport i potem było 'wystąp, wystąp, wystąp, wystąp, wystąp. No i tam zebrało ich się i był tam taki szereg, ale niektórzy pozostali. Oni jednak byli na służbie NKWD. Nie wiem, czy ja mówiłem, że mnie też wzięli...

ZS: Tak, tak, to Pan opowiadał.

MN: Myślę, że oni byli na służbie, bo niczym się nie różnili od nas. I zawieźli nas do Kurska – bo to było blisko Kurska...

ZS: A to była jeszcze zima 1941/1942 roku?

MN: Nie, to była jesień.

ZS: 1941 roku? Bo to było zaraz jak Pan przeszedł z lotniska do szpitala...

MN: Tak. Tak. Zaraz jak wróciłem do jednostki. Krótka to było. Tak, to nie był 1942 rok. To musiał być 1941 rok. Ale tam zboże było... ale może nieskoshzone, bo wtedy nie było komu... ale wiem, że było zboże na polu. Bo to była jesień i tam nie było komu kosić więc to zostało. I tam w lesie koło Kurska tam był taki wielki obóz wojskowy, olbrzymi tam było z pięćset tysięcy ludzi. I tam brali wszystkich i tam mobilizowali wszystkich. I tam było pierwsze przeszkolenie i jak tylko otrzymali karabiny: na front. Bez butów, bez niczego ćwiczyli ale jak dostali broń, to na front. To był zdrowy element. I przyszli tam wojskowi po wojennych potyczkach to ich tam otrzymali oddzielnie. I tam w tym obozie okazało się, że tam były takie oddziały jak nasze – ale myśmy się dowiedzieli tego potem. Dopiero nad ranem jak szło się do stołówki – a stołówka była jakoś daleko od ziemianek i namiotów – to oni tam śpiewali polskie piosenki. I różne były przypuszczenia.

Jedni mówili, że tworzą armię polską; inni mówili, że na Sybir nas wywożą. I to trwało tam chyba z osiem, dziesięć dni to trwało. Nic nie robiliśmy: tylko było śniadanie, obiad, kolacja marne... ale nic nie robiliśmy konkretnie. Ale inne bataliony ćwiczyły, mówiłem Pani. I bez butów i w ogóle. A my tylko siedzieliśmy i jedliśmy.

ZS: A ile Pan myśli, że to było osób wyjętych z jednostek wtedy? To były setki?

MN: To były setki. Szliśmy do Kurska na dworzec to była kompania za kompanią. Dużo tego było: kompania za kompanią. Koło tysiąca było na pewno. I wszyscy śpiewali te pieśni legionowe, strzeleckie... i śpiewali taki marsz żałobny. I w Kursku, staliśmy na dworcu chyba cały dzień, bo nie było wolnej linii. Był ogólny odwrót zachodu. Tam były linie zajęte, pociągi bombardowane... to było ogólne cofanie się. I w końcu zabrali nas, dali po kawałku słoniny, pamiętam. I chleb, taki surowy chleb. I w tych wagonach bydlęcych – na wschód. Wylądowaliśmy na pograniczu Sybiru i Uralu. Tam taka stacja jest, Kisztyń.

ZS: Kisztyń?

MN: Kisztyń. I tam... piechotą szliśmy, piechotą jakieś piętnaście kilometrów w głąb lasu. Tam było jakieś jezioro, chyba kurskie jezioro. I tam jeszcze dalej w lesie, w głębokim lesie okazało się, że jesteśmy batalionem... specjalnym batalionem. Spec-batalion, gdzie panowała dyscyplina wojskowa, za nieposłuszeństwo była kula w łeb. Były drużyny wojskowe, stopnie, bataliony itd., ale ja na przykład byłem wtedy starszyzna. Miałem stopień wtedy tak jak u nas sierżant. To się nie liczyło. To było równe. Nad nami byli ruscy i oni byli dowódcami. I oni się znęcali nad nami. Za szpiegów, za zdrajców. Bo to był element przestępczy. Bo w Rosji była ta zasada, że jak ktoś jest przestępcą to nie idzie na front tylko na tyły. Na front szli tylko ludzie nie karani. A dopiero potem tzw. karne kompanie. I z tych przestępców oni tworzyli karne kompanie, które szły na pewną śmierć. Jak tam było? Tam było ciężko. To była jesień. Późna jesień. Tam był już śnieg, mróz i na tej gołej ziemi myśmy tam spali.

ZS: Mieliście jakieś lepianki? Namioty?

MN: Nic nie było. Myśmy tam ogniska wzniecali i myśmy dopiero kopali, budowali tam pod te ziemianki. Myśmy kopali doły, inni ścinali drzewa i tak te ziemianki budowaliśmy. Jedni – tam cały batalion, to było dużo – kopali linię kolejową do Kisztyna.

ZS: I tam był ten obóz, tak?

MN: Tak. A jeszcze inni jak zaczęli tam kopać, to się okazało, że tam jest grafit. Tam wykopali takie złoża grafitu. I oni zaczęli go tam wtedy wydobywać.

ZS: To jakoś płytko ten grafit był...

MN: Tak, tak. I tam taką kazali im fabrykę wybudować.

ZS: Ale to dopiero wy zaczęliście budować, tak?

MN: Tak, oczywiście. Tam nic nie było. Tylko dla wojska. I było już dobrze, jak te ziemianki były – przynajmniej było ciepło. Bo w ziemiankach było... one były pokryte, wie Pani, takim deskami... takie bele. Też po bokach, takie bele. I to było pokryte i jeszcze ziemią przysypane. Także to było takie ciepłe dosyć. Tylko, że wilgoć. Tam cholernie mokro było. No i były takie piecyki – nazywały się rybki. I to był taki z blachy graniastosłup w pozycji leżącej i drzwiczki i otwór na komin. No i komin przebijał przez dach i drzewa było dużo, bo to w lesie. A byli tacy chorzy tam, którzy pilnowali tam piecyk.

ZS: A jak z jedzeniem? Ktoś wam dostarczał?

MN: Dostarczali. Strasznie marne jedzenie. Jako przykład dam taki. Miała przyjechać tam jakaś inspekcja z Moskwy. Sprawdzić co i jak. I nagle, myśmy nie wiedzieli dlaczego, zaczęli nas karmić jakimiś gałuszkami...

ZS: Gałuszki?

MN: Tak, tak jakieś takie śląskie pierogi takie. Kopytka, coś w tym rodzaju.

ZS: Takie kluski tak?

MN: Tak. Z takiej czarnej mąki.

ZS: W sensie z żytniej, tak?

MN: Tak. Ale wszyscy chorowali. Dali dużo tego, dali pełne miski tego i wszyscy zaczęli chorować. To było okropne. To było w nocy, zima już, trzeba było często wstawać, wyjść z ziemianki, te buty...

ZS: Bo oni dali wam te gałuszki...

MN: Gotowane, chodziło o to, żeby nas nakarmić.

ZS: Ale dało to odwrotny skutek, bo te gałuszki był zatrute... to znaczy zepsute...

MN: Ale oni nie wiedzieli... może to spowodowało, że myśmy byli wygłodzeni i nagle dostaliśmy dużo tego.

ZS: No ja myślę, tak.

MN: Może i tak. W każdym razie wszyscy chorowali, większość chorowała. No i tak: była noc, piąta rano – ale u nich piąta rano to jest jak u nas trzecia rano – trzeba było maszerować do kuchni, która była tam parę kilometrów od tego obozu. I oni nam dali wywar z kapusty... no pływało tam kilka płatków z kapusty, ale dosłownie... no i tam kucharz miał taki garnek i tam była... łyżeczka wywaru – łyżeczka oleju. Dało się zaoszczędzić. Takie było jedzenie. I chleb – porcja chleba na cały dzień. I ten chleb była taki mokry z tej czarnej mąki – oni mówili, że tam było więcej otrębów, ziemniaków niż mąki. I teraz był problem: czy to zjeść na raz czy podzielić sobie na trzy porcje... i jedni zjedli na raz, a inni gdzieś tam chowali i pili wodę. A obiad był w zależności od tego, jaką wykonywali właśnie pracę. Jak pracowali daleko w lesie to przywozili tam...

ZS: Ta kuchnia, tak?

MN: Tak. To wtedy przywozili taki właśnie wywar z kapusty. Ale nie było ni więcej. O, nieraz bywały takie suche ryby.

ZS: A tak – takie suszone rybki...

MN: Suszone ryby. Ale one takie twarde były. I je trzeba tam było gryźć. Ja zawsze mówiłem, że przywyknijemy do tego. I z tym chlebem. A niektórzy ten chleb chowali i jak się wracało później do ziemianki, to oni brali menażki, czy jak to się tam nazywało, i oni nabierali wody, sól i ten chleb gotowali na tym piecyku. I wtedy się robiła taka cała, pełna menażka, bo ten chleb napęczniał i tym oni się najedli. Bo tym można się było najeść, ale kończyło się wtedy opuchlizną. Obrzęki takie. A to byli wysocy tacy, dziarscy ludzie.

ZS: A ta opuchlizna wynikała z tego chleba?

MN: No chleb z wodą i solą. Takie obrzęki były.

ZS: A jak się Pan z tym wszystkim czuł? Jakie były myśli, co Pan myślał, jakie były uczucia w tym wszystkim?

MN: Byliśmy wściekli. Byliśmy na froncie. Ja miałem wtedy odznaczenie za odwagę, zdaje się. Byliśmy zdegradowani, sponiewierani i faktycznie byliśmy zwykłymi żołnierzami. A oni byli bandytami i nami rządzą. Karali na przykład za łamanie przepisów. Na przykład był taki przepis, że jak mróz spadnie poniżej 45 stopni, to nie wolno było do lasu wychodzić. Tylko trzeba było w ziemiankach siedzieć. A myśmy mieli tylko lekkie mundury, bo jak nas tam zabrali wtedy z frontu, to oni nam nie dali żadnego... dopiero w pewnym momencie oni nam przywieźli takie ciepłe kufajki, buty i czapki. I wzięli... bo to były zwykłe bandziory. Kryminaliści. I oni nam wszystko zabrali i potem sprzedawali gdzieś tam... no ale wcześniej myśmy byli normalnie w letnich ubraniach. Nawet pamiętam taką sytuację: bo rano zawsze była zbiórka i dowódca odbierał raport osobiście i jeden taki – Piątek albo Trzeciak, ale chyba Piątek: chłopak ze Lwowa – i on miał taką pilotkę i ją nałożył na uszy. I pamiętam on do niego podbiegł, taki mały to był major, i... wrzeszczał, że w wojsku jest i szarpnął mu tą pilotkę a ten nie wytrzymał i trzasnął mu. No on się zdenerwował i potem już nie wiadomo, co się stało.

ZS: Z tym chłopakiem – to znaczy on zniknął, tak?

MN: Zniknął, tak. I wtedy stosunki między nami a nimi... oni tam mieli takie zajęcia z polityki i mówili, że Niemcy tam mordują, że tam niemieccy bandyci... a że my tu budujemy taki plac, co będzie na lotnisko przeznaczony, żeby Niemców jednak też...

ZS: I kazali wam skandować też hasła, tak?

MN: Tak.

ZS: Ale mieliście jakąś nadzieję, że to się skończy, że ktoś was stamtąd wyciągnie?

MN: Proszę Pani, nie wierzyliśmy w nic, co tam mówili, i uważaliśmy, że oni tą wojnę przegrają. Myśmy się zastanawiali, dokąd się wycofamy: czy do Mandżurii czy do Chin?

Ale nie wierzyliśmy, że oni tą wojnę wygrają – w żadnym wypadku. Nikt z nas nie wierzył.

ZS: A czuliście zagrożenie życia? Że oni was mogą zabić albo coś?

MN: O tym nie myśleliśmy. Nie

ZS: Czyli czuliście się dalej raczej jak w wojsku?

MN: Tak.

ZS: Jak żołnierze, ale zdegradowani, których będą cofać i...

MN: Tak, tak. Jako element niepewny będziemy wycofani. Ja osobiście miałem takie przeżycie, że był sądny dzień. I tam było kilku Żydów od tych tam... i oni mieli kalendarz i rozniosło się, że mamy sądny dzień. I ja postanowiłem, że nie będę jadł. Bo dla nas to był dzień, kiedy bardzo, bardzo surowo przestrzegano post. Chodziło o pamięć rodziców i postanowiłem, że nie będę jadł. Że jestem chory. Rano nie wstałem z łóżka i oni mi tam przynieśli chleb z kuchni i ja nie jadłem. I to już była oznaka choroby. Jak się nie jadło – no to już musi być poważnie chory. No i wtedy dowódca kompanii przyszedł. „No co tam?” Ja mówię: „nie wiem”. No i zawieźli mnie... gdzie tam?! Kazali mi pomaszerować do takiego punktu szpitalnego, tam, taki był szpital polowy, to było gdzieś tam jakieś dziesięć kilometrów od naszego obozu.

No i dotarliśmy tam i tam był taki felczer. To znaczy: nie lekarz, tylko felczer. Taka była izba chorych. I tam był taki sanitariusz, Franciszek. Ze Lwowa, Polak ze Lwowa. I on mi bardzo na rękę szedł. A ten felczer też był nie zły człowiek. Starszy facet. I jedyne lekarstwo, jakie miał – kto by na co nie chorował – to on plecy malował. Takim brązowym płynem plecy malował i dawał aspirynę. To były jedyne lekarstwa, jakie były. Zimno tam było cholernie. Bo to było z takich gołych kamieni, chałupa taka. I ja tam przeleżałem jakieś pięć czy sześć tygodni. I jak ten Franciszek przychodził... i zmierzył mi gorączkę, to ja miałem 35 stopni z czymś. Bo ja w ogóle byłem osłabiony. Miałem 35 stopnie z czymś. No i okazało się: „gorączki nie masz – masz wracać do obozu”. I pamiętam, zawierucha była, jak tam na Sybirze, te czapki na uszy i w pewnej chwili ten Franciszek woła do lekarza „hej, stójcie tam”. Okazało się, że ten Franciszek przekonał tego tam – on go bardzo lubił, tego Franciszka – że w taki mróz, z taką temperaturą... i znów leżałem tam w tym szpitalu. To było po dwóch, trzech tygodniach. I potem leżałem tam około sześciu tygodni. Po tym czasie wróciłem do jednostki. Był cholerny mróz. I tam był skrót. Przez jezioro. Bo normalnie to było więcej niż dziesięć kilometrów. A przez

jezioro to był skrót. I to była noc. Były wilki. Bo to była Tajga. I przez to jezioro wiał cholerny wiatr. No i dotarliśmy, ale ja już byłem chory. Ja miałem silne osłabienie. I drżałem w tej ziemiance tam w nocy i mnie już nie brali do lasu. A byli tacy, co też byli chorzy ale ich siłą, przemocą zabierali do lasu. I ja miałem tam ten chleb. Bo ja sobie go suszyłem i potem kroilem na plastry, suszyłem go sobie na tym piecyku więc zawsze koło mnie było dużo chleba. I to było dziwne, bo ja na pewno byłem chory i mi wierzyli. I pamiętam, że raz dowódca batalionu tam chodził dookoła i podszedł do mnie i zaczął mnie wypytować, czy ja mam jakąś rodzinę tu czy tam... w Rosji. Bo oni się chcieli pozbyć mnie. Ale ja nie miałem nikogo. Więc dalej leżałem. Ale nas było kilku. Ja nie byłem sam. Był taki jeden Ukraińiec, to on pierwszy... pisał wiersze. Było kilku maruderów. Tak jak u Szwejka, wie Pani, poważnie.

I kiedy Niemcy byli pod Stalingradem i trzeba było mobilizować wszystkie siły na front to przysłała depesza do naszego obozu, żeby specjalistów wojskowych – ale specjalistów – żeby ich odesłać do Czelabińska. Specjalistów było dużo, ale dowództwo chciało się pozbyć tych najsłabszych, tych najgorszych. Bo żadnego pożytku nie było z nich. No i ja byłem specjalistą, bo ja miałem jakąś szkołę ukończoną – już nie mówiłem o tym, ale byłem awiospecjalistą no więc na mnie padł los. Mogłem się wykręcić z tego. Chłopaki mnie namawiali, ale... wojna jest i ja mówiłem, że dla mnie nie ma tam miejsca. No i poszedłem do Czelabińska i stamtąd znowu do jednostki. Lotniczej jednostki. Ale co – już nie byłem zdolny do służby powietrznej, ale jako specjalista lotniczy byłem przydzielony do PARMU. PARM to jest taki skrót: [po rosyjsku:]. To znaczy: Ruchomy Warsztat Lotniczy. No i mieliśmy taki namiot i autobus i w tym autobusie była i tokarka i różne narzędzia potrzebne do doraźnej naprawy tych samolotów. I nas tam było piętnaście zdaje się osób.

ZS: Który to był rok?

MN: Kiedy byli pod Stalingradem. To był 1942 lub 1943 – już nie pamiętam teraz. To była ta wojna o Stalingrad. I oni wszystkie siły wtedy mobilizowali. I mam nawet taką ciekawostkę z tego obozu na Sybirze. Bo Pani pytała, jakie były nastroje. Tam był taki Fryderyk, Frydek, i jeszcze jeden chłopak ze Lwowa... nie pamiętam imienia. I jeden śpiewał a drugi grał na mandolinie. I jak się w nocy siadło dookoła tego piecyka i oni się opierali o ścianę i jeden grał na mandolinie a drugi śpiewał. I wtedy tam właśnie usłyszałem po raz pierwszy tą piosenkę *Dłatego żal mi lata...* ona była już bardzo popularna, ale ja nie znałem jej. Usłyszałem ją tam dopiero po raz pierwszy. Była bardzo przez nas ulubiona. Były tam jeszcze inne piosenki, ale ta była bardzo przez ulubiona.

Raz na jakiś czas przyjeżdżał taki sanitarny samochód i on miał bieliznę, ale nie sanitarną, ale wypraną. Ale to nigdy nie było, bo ta para nigdy nie była w

wystarczającym stopniu gorąca więc to jeszcze gorzej było. No bo nie każdy się tak samo... niektórzy się bardziej brudzili, a ja nie powiem, jakoś nie miałem... ale w każdym razie, jak kładli wszystko do jednego kotła to potem wszyscy mieli po równo. Ale się przyzwyczailiśmy do tego.

I ciekawostka: myśmy z naszego obozu, nie wiem, czy mówiłem to, nie umierali. Tylko pamiętam, jeden wpadł do przerębli w jeziorze – bo tam były przeręble, żeby tam ryby łowić, żaby... bo o tym nie mówiłem, ale myśmy sobie tam pomagali tak, że tam żaby łowiliśmy itd. ryby. Raki, raki a nie żaby. I myśmy potem to piekli i tak. I jeden taki wpadł i ponoć potem chorował na zapalenie płuc, ale ja już nie wiem, co się z nim stało. Ale do mojego wyjazdu nikt nie umierał. Było jedno samobójstwo. Tam chłopak jeden powiesił się w lesie. Ale tam koło nas, niedaleko był taki obóz bataliony estońskiego. Estończycy. Potężne chłopcy, wie Pani, tak jak teraz nasza młodzież. Bo tam przed wojną w Estonii był dobrobyt przecież. I oni nazywali nas wojskiem świętej Kingi. Bo myśmy byli bardzo drobni, ja miałem 1.71 metra wzrostu. I ja byłem jednym z wyższych. Byłem w pierwszych szeregach. Wojsko św. Kingi. To były potężne chłopcy i oni umierali masowo. Widocznie oni byli przyzwyczajeni, mieli inne potrzeby, ich organizmy...

ZS: Nie byli przyzwyczajeni, żeby przetrwać...

MN: A poza tym: myśmy już byli po normalnej służbie wojskowej, po okresie wojny a oni byli prosto z domu zabrani. Mobilizowali ich, mundury dali i na Sybir. I oni nie mieli tego przygotowania więc umierali. A na przykład Kazachów i Uzbeków ponoć na front nie wysyłano, bo oni ponoć ludzkich nieboszczyków...

ZS: Jedli?

MN: Jedli tak. Piekli. Tak. Taki się zapach rozchodził.

ZS: Czyli blisko były te obozy...

MN: Nie, właśnie nie... a te zapachy szły. Takie były warunki. Ale nasz batalion jakoś zniósł to wszystko. No i potem w tym PARMie byłem. I jak się dowiedziałem potem, że się tworzy armia Wasiliewskiej... no wpierw to się tworzyła armia Andersa, ale myśmy nic o tym nie wiedzieli. Tyle, co tylko jakieś plotki, pogłoski doszły do nas. I myśmy nie mieli żadnej możliwości nawet. Ani nie byliśmy pewni ani nie mieliśmy jak się wydostać stamtąd. A kiedy byliśmy już w normalnym wojsku to już mieliśmy dostęp do normalnych wiadomości czy powstanie wojsko polskie... w Riazaniu. I myśmy zaczęli pisać o raporty o przeniesienie do wojska polskiego właśnie.

ZS: Tam do Riazania, tak?

MN: To były ogromne trudności. Ogromne trudności. Myśmy tam pisali raporty i w końcu tam... do wyższych władz. Tam był ten Czelabińsk – taki punkt między Azją a Europą – i tam się koncentrowały wszystkie te urzędy itd. i pojechaliśmy do Czelabińska i tam nas umieścili w takim zbornym punkcie rosyjskim i po kilku dniach okazało się, że oni chcą nas do jednostki rosyjskiej przestać. Z tym, że tam było tak jak w Rosji, że tam były takie poszczególne komisariaty, poszczególne rejony i miały limity, ile można dostarczyć ludzi do wojska. A oni się bronili bo mieli tam te fabryki i mieli polowe roboty i jak najmniej chcieli. Tym bardziej, że tam były takie kumy [?] i oni chcieli nami uzupełnić te braki. I myśmy się zbuntowali i tam był, pamiętam, taki Heniek Poringier – potem spotkałem go w szpitalu w Krakowie – to on był takim naszym przywódcą takim.

ZS: A to wy wszyscy spod tego Stalingradu jechaliście wtedy?

MN: Nie, myśmy... ja nie byłem pod Stalingradem. Myśmy byli w okolicach Kurska a te Sumy [?] te okolice. A potem nas wycofali do Czelabińska i stamtąd do jednostki polskiej, do Riazania. I tego Poringiera i jeszcze dwóch zaaresztowali i myśleli, że złamią nas w ten sposób. I w ten sposób dostała się wiadomość do Moskwy do Wandy Wasilewskiej. Że tak się dzieje u nas więc mieli nas wysłać do armii polskiej. Myśmy się uparli. I przyszedł tam taki rozkaz, że odprawili nas wreszcie do jednostki polskiej. Do Moskwy a stamtąd mieliśmy być dalej skierowani do jednostki polskiej. W Moskwie spotkałem po raz pierwszy – na dworcu, pamiętam, że spaliśmy na dworcu – żołnierza polskiego. Dla nas to była wielka radość widzieć takiego chłopaka. Też Franek. Przed wojną to było tyle Franków! I on się dziwił, że jesteśmy w tych mundurach rosyjskich więc myśmy mu mówili, że jesteśmy skomenderowani do jednostki polskiej. I on nam postawił piwo. Ale byliśmy zdziwieni... myśmy myśleli, że w ogóle nie ma takich rzeczy. A tam w Moskwie było i piwo i... potem się dowiedzieliśmy, że jak dla dowódcy to nawet koniaki były i inne różne. A dla żołnierzy polskich na dworcu było piwo i on nas częstował tym piwem. Przespaliśmy noc na tych kamieniach... to był Kurski Dworzec. Na tych kamiennych posadzkach, tymi szynelami owinięci – to, wie Pani, jeden koniec się bierze pod głowę, drugi pod nogi i jakoś było cieplej. I tak jeden koło drugiego jakoś było cieplej i zasnęliśmy. Rano – to taka ciekawostka – nagle huk i radio: [śpiewa] *Wstawaj na śmierć na bój...* tego też nie znaliśmy. To była taka pieśń bojowa, która potem się zamieniła na taki hymn. Kiedy był tutaj Aleksandrowa Chór – tutaj w Łodzi – to oni też to śpiewali [śpiewa znów]. Taka piękna melodia. I oni tam na tym dworcu – bo tam był wysoki, takie sklepienie – i oni tam nadawali i rzeczywiście to robiło wrażenie... I to taki bojowy no...

to rzeczywiście mogło podrywać. No i myśmy się tam zameldowali na komendzie i dali nam legitymacje i przepustkę wojskową do jednostki w Chełmie. Wtedy w Chełmie była jednostka.

ZS: Czyli to był już 1944 rok, tak?

MN: Tak, tak. To była jesień 1944 roku. I myśmy mieli jechać z na Mińsk. Z Moskwy na Mińsk i dalej na Chełm. Ale myśmy postanowili, że jedziemy na Kijów i do Lwowa. To była dezercja, ale wtedy była chaos, bałagan, wie Pani... mieliśmy ten list. Jak on się nazywa... taki list – i tam byli wymienieni wszyscy z nas. Stopnie, wszystko i że do jednostki polskiej. I mieliśmy do Chełma. I my nie mieliśmy niczego: jedzenia, niczego. I mieliśmy podjadać na stacjach – pajok, tak to się nazywa. Prowiant na każdej stacji rozdawali na podstawie tego listu. We Lwowie mieliśmy trudności no bo jak tam do Chełma... ale wtedy oni byli już w Lublinie. Ta nasza droga trwała, wie Pani. We Lwowie byliśmy trzy dni, bo każdy chciał zwiedzać różne miejsca itd. A wtedy tam był stan wojenny, bo Ukraińcy bardzo chcieli... na każdym kroku były zamachy, porwania, jednostki ukraińskich żołnierzy. I oni ogłosili stan wojenny. A myśmy byli bez dokumentów, wie Pani... pierwszego dnia dali nam ten pajok ale po tym mieliśmy dalej jechać. A myśmy tam siedzieli dwa dni. Oczywiście byłem u siebie, ale nikogo nie zastałem.

ZS: Ale dom był? Mieszkanie było?

MN: Dom był, ale tam już jakiś Rosjanin mieszkał. Ale było zamknięte na klucz i ja nikogo nie zastałem. A potem to już się bałem tam chodzić... tam jeszcze spotkałem jedną jeszcze rodzinę Żydowską, która uratowała się. Wszyscy zginęli. Tylko ta jedna rodzina sąsiedzka uratowała się i to w sposób taki ciekawy. To była rodzina ortodoksyjna. Głęboko ortodoksyjna. Wie Pani, ojciec z brodą itd. i oni mieli tam taki sklep tekstylny. A syn był po maturze – Richter nazywał się – po maturze... to był taki chłopak maminsynek. Większość to byli jacyś sportowcy. łobuziaki i tacy, wie Pani... a ten to był taki maminsynek. On się nie udzielał tam z nikim. Tylko matura i takie tam. I Pani sobie wyobrazi, że on uciekł właśnie z tego obozu, gdzie był mój brat. Uciekł do partyzantki. A potem w oddziałach Niemców, w mundurach SS, on jako dowódca – kilku tam miał takich... – on do getta przyszedł i całą swoją rodzinę wyprowadził.

ZS: Niesamowite!

MN: Nigdy bym nie uwierzył, wie Pani. To był taki chłopak-maminsynek. I cała rodzina gdzieś tam do partyzantki, gdzieś tam w lasach Wołynia... I cała rodzina się uratowała.

ZS: Ale to była partyzantka polska? Czy ukraińska?

MN: Nie wiem, czy polska czy ukraińska... może zmieszana – wie Pani, tam były różne grupy. Ale myślę, że to była jakaś rosyjska, może ukraińska. Jakaś mieszana. I od nich mam losy mojej rodziny.

ZS: Wtedy się Pan dowiedział dopiero wszystkiego...

MN: Okazało się, że ojciec się załamał zupełnie – ja zdaje się mówiłem już o tym – i w jak Niemcy robili łapanki to myśmy mieli na podwórzu wejście do kanału. Bo to było nad rzeką Pełtew. Normalnie wzdłuż ulicy były domy a pod ziemią szły kanały. I był taki boczny kanał właśnie do tej Pełtwy. I w tym kanale właśnie moja rodzina – jak była łapanka – uratowali się. Pewnego dnia – tam był dozorca w drugim domu – wydał ich Niemcom i Niemcy zabrali całą moją rodzinę. Więc wzięli tam ojca i matkę i pewne osoby z mojego rodzeństwa... wzięli ich na jakiejś platformie – dokładnie nie wiem jak...

ZS: Pociągiem?

MN: Na takiej platformie tramwajowej. Ale dokąd ich wieźli dokładnie – ja nie wiem. Chyba do obozu janowskiego – bo we Lwowie był obóz janowski– gdzie część zabijali od razu a część była brana do roboty. A z kolei jeden brat, młodszy ode mnie, i najmłodszy brat, braciszek, oni byli w tym obozie janowskim. Nie wiem, czy ja to mówiłem...

ZS: Tak, że on wyjechał tym wozem, tak?

MN: Tak.

ZS: I że Pan tego młodszego już nie odnalazł, tak?

MN: Tak. A co do siostry to też mówiłem?

ZS: Nie.

MN: Nawet mam tu jej zdjęcie. Nie pokazałem Pani tego zdjęcia?

ZS: Nie, nie.

MN: [pokazuje] O to moja siostra... A to syn mój. Ale miałem drugie zdjęcie...

ZS: A to jest Pana siostra, tak?

MN: Tak.

ZS: I co się z nią stało?

MN: Wiem, że ona psychicznie była bardzo słaba. I zabrali ją gdzieś na pewno.

ZS: Ale osobno od rodziców, tak?

MN: Nie wiem, nic nie wiem.

ZS: A co się z tą Anią stało?

MN: Nie wiem, byłem tylko tam, gdzie ona mieszkała – to był taki... gdzie było dużo chrześcijan. I powiedzieli mi, że zabrali ją z całą rodziną i tylko jedna jej siostrzyczka, jakaś młodsza, uciekła. I ten dom był blisko takiego wzgórza, ono się nazywało Góra Stracenia. I ona tam się w tych krzakach jakoś ukrywała, przechowywała się. I przychodziła nieraz do domów tam to jej dawali jakiś kawałek chleba, albo coś tam... i potem też znikła.

ZS: Znikła też?

MN: Tak, no widocznie zmarła gdzieś tam, albo ją zabrali.

ZS: Tak, że wszyscy z rodziny zginęli?

MN: Wszyscy.

ZS: I tego się Pan dowiedział wszystkiego od tego Richtera, tego chłopaka?

MN: A oni z kolei bali się mnie, bo bali się Rosjan, NKWD i oni myśleli, że ja jestem z tej służby... bo wtedy wszystkich się podciągało pod...

ZS: Taka panowała podejrzliwość?

MN: Tak, tak. Nawet nie poczęstowali mnie herbatą. [ogląda zdjęcia] Ona raczej była do Ukrainki podobna... miała grube warkocze, wysoka, szczupła. Co mi pozostało... ciekawe są te napisy.

ZS: „Bliskie Ci istoty” – jak ładnie napisały...

MN: Jedna Ania i druga Ania.

ZS: 28 stycznia 1941 rok – czyli już po tym, jak Pana powołano do wojska?

MN: Tak, tak.

ZS: Można je skserować?

MN: Tak.

ZS: To ja je Panu następnym razem przywiozę, dobrze?

MN: Tak, tak, ale one są dla mnie bardzo ważne...

ZS: No ja myślę.

ZS: Ale na razie po tym Lwowie Pan do tego Chełma dojechał?

MN: Tak, tak. Ze Lwowa do Lublina pojechałem... naprzeciwko naszego domu była synagoga. Jedyna, która się uratowała. I tam był taki komitet Żydowski.

ZS: To była ta synagoga na ul. Zawalnej?

MN: Nie wiem, jak ona się nazywała... Węglowa czy jakoś?

ZS: Ale to blisko dworca kolejowego, prawda?

MN: Nie, nie. To inna jeszcze, tam gdzie ojciec był zawsze. W samym śródmieściu. Dwupiętrowa. No i potem w końcu w Komitecie jeszcze byłem. Pamiętam dali mi taką listę osób z partyzantki, których wyrzucili z lasów do Lwowa – taki wykaz tych osób – których w Lublinie... taki magister Wertheim nazywał się – on był w tym Komitecie głównym dostarczył pułkownikowi Kahane. To był taki główny rabin Wojska Polskiego i on mnie nawet uczył jeszcze kiedyś w szkole...

ZS: We Lwowie? Przed wojną?

MN: Tak, tak. Uczył religii.

MN: I dostarczyłem mu tam ten wykaz.

ZS: A kto Panu dał ten wykaz?

MN: W tym Komitecie Żydowskim, który się otworzył we Lwowie.

ZS: Właśnie w tej synagodze?

MN: Tak. I oni mi dali właśnie z prośbą, żebym to przekazał. I jak ja byłem w tym Komitecie w Lublinie to ja też się zgłosiłem do jednostki...

ZS: Czyli najpierw do komitetu a potem do jednostki?

MN: Tak, tak. I było nas kilkanaście osób. Już nie pamiętam czy jedenaście czy dwanaście. I mieliśmy wspólną tą kopertę. I jak myśmy się dowiedzieli, co tutaj się dzieje – wszyscy byli przeciwnikami komunizmu. I jedni postanowili iść do lasów a inni gdzieś tam... i ten nasz dowódca z tej koperty każdemu z nas dał dokumenty i powiedział, żeby każdy robił co chce. No więc ja chciałem się dostać do komitetu... i myślałem, że dowiem się czegoś o mojej rodzinie. No i ja powiedziałem, że jestem wojskowy i chcę do jednostki – bo ta jednostka tam była, pamiętam, na ulicy Browarnej – i niektórzy mi odradzali. Mówili: „po co tam idziesz? Cała rodzina twoja zginęła. Ciesz się, że żyjesz”. A był różne wypadki... no tam były narodowe siły zbrojne...

ZS: Często się zdarzały takie przypadki, że ludzie ginęli?

MN: Tak, tak. No i nawet tej nocy, jak ja się zgłosiłem – tam były takie dwa piętra i na górze zawsze było ciepłej. Ale tam byli żołnierze z demobilizacji i byli tacy, którzy byli przesyłani z jednostek... jednej do drugiej. I nagle w nocy huk, hałas z góry i okazało się, że tam było paru Żydowskich inwalidów to ich rzucali z góry na dół. Wie Pani – coś strasznego. Byłem bezsilny, żeby reagować, ale myślałem sobie: co ja zrobiłem? Ale były takie fakty. Ja tego nie odczuwałem, ale były takie. Był na przykład taki chłopak, sierżant, spod Białegostoku pamiętam, on dostał urlop, żeby się zobaczyć z rodziną – nagrodę taką – i tam go podobno rozstrzelali.

ZS: I to sąsiedzi go wydali?

MN: Tak.

ZS: I o tym się rozmawiało, o tym było głośno?

MN: Tak, tak.

ZS: Ale były jakieś postępowania wobec nich?

MN: Były tam, były takie sądy... teraz się mówi, że żołnierzy codziennie rozstrzeliwali. A bardzo często rozstrzeliwali zwykłych bandytów, bandziorów, wie Pani, którzy się podszywali pod wojsko. Szczególnie NSZ miało takie przypadki. Ja też zresztą – nie wiem, czy mówiłem już – miałem taki wypadek, że byłem o krok od śmierci.

ZS: Nie, nie mówił Pan o tym.

MN: No więc tak: z Lublina do jednostki, na Browarną. Z Browarnej, z tego punktu zbornego na Majdanek – tam był taki obóz wojskowy na Majdanku – i tam nas trzymali w takich batalionach. Ja byłem w takim batalionie szkolnym. A bo ja nie mówiłem o tym – ja miałem papiery lotnicze. Ale ja nie chciałem – jak się dowiedziałem o śmierci całej rodziny – ja chciałem iść normalnie na front. Do latania nie byłem zdolny więc ten dokument schowałem i mam go po dziś dzień, gdzieś tam. Tam miałem stopień wojskowy i to wszystko. I miałem też inny dokument po ukończeniu tej szkoły awiospecjalistów – ja nawet miałem dokument...

ZS: Sierżanta, tak?

MN: Tak i ten dokument pokazałem a resztę schowałem. Więc z tego wynikało... oni umieścili mnie, ponieważ miałem wykształcenie, w tym batalionie szkolnym, z którego potem wysyłali do różnych szkół oficerskich. I mocno przeżywałem tam na Majdanku...

ZS: Bo to był obóz, tak?

MN: ... bo tam się szło i tarło się po ziemi, do kości. I tam byłem w kuchni. I w tej kuchni był napis, że „w tym miejscu – taki a taki, w tej chwili nie pamiętam nazwiska – zamordował uderzeniem młotkiem w głowę trzydzieści-kilka osób”.

ZS: A to zrobił ktoś odręcznie, tak? Na ścianie taki napis?

MN: Tak.

ZS: Po polsku?

MN: Tak, po polsku. No i tak dalej wie Pani... były te wszystkie piece i kości pod rusztami, to wszystko było.

ZS: To był 1944 rok?

MN: Stosy odzieży... olbrzymie stosy dziecięcej odzież – tam to wszystko było. A już najbardziej przeżyłem sylwester... tylko nie pamiętam, czy to był sylwester czy to była ta wigilijna... tego nie powiem. I pamiętam była taka okropna, wietrzna pogoda i tam te kolędy śpiewali, pili, bawili się, śpiewali, wie Pani... i dla mnie to było straszne przeżycie. Tutaj te groby a tutaj normalnie bawili się i śpiewali. To są orgie. Mocno przeżywałem. Tego nie zapomnę nigdy. No i później z taką małą grupką przesłali mnie do Przemyśla, gdzie była Szkoła Oficerska. I zostałem takim ELEWEm w tej szkole...

ZS: Kim Pan został?

MN: No takim podchorążym.

ZS: ELEW od LW?

MN: ELEWE tak. I tam byłem podchorążym. A stamtąd z kolei – jak odbili Kraków – to nas z kolei przewozili do Krakowa. I tam też kilka dni w drodze było. W międzyczasie było takie święto, bo akurat Warszawę wyzwolili. I jak myśmy byli w tej drodze to była taka

akademia huczna w polu. No i tam śpiewaliśmy taką piosenkę *Warszawa, moja Warszawa...* wie Pani, u mnie się często wiążą wspomnienia z melodiami. Albo ze słońcem. Na tych akademiach były często biegi. Kto będzie pierwszy? I ja byłem nawet pierwszy. Bo ja byłem szybkobiegaczem. Pamiętam we Lwowie miałem drugie miejsce na krótkie dystanse. No i potem była Szkoła Oficerska w Krakowie. I to polegało na tym, że w dzień była nauka a w nocy często był alarm. Nawet pamiętam, jak raz przeszła grupa ze Słowacji na nasz teren. I wtedy właśnie byłem ranny. Drobne, takimi odłamkami, ale jak upadłem, to po mnie przejechał jeszcze taki samochód wojskowy. Ciężki. Taki Sudbecker, amerykański, taki dziesięcotonowy, przez mnie przejechał. To nie są żarty. I wtedy lekarze mówili, że ja miałem złamaną w ośmiu miejscach miednicę. I dolne kręgi, uszkodzenie rdzenia nastąpiło. I tam mnie znieśli z tej drogi na płaszczu na samochód a ci Niemcy, samochodem uciekli. Nasze samochody tam były też – z jednej i z drugiej strony – bo myśmy widzieli, że oni tam mają przyjechać. I na te nasze samochody mnie tam zanieśli. I dopóki mnie nie ruszyli nic mnie nie bolało. Myślałem, że umrę a tu się okazało, że wszystko jest w porządku. Ale jak mnie ruszyli – straszny ból, niesamowity. I widać z tego bólu straciłem przytomność. I potem jak już jechałem odzyskałem przytomność i straciłem znowu w szpitalu. Oni mnie w gips nie mogli dać. Miałem jamę brzuszną otwartą, operowali mnie, tam mi podobno wycięli dużo jelit. I mam bliznę, bardzo szeroką, po dziś dzień od pępka tutaj aż... tej szerokości.

ZS: Czyli całą jamę brzuszną miał Pan otwartą?

MN: Tak, całą. A więc w gips mnie dać nie mogli. Ból niesamowity. Ja na morfinie byłem cały czas. Tam się zapalenie otrzewnej wytworzyło, które samo do śmierci wystarczy. I musieli puścić wszystkie plastry, żeby ta ropa miała jakiś odpływ.

ZS: Czyli Pan się w ogóle nie mógł ruszać?

MN: Nie, w ogóle nie. No i właśnie z tego powstało zapalenie płuc. Dwustronne. Tak więc każda choroba wystarczyła, żeby umrzeć. Ja mam na to wszystko dokumenty. Jak mnie przenieśli ze szpitala w Krakowie tutaj to mnie się udało wszystkie dokumenty zabrać tutaj.

ZS: To w 1946 roku był Pan ranny?

MN: Nie, w 1944 roku.

ZS: A, w 1944 roku...

MN: Nie, w 1945 roku. W lutym albo w marcu. I ja właściwie w tym szpitalu czekałem kiedy, umrę. No poważnie, antybiotyków już nie było, plastry musieli ściągnąć. Zapalenie płuc. Ja pamiętam, że te bóle były straszne. A jak nie mieli tej morfiny... i nagle nastąpił przełom. Ja miałem ciągle gorączkę, byłem nieprzytomny i taki Lwowiak, złodziejasek chyba – mówiono o nim, że on sobie postrzelił palec tylko po to, żeby się dostać do szpitala. I ciekawe było to, że jak tylko zaczęło się goić, to jak był obchód lekarski, to on nagle: „Panie doktorze, mnie już wszystko lepiej, ja już mogę iść do jednostki”. Lekarz: „Nie, poczekamy jeszcze dwa dni”. I po dwóch dniach jemu to zaczęło ropic. I to był taki dobry duch nasz – bo myśmy tam mieli marnie, ale tam były siostry zakonne i one miały swój prowiant itd. i on im kradł ten prowiant. I nam roznosił. I jak ja miałem tą ciężką noc – ja prosiłem siostry, żeby mi dały jakąś morfinę albo coś, ale... – to on poszedł i przyniósł mi jakąś tabletkę, ja nie wiem co. I ja padłem nieprzytomny. Obudziłem się nad ranem i...

ZS: Przeszło?

MN: Wszystko przeszło. Gorączka spadła i zaczęła się poprawa. I ja później chodziłem na tramwaju – to się tramwaj nazywało – bo ja nie mogłem normalnie chodzić ani wstawać tylko siedzieć. Pozycji stojącej nie mogłem utrzymywać. Więc dostawałem koc, składałem w kostkę na podłodze – podłogi były wypolerowane – i popychało się i na tym kocu się jeździło po całym korytarzu. I to był tramwaj. I tam był Kostarczyk, taki bardzo miły człowiek, ja mu dziękowałem, przedwojenny taki oficera a wtedy lekarz... i on mówił, żebym nie dziękował bo oni byli bezsilni: „Bóg, opatrność, pana organizm, ale nie medycyna. Ona była bezradna tutaj”. Ale na szczęście przyszedł tam taki oficer, lekarz zwolniony z obozu i został przydzielony do naszego szpitala. I on obchodził i zapoznawał się z każdym jednym pacjentem. A na sali było osiemnaście osób. No ale zagoiło się wszystko, oni tam zdjęcie robili, zdjęcie Roentgena i ono wykazało te wszystkie złamania – ja nawet mam gdzieś to zdjęcie. Wszystkie te ubytki. Mieli mnie operować no i on przyszedł. I oni tam mieli naradę i zdecydowali, że...

ZS: Zbyt ryzykowna jest ta operacja?

MN: Tak. A on tam przejrzał jeszcze te zdjęcia i potem przyszedł i pyta: „Jak?”. Aaa, bo on mnie w ogóle przeklął – jak jeździłem tym tramwajem to on pytał, co to za cyrk. A ja mówiłem: „Nie panie profesorze, to tramwaj a nie cyrk”. Także humor mnie się już trzymał. A on: „Cyrk. Do sali”. I on potem przyszedł następnego dnia czy po dwóch dniach i mówi: „Niech pan usiądzie. Niech pan wstanie”. A ja mówię, że nie mogę, bo nie

mogłem. Próbowałem, ale nie mogłem. I on wtedy podał mi rękę i w końcu wstałem. Wyprostowany. Ja byłem zaszokowany. I on mówił, żebym każdego dnia kilka razy wstawał i wyglądał przez okno. I tak robiłem. Wstawałem, trzymałem się poręczy i zaczynałem tam powoli kroki robić. I powoli próbowałem chodzić o kulach. I potem chodziłem z laską, długo tak chodziłem, bo miałem bóle. I wysłali mnie do sanatorium, do szpitala wojskowego do Kudowy...

ZS: Czyli Pan ponad rok przeleżał?

MN: Półtora roku. I do Kudowy. A potem znowu do szpitala, do Buska. I w Kudowie chodziłem już o lasce i zacząłem chodzić po górach. I – ja nikomu o tym nie mówiłem – ale tam były takie drogi, ale ja chodziłem prosto. Ja miałem krew ze Lwowa. I po takich spacerach miałem bóle okropne i leżałem w bólach przez dwa dni, ale po tych dwóch dniach, na trzeci, znów zaczynałem chodzić. No i o lasce jeszcze pojechałem do szpitala. I tam były takie różne, nagrzewania i takie inne. I potem wysłali mnie do Buska. I tam pod wpływem tych kąpiei i tego wszystkiego zacząłem chodzić bez laski. Nie wierzyłem sam. I potem wróciłem do Krakowa i już laski nie miałem. No i właśnie wtedy ta moja znajomość z żoną się zaczęła.

ZS: A jak się Pan poznał z żoną?

MN: Ja się z nią poznałem w szpitalu.

ZS: A ona co robiła?

MN: Ona była na Powstaniu Warszawskim.

ZS: A ona była warszawianką?

MN: Ona była warszawianką?

ZS: A jak się nazywała?

MN: Nazywała się Stanisława. Arwdach

ZS: Arwdach

MN: A w dokumentach była jako Kulda.

ZS: Kulda?

MN: Kulda. Tak. Stanisława Kulda, tak. Nawet mam jej zdjęcie w książce takiej, „Lata walki”. Ona opisana jest. Mogę ją Pani pokazać. Opisuja ją jako taką wierzącą katoliczką. Ona wprawdzie była z takiego domu asymilowanego, ona była dzieckiem lekarza.

ZS: A Kulda to było jej nazwisko okupacyjne, tak?

MN: Tak, Kulda, Ostojka, różne miała.

ZS: A ona się znalazła w getcie?

MN: Tak, była w getcie i przeszła na aryjską stronę.

ZS: A na aryjską stronę przeszła...

MN: O tutaj jest. Na zdjęciu.

ZS: O faktycznie. „Stasia Kulda, młoda inteligentna, nadzwyczaj religijna dziewczyna. Zwerbowana przez nas do działania razem z Marysią stworzyły razem doskonałe warunki działalności. O nic nie pytały, spełniały wszystko, o cośmy prosili. Każdego wieczora wynosiliśmy razem z Marysią i Stasią granaty, pistolety, naboje i prasę. Zakopywaliśmy w piwnicy pod węglem lub na grządce. One wynosiły przedmioty i zносиły pod wskazany przez nas adres”...

MN: Ona była równocześnie w AK, ale oni nie wiedzieli o tym jeszcze.

ZS: Aha, bo ona była równocześnie członkiem Gwardii Ludowej...

MN: Ona nie była członkiem tylko pomagała im.

ZS: Aha, ona taką łączniczką była...

MN: Łączniczką. Tam też Spychalski był. I tam też w domu była ta Celina... co była bezpośrednią asystentką Spychalskiego. Ona jeszcze niedawno żyła. W Warszawie byliśmy u niej w gości. Ona wyjechała tam do Francji i potem wróciła do Warszawy, ale potem nie wiem, co się stało. Ona była pisarką, literatką. I oni nie wiedzieli, że ona ich

może cały czas wydać – jak oni się potem, po wojnie, dowiedzieli, że ona była w AK również to oni byli zbulwersowani, że ona ich wszystkich mogła wydać... ale z kolei żona się bała AK, że oni ją mogą wziąć za szpiega.

ZS: A dlaczego ona była tak podwójnie?

MN: Dlatego, że ona tam mieszkała w tym mieszkaniu i ona im tam pomagała.

ZS: To znaczy ona sama poszła do AK a...

MN: Ona była w AK jeszcze tam od dawna, ale jak mieszkała i dowiedziała się, że ci ludzie mają swoje... to im pomagała. Chowala im broń, nosila im broń. A najbardziej się bała, że w AK tam były takie informacyjne... no takie wyciągi z informacji zagranicznych i ona dostawała je i nosiła i je Spychalskiemu dawała. I dlatego potem się bała w Warszawie mieszkać. Między innymi też dlatego.

ZS: A ktoś z jej rodziny przeżył?

MN: Nikt. I poza tym też w tym powstaniu straciła dużo tam koleżanek, kolegów. I bała się... bo dostała Krzyż Walecznych od Spychalskiego i od Radosława też. Jedno nie wiedzieli o drugich. I właśnie kiedy była w Krakowie w szpitalu to właśnie poszukiwano ją z Warszawy i dali jej ten Krzyż Walecznych. Ale potem w Warszawie ona się bała, że coś się wyda i wołała nie ryzykować.

ZS: A ona wyszła z getta, w którym roku?

MN: Krótko była.

ZS: To był 1941, czy który?

MN: Zaraz po utworzeniu getta.

ZS: A cała jej rodzina została w getcie?

MN: Tak.

ZS: I oni prawdopodobnie zginęli tam... a ona się ukrywała u kogo tam?

MN: A różnie. W tym miejscu ona pracowała jako pomoc, jako opiekunka do dziecka. Oni mieli dziecko głuchonieme – a on potem przyjeżdżał tutaj do nas. On później inżynierem został – to ona opiekowała się nim.

ZS: A Stanisława to było jej imię od początku, ona nie zmieniała go?

MN: Tak, tak.

ZS: Tylko nazwiska?

MN: Kulda. A miała pseudonim Sławka. Nawet ma taką legitymację, gdzie jest Sławka. To są naprawdę takie historie, że to się nadaje do filmu i nikt nie uwierzy, że to się zdarzyło naprawdę. No a potem była w szpitalu, noga cała strzaskana...

ZS: A jako to się stało, że ona trafiła do tego szpitala w Krakowie?

MN: Tam AK tych swoich ludzi... bo oni byli w tych szpitalach w podziemiach i ona była ciężko... na nogę gangrena się wdała. I Niemcy ogłosili, że można – wtedy, kiedy ten Bór-Komorowski... wtedy oni pozwolili tych ciężko rannych do Krakowa przenieść. I wtedy ci koledzy z AK ją zabrali z tą gangreną i nogą całą... ropiała. I tak znalazła się w Krakowie.

ZS: A Pan wyszedł z tego szpitala w końcu w 1946 roku?

MN: Tak.

ZS: I pobraliście się jakoś szybko po tym?

MN: Nie. Myśmy się pobrali w 1946 roku, jesienią. Wzięliśmy ślub taki wojskowy, wie Pani, ci koledzy ze szpitala...

ZS: Czyli jeszcze w szpitalu się pobraliście?

MN: Tak. Jeszcze w szpitalu. Ale ja już chodziłem. Myśmy się pobrali – taki wojskowy ślub. Koledzy – spaliśmy w hotelu. A potem ja pisałem do Warszawy, nie wiem, czy mówiłem o tym?

ZS: Nie.

MN: Bo trzeba się było usamodzielnąć. Pisałem do komendy, że ja jestem inwalidą wojennym, tam 80%, i miałem być demobilizowany. Ale ja się po prostu bałem iść do cywila. Domu nie miałem, nic a tu... i w każdym momencie bałem się nawrotu tej choroby jelit. Ciągłe czasem mnie bolało jako chodziłem. I wtedy napisałem do Warszawy. A jeszcze jak byłem w Kudowie to nam proponowali, jak przyszedłszy do szpitala, tam te władze miejscowe, domy po Niemcach. Bo wtedy wysiedlali Niemców. Piękne wille. A żona była w Krakowie. Więc ja napisałem do niej: „Słuchaj Stacha, taka a taka sytuacja, można dostać bardzo piękne wille, ale tylko pod warunkiem, że ty...”. I ona odpisała, wzięła to wszystko na żarty, więc ja zrezygnowałem. Wróciłem do szpitala z zamiarem zostać w wojsku. Napisałem do Warszawy, że jestem w szpitalu w tej chwili – mam taki procent ubytku zdrowia – ale jestem specjalistą lotniczym...

ZS: ...no wtedy się Pan przyznał...

MN: ...tak. i chciałbym służyć dalej. A oni się tam cieszyli, bo oni odesłali wtedy wszystkich rosyjskich oficerów. Musieli wracać do kraju. A oni musieli uzupełnić szeregi. Więc w sztabie w Pruszkowie zaproponowali mi albo pracę na lotnisku Okęcie albo w sztabie w Pruszkowie. A żona bała się. Mówiła, że do Warszawy nie pojedzie. I ja powiedziałem, że ja muszę z żoną porozmawiać. Ona: „W żadnym wypadku do Warszawy nie pojedzie”. A był taki major Martynow, major rosyjski z lotnictwa, i jak on usłyszał ten mój dylemat – bo ja mówiłem, że żona jest chora, że musi mieć specjalne warunki – on powiedział, żeby przyjeżdżała do niego bo on ma kurort. Okazało się, że pod Łodzią była baza lotnicza koło Wiśniowej Góry. Tam była taka kolonia, osada Bronisławów albo Bolesławów. I tam była baza lotnicza. A tam były też wille i była wygoda mieszkaniowa. Więc zgodziłem się na to. Potem okazało się, że te wille są zdewastowane i że są do rozbiórki i ja musiałem znaleźć jakieś mieszkanie w Łodzi. I okazało się, że nie tak łatwo... a ja byłem wojskowy, ja musiałem być w jednostce codziennie. I wtedy żona wykorzystała tą znajomość z Sowińskim [?] – on tam przychodził jeszcze w Warszawie, jak się zbierał ten sztab, to był I Sekretarz Łódzki, pułkownik Noga-Sowiński. I on dał nam tymczasowe pomieszczenie na przedmieściu, na ulicy Szymonowica, taka boczna ulica, w takim jednopiętrowym mieszkaniu, bez wygod, bez tego... trzeba było wyjść po wodę na dół, na podwórko, do studni i po węgiel. Nic absolutnie. Tymczasowo. I moja rehabilitacja wyglądała tak, że ja musiałem rano wstawać o 6.00 i pędzić do pociągu bo tam szedł taki specjalny robotniczy pociąg i nim jechać i potem jeszcze dwa kilometry do jednostki. Zima, śnieg. I to była moja... może to i dobrze, bo dzięki temu ja znowu uwierzyłem w swoje siły i stałem się normalnym człowiekiem. To trwało do wiosny 1947 i wtedy było referendum 3xTAK. I oni wymusili stan wyjątkowy i wszystkich zamknęli w

koszarach. Żona była wtedy w ciąży, nie było mowy, żeby ona mogła nosić wtedy wodę z podwórka a ja to codziennie robiłem. I ja się zameldowałem wtedy u tego dowódcy jednostki, tam był taki podpułkownik Trutka, przedwojenny oficer, który w ogóle nie znał wojny, bo zaraz z wybuchem wojny dostał się do niewoli i zaraz dostał się do Oflagu a z oficerowie w Oflagu nic nie robili. Oni mieli święte życie. A wojny nie znał. I jak wrócił do wojska to został podpułkownikiem, ale był zaciekłym antykomunistą, przeciwnikiem tego rządu, tej władzy. I wszystkich tych żołnierzy tego wojska nowego traktował jak wrogów. I ja się zwróciłem do niego, że ze względu na warunki, i że muszę być w domu, bo moja żona jest w ciąży i odwapnienie nastąpiło...

ZS: Odwapnienie? Ach, bo to znów z tą nogą się problem zaczął?

MN: Tak. I żeby on mi na noc pozwolił jechać do domu, że zapewnić jakieś możliwości bytu. Usłyszałem „odmaszerować”, odwróciłem się i pojechałem. I więcej się nie pojawiłem. Wiedziałem, że po mnie przyjdą. I tam była taka sąsiadka i jej mąż, kiedy Niemcy się wycofywali to on z nimi, a ona została, ona była Polką i potem wrócił, i ponieważ nas polubił to ja załatwiłem, że jak mnie nie będzie, to on się tam zajmie wodą... No i ja czekałem, kiedy przyjdą po mnie. I przyszli, po kilku tygodniach, taki podoficer z bronią. Nie było rady. Wiedziałem, że czeka mnie sąd. Wojskowy. Ale wiedziałem, że będę tam jakoś łagodniej... i wiedziałem, że jak opiszę te warunki i że żona... A on ostro. Od razu mnie posadził, tam były takie toalety, takie drebudki, co jak chcieli aresztować... i on mnie tam umieścił w tej drebudce i następnego dnia mieli mnie zawieźć do Łodzi do aresztu garnizonowego. Ale on sobie tam przypomniał w pewnej chwili, że ja mam odznaczenia – tam Krzyż Walecznych – a nie wolno aresztować takich z odznaczeniami. Trzeba przed frontem zdjąć odznaczenie, czy tam przed kompanią wartowniczą, i dopiero wtedy można iść dalej.

No więc ten Trutke to był najprawdopodobniej antysemitą też. Przed wojną dużo było takich też. I on traktował wszystkich Żydów jak komunistów. Więc ja byłem też tym wrogiem. I on przysłał do mnie porucznika, nazwiska już nie pamiętam, też młody chłopak, z tej służby wartowniczej, on był dowódcą, żeby zdjął mi to odznaczenie i ja powiedziałem „słuchaj, powiedz mu, że on zna regulamin i że nie można stanąć z przed sądem z odznaką”. „Nie, nie ma mowy”. A ja nie chciałem dać. Więc on siłą kazał mu wziąć. A ja od młodości nosiłem zawsze finkę – i to było takie, że jako chłopaki nosiło się finki – i w wojsku ja zawsze miałem finkę. I jak mnie aresztowali to zabrali mi broń, pas, ale tą finkę ja miałem ze sobą. A to była taka wąska finka, nie było mowy... można było tylko stać albo siedzieć. I ja z tą finką powiedziałem, żeby „powiedział staremu, żeby sobie ją odebrał sam. A jak chcesz to ty sobie ją odbierz”. I on poszedł i przekazał mu...

ZS: ...że groził mu Pan finką?

MN: Tak. I on powiedział „Alarm zarządz. I ze służbą wartowniczą odebrał mi. I następnego dnia na ulicy Nowotki – tam był taki areszt garnizonowy, olbrzymia taka sala na kamiennej posadzce, i tam były takie deski i na tych deskach normalnie aresztanci czekali. I ja czekałem na prokuratora wojskowego. Ale to przeciągało się jakoś dzień, dwa, a ja na tych deskach, na posadzce, to było zimno, to mógł być maj, kwiecień – tak było, bo w kwietniu byłem już w szpitalu. I pewnego dnia zacząłem wymiotować i zawieźli mnie do szpitala. Jak w szpitali zobaczyli moje zdjęcia – bo zrobili sobie swoje zdjęcia – to zapytali, co ja robię w wojsku. No i ja mówię, że mam zaświadczenie, że utraciłem 80% zdrowia, ale że postanowiłem zostać w wojsku, że pochodzę ze Lwowa itd. no i oni powiedzieli, że „dla Pana nie ma miejsca w wojsku”.

ZS: I okazało się, że nie stanął Pan przed sądem?

MN: Nie, nie groziło mi... Tylko nie wiem, jak to się stało... Czy żona tam była u tego Sowińskiego i on dał tam jakieś telefony – bo on tam był dość mocny. Bo ci lekarze tam oni byli bardzo sympatyczni. I ja w końcu przed prokuraturą nie stanąłem, byłem chyba miesiąc w szpitalu, żona była w ostatnich miesiącach ciąży. I ja w nocy wychodziłem nielegalnie ze szpitala, tam wszystko żonie pomagałem i o brzasku ja wracałem. Pani nie zna tego szpitala, ale ja tam przez mury, przez ogrodzenie wracałem. I to trwało tam gdzieś miesiąc czasu, do kiedy te komisje mnie nie zwolniły zupełnie. I bezdomny, bez pracy, żona chora z otwartą raną, w ostatnich miesiącach ciąży, taki był mój los. Więc ja wróciłem do komitetu Żydowskiego, żeby się dowiedzieć czy nie ma tam jakiejś listy, bo ciągle chciałem się dowiedzieć, czy nie ma kogoś uratowanego z rodziny. I tam oni się pytali, co ja robię itd. i oni zaproponowali mi pracę. Tam był taki bank spółdzielczy, przy Komitecie, był taki bank spółdzielczy do udzielania pomocy tym wszystkim imigrantom z Rosji, z partyzantki... i w tym banku się dostawało pożyczki za wekslowym poręczeniem. I ja zostałem umieszczony w takiej komórce, która te weksle wypełniała. Ale ja byłem taki osłabiony po tym pobycie w szpitalu i tym wszystkim, że ja po prostu zasypiałem. Byłem inwalidą jednak. Ja przy pracy zasypiałem. I musiałem wychodzić do toalety, myć twarz, żeby...

ZS: Jakoś się ocucić?

MN: Tak. Żeby widzieć te cholerne weksle, które wypełniałem.

ZS: No to jest dokument, to jest ważna sprawa...

MN: I tam stałem się ciężarem dla nich. I widocznie nie mogli się mnie pozbyć inaczej – bo nie można mnie było zwolnić jako inwalidę wojennego i trzeba było zgodę Rady Narodowej, żeby zwolnić, ale może oni też mnie nie chcieli zwolnić – to oni mi zaproponowali studia. Były nabory na wyższe uczelnie, na wstępny rok dla wyrównania poziomu, i dostałem stypendium 3000 złotych.

ZS: A z tego się dało utrzymać?

MN: Tak, to było coś tam. No i... ja w ogóle nie wierzyłem, że ja się nadaję na studia – od lat oderwany od książki, od wszystkiego a tutaj młodzi chłopcy po maturze... ale żona mnie namawiała. Mówiła: „Słuchaj, marynarz daje sobie radę a ty sobie nie dasz?”. Marynarz to był taki mój kolega z wojska, a ponieważ on był w marynarce, to myśmy go nazywali marynarz, Owczarski. Nawet wiem, gdzie on żyje, bo jak było ostatnio 'Wszystkich Świętych' to on był tu w Łodzi i dzwonił do mnie. I rzeczywiście, on był taki tępawy trochę. Dałem się namówić, poszedłem na ten kurs, nawet mam zdjęcia z tego kursu, wszystko. I jakoś tam poszło mi bardzo dobrze. Z bardzo dobrym wynikiem skończyłem studium wstępne. I miałem do wyboru wyższe studia. Najchętniej bym poszedł na lekarza albo na politechnikę, bo miałem szkołę techniczną we Lwowie, ale zdałem sobie sprawę, że przy moim inwalidztwie jak będzie ktoś chory to ja nie dam rady. A na Wydziale Prawa można było nie być na wykładach i seminariach tylko trzeba było egzaminy zdawać. Więc wybrałem prawo, najmniej przeze mnie lubiane. Ale okazało się, że... nie wiem, może doświadczenie życiowe, a może... ja byłem przed wojną bardzo odcytany i bardzo lubiłem szczególnie historię – ja nigdy się jej w szkole nie uczyłem, jak były wykłady to ja wszystko znałem – także na prawie ani jednego roku nie oblałem, wszystkie egzaminy miałem zdane, na czwórki i piątki...

ZS: W międzyczasie urodził się syn pierwszy...

MN: Urodził się w 1947 roku, w maju.

ZS: Jak on ma na imię? Który to jest syn?

MN: To jest ten, który w tej chwili jest w Kopenhadze.

ZS: On w tej chwili jest w Kopenhadze?

MN: Tak.

ZS: I jak on ma na imię?

MN: Olek.

ZS: Olek?

MN: Aleksander. Po moim ojcu. Wysoki, przystojny chłopak. Nazywali go szeryfem. On był wyjątkowo przystojny, metr osiemdziesiąt sześć, pięknie tańczył, pięknie śpiewał. Ale w 1968 roku, kiedy były te wszystkie wypadki – on nie był w żadnej partii, nie był w Solidarności, nigdzie...

ZS: On był wtedy na uniwersytecie?

MN: Tak, on był na drugim roku medycyny.

ZS: Tu w Łodzi?

MN: Tu w Łodzi.

ZS: Na Akademii Medycznej?

MN: Tak. I kiedy były te strajki to oni go delegatem zrobili. Delegatem Wydziału Medycyny. Bo taki śmiały, taki... łatwo kontakty nawiązywał. I kiedy Gomułka oświadczył, że tam wywrotowcy, tam... komandosi, tam obalić władzę itd. to tych głównych aresztowali. I tam go profesorowie... bo na niektórych wydziałach delegaci byli nieprzyjemni a on był elegancki dla wszystkich i jeden z profesorów go uprzedził, że ma być aresztowany. On miał egzamin zdawać i chciał go przerzucić na 'po wakacjach'. I on powiedział, że „jak chcesz, ale pamiętaj, będziesz wytypowany i grozi ci areszt”. I jak aresztowali tych pierwszych – tego z Wydziału Matematyki i Wydziału Prawa – i synowi groziło to samo to... on miał paszport i miał wyjechać na wakacje – już nie pamiętam teraz gdzie, to on wsiadł w pociąg i pojechał do Kopenhagi.

ZS: I tam już został?

MN: Tam już został. Mieliśmy do niego dołączyć. Z całą rodziną. I mieliśmy zamiar jechać do Izraela, ale po jego wyjeździe ja to tak przeżyłem, że dostałem zawału serca. I już nie

było mowy, żebym w tych warunkach – i on mi pisał też, że nie ma mowy, że na granicy mnie zdenerwują i... zostałem tutaj.

ZS: I tutaj też mieszka ten młodszy syn, prawda? W Łodzi?

MN: Tak.

ZS: A Aleksander tam skończył medycynę?

MN: Był na piątym roku już. Ale on miał taką koleżankę na studiach już, taką sympatię, i ona pojechała tam do niego na wycieczkę i ona tam już została. Pobrali się. Z tym, że ona nie chciała zgłosić azylu, bo ona miała rodziców tutaj też. To była chrześcijanka. I ona nie chciała wystąpić o azyl, bo miałyby zerwane dobre stosunki z Polską. A jakby się zgłosiła po azyl to miałyby szanse na studia, stypendium i pomoc, jakie byłyby jej dane. A ona tego nie chciała więc nie miała żadnych warunków do życia. I on postanowił, że zacznie pracować, bo wtedy – nie wiem jak teraz – ale wtedy można było na okres do pięciu lat przerwać studia. A potem wrócić. I że on będzie pracował a ona skończy studia a potem on wróci i dokończy. No ale on do studiów nie wrócił już. A ona skończyła. I on zaczął jeździć jako kierowca taksówki ażeby zrobić na życie. Dla siebie i dla niej. A potem jakoś zaoszczędził jakieś pieniądze czy wziął pożyczkę, kupił własną taksówkę i w końcu ma własne przedsiębiorstwo transportowe, ma tam kilka taksówek, które dają mu... nie jest milionerem i nie będzie, ale one dają mu... jakiś tam dochód ma.

ZS: Ale Państwo się widzieliście od tego 1968 roku?

MN: Tak. Dopiero w 1973 roku mieliśmy pierwsze pozwolenie na wizę. I to w Warszawie w Ministerstwie dostaliśmy pozwolenie na wyjazd.

ZS: Ale to tylko na krótko i wróciliście Państwo, tak?

MN: Tak.

ZS: A Pan jak skończył prawo wtedy...

MN: Ja jak skończyłem – to znowu nie opowiedziałem... Ja jak byłem jeszcze studentem, to był nabór do prokuratury. Zaczęto brać studentów prawa do aplikacji w prokuraturze. Wtedy był profesor prawa karnego, słynny Schaff – nawet mam jego książkę – i on mnie sobie upodobał i ja poszedłem na etat do prokuratury. I mogłem studiować dalej, ale

byłem na etacie aplikanta. Mnie się to nie uśmiechało. Po prostu dlatego, że byłem Żydem nie chciałem być w żadnych władzach w żadnym tym... odmówiłem. I potem ten sukinsyn – ja naprawdę byłem wyjątkowo dobry, on wykladał postępowanie karne – wszystkie kolokwia, tam były trzy kolokwia zdaje się, na piątki zdałem – a potem egzamin u niego i on mi dał ledwie trójkę. Za mną się ciągnęła jakaś czarna lista wtedy. Bo jak skończyłem studia to wtedy był nabór absolwentów przez Ministerstwa. W ministerstwach typowali swoich przedstawicieli, żeby szykować dla nich absolwentów, bo to chodziło o to, żeby mieć swoje, nowe kadry a nie jeszcze przedwojenne. Więc prawo to było Ministerstwo Sprawiedliwości, sąd, prokuratura i bezpieczeństwo.

Łódź, dn. 17.10.2005

Rozmowę, w ramach dokończenia wywiadu po Zuzie Solakiewicz, przeprowadziła Judyta Hajduk.

17.10.2005

KASETA NR 1

STRONA A

J.H.: Pan mówił, że ojciec w dni świąteczne zakładał specjalny ubiór i to była czarna bekiesza i kapelusz.

M.N.: Taki czarny surdut.

J.H.: Może pan opisać, jak bekiesza wyglądała?

M.N.: Bekiesze były różne. Były takie dla chasydów, takie z atlasu, długie... i były takie eleganckie, wie pani... długie, czarne, jakby... czarny, długi płaszcz, taki luźny. Może nie luźny nawet, ale... długości o wiele większej niż normalny płaszcz.

J.H.: Taki do kolan?

M.N.: Dłuższy.

J.H.: Do kostek?

M.N.: Nie, to nie. Ale taki dłuższy.

J.H.: A z kołnierzem jakimś?

M.N.: Kołnierz miał na pewno, tylko nie pamiętam, czy aksamitny. Tego nie pamiętam. Bo mogły być różne... bo to była kwestia zamożności... no i kwestia, jak kto chciał się

pokazywać. Ja pamiętam jako dziecko, do tego wagi nie przykładałem. Ale pamiętam ten czarny surdut na święta.

J.H.: Pan chodził do chederu?

M.N.: Tak.

J.H.: A może pan opowiedzieć coś o tym chederze. Gdzie on się znajdował, jak tam nauka wyglądała?

M.N.: On się znajdował przy ulicy Peltewnej pamiętam. Peltewna. Ja tam mieszkałem też przy tej ulicy. Bo ja mieszkałem przy Teatrze Wielkim, miejskim a ten był w drugim końcu ulicy. To był ostatni dom Peltewnej. Numeru nie pamiętam, ale to mógł być 31? W tych granicach, bo to była krótka ulica. 31, 35 mniej więcej, ale ulica Peltewna na pewno. To był cały budynek, pamiętam trzy piętrowy, dwu piętrowy. I tam były... klasy, dla dzieci początkujących... A u Żydów dzieci się wysyłało do chederu w wieku trzech lat. To było dobre moim zdaniem, poważnie, bo wtedy dziecko chwyta inaczej i wszystko... I wtedy dziecko się uczyło tylko pisać, tylko czytać, a potem w wyższych latach to już modlitwy i potem... Biblię, następnie Talmud. Pamiętam, że na dole tego budynku była taka bóżnica. To byłoby wszystko. Ten cheder był oddzielony od dwóch szkół, takim placem, gdzie chłopaki rozrabiali, grali w piłkę. I to była taka szkoła powszechna jedna, jedna i druga, tylko jedna im. Sobieskiego, a druga, nie pamiętam, czy Reja bodajże, nie wiem... taki nowy budynek.

J.H.: I pan potem chodził do szkoły powszechnej, prywatnej.

M.N.: Na początku nie. Na początku, pierwsze cztery klasy były w prywatnej szkole, na prawach publicznych, ale to była szkoła prywatna, zorganizowana przez taką partię, jakby... u nas chadecję... religijną. I tam właśnie uczyłem się. Tam była nauka normalna w języku polskim, nie... właśnie w języku hebrajskim i polski był jako przedmiot. I tam znowu też... język hebrajski, przede wszystkim hebrajski język i te przedmioty, które były we wszystkich szkołach publicznych, a do tego język hebrajski i historia. To byłoby wszystko.

J.H.: A językiem wykładowym w tej szkole to był jaki język?

M.N.: Hebrajski, nie... chyba nie. Nie pamiętam... wie pani, to trudno. Chwileczkę, już wiem, była Gweret, językiem wykładowym był polski.

J.H.: A jakiś kolegów zapamiętał pan, szczególnie z tą szkołą związanych?

M.N.: Pamiętam. Nawet jednego spotkałem potem. On był majorem, pułkownikiem w Poznaniu, Wojska Polskiego, Lancman. Ale on się nazywał Lewandowski wtedy. I tam była jego siostra, taka moja sympatia taka dziecięca. Horowitz. Pamiętam Horowitza. Nie wiem, co się stało z nimi. Oni chyba wszyscy zginęli, z wyjątkiem nielicznych.

J.H.: Czyli był cheder, potem cztery lata tej szkoły prywatnej i potem...

M.N.: Jednocześnie. Do szkoły chodziło się rano, normalnie. A do chederu chodziło się po obiedzie, potem. Kiedyś, byłem w wieku szkolnym, to do szkoły chodziłem swoją drogą, a

do chederu chodziłem po obiedzie, po godzinie 15. po szkole w domu jadło się obiad, lekki wypoczynek i do chederu.

J.H.: A do tej szkoły prywatnej to dzieci polskie też chodziły?

M.N.: Nie.

J.H.: A do tej szkoły państwowej prywatnej.

M.N.: Do szkoły, do której poszedłem po czwartej klasie? Normalna szkoła publiczna. Ale też była raczej żydowska. Bo to była szkoła finansowana przez Kaal, przez gminę żydowską.

J.H.: I tam jakie przedmioty były?

M.N.: Normalne. Normalna szkoła, jak każda inna.

J.H.: I wykładowym językiem był język polski?

M.N.: Tylko. Bo tam w ogóle nie było hebrajskiego, tam było tylko polski.

J.H.: Ale większość było dzieci żydowskich?

M.N.: Tak.

J.H.: A pamięta pan, czy dużo tam było dzieci polskich?

M.N.: raczej nie, raczej nie. To było przy ulicy Stanisława, pamiętam, szkoła im. Kona. Zdaje się, tak.

J.H.: A wracając do chederu, czy szkoły tych czterech klas, pamięta pan, czy były kary cielesne w szkole stosowane?

M.N.: Nie... W chederze, pamiętam w chederze, to był taki w tych dolnych, niższych latach, był taki to się nazywał melamed, nauczyciel, taki jakiś dziwaczny i nauka wyglądała w ten sposób: długi stół, ławki... i on chodził dookoła, wszyscy mieli te zeszyty. Mówił i sprawdzał. I bywało, jeżeli ktoś tam rozrabiał, to on linijką... to pamiętam.

J.H.: A pan dostał kiedyś linijką?

M.N.: Nie pamiętam, naprawdę nie pamiętam.

J.H.: A uczniem była pan dobrym?

M.N.: Bardzo dobrym.

J.H.: I grzecznym pewnie?

M.N.: Tak. Pamiętam, jak w szkole byłem, w szkole podstawowej, znaczy w tej 6, czy 7 klasie, nawet ja byłem wójtem. Wie pani...

J.H.: Przewodniczącym klasy?

M.N.: Samorząd, ja byłem przewodniczącym samorządu. Jak była piękna wiosna, taka wiosna, lato to na wagary. Myśmy szli... tam we Lwowie były takie wzgórza Lwowa, a między nimi była taka Góra Piaskowa, tak nazywała się i tam myśmy chodzili grać w piłkę, na wagary. I niekiedy tam dzień, dwa, a raz... jak zaczęliśmy to trwało dwa tygodnie. Myśmy się bali tego... do szkoły pójść, to była cała grupa. Wiedzieliśmy, że trzeba będzie rodziców zawiadomić itd., no to się szło na te wagary. I to by się skończyło,

nie wiem jak, ale pewnego dnia gram w ta piłkę tam i nad nami, na tym wyższym... ze wzgórz stoi nauczyciel religii, taki przystojny facet taki... „No, jak tam idzie gra chłopaki?”. Nie wiem, czy on specjalnie się wybrał, czy tylko przypadkowo i wtedy wszystko się wyjawniło i już następnego dnia do szkoły poszliśmy. Pamiętam, jak dzisiaj, była taka wychowawczyni: „No, nasz wójt przyszedł do szkoły na inspekcję.” To pamiętam dokładnie. A tak to chyba byłem grzeczny. Do ludzi to zawsze. Baciarem lwowskim nie, nie, nie.

J.H.: A co to znaczy baciara?

M.N.: Baciara, to jest taki łobuz.

J.H.: To jest z rosyjskiego języka?

M.N.: Lwowski, lwowski. Baciary, lwowskie baciary.

J.H.: Tutaj mam też opis, jak pan opowiada o świętach w domu. O rybach, że każdy dostawał swoją partię. A do ryby była wódka.

M.N.: Nie dla każdego.

J.H.: Ja wiem, ale co to za wódka była?

M.N.: Więc to była wódka... Ale ojciec... to był Bongut 95 procentowy. Bongut nazywała się. I w tym była 95 procentowa wódka. Zwykła biała wódka.

J.H.: A to się w sklepach kupowało?

M.N.: Tak, tak normalnie w sklepach. Państwowych w sklepach.

J.H.: I to koszerne było?

M.N.: W wódce, to wie pani, nikt się nie doszukiwał koszerności, żyto... to wie pani...

J.H.: A kto to pił? Pewnie tata tylko?

M.N.: Tak więc... Początkowo to ojciec sam. Jak się zaczyna ta wieczerza, to wpierw ojciec, przy winie winogronowym odmawia modlitwę i wszystkie dzieci mają kieliszki i trochę wina. I tak samo odmawiają tę modlitwę po ojcu. Wszyscy stoją, mówią Amen i potem każdy ten łyk, mały łyk. Ale, jak już miałem pamiętam 13 lat, to i dostawałem tak pół kieliszek. To były takie małe kieliszki. To pół kieliszka dostawałem. I to było przed rybą. Potem, po błogosławieństwie przy winie, to się myło ręce, szło się ręce myć, siadało się do jedzenia. Ojciec kolację... odmawiał błogosławieństwo przy kolacjach, każdemu dziecku dał kawałek... no i ryba była podana. No i do tej ryby była właśnie wódka.

J.H.: Pan mówi też, że chodził do Akiby.

M.N.: Bene Akiba.

J.H.: Mógłby pan powiedzieć coś więcej o tej organizacji?

M.N.: To była taka harcerska organizacja, ona nazywała się skauci, skauci. I ona była właśnie organizowana... nie wiem, czy dobrze się wyrażam, ale pod opieką tej partii, która tą szkołą moją, co mówiłem o tej szkole hebrejskiej religijnej, tej czteroletniej. Byliśmy pod opieką... oni mieli taką młodzieżową organizację i ta młodzieżowa organizacja, znaczy powyżej 18 lat, oni założyli tą... organizację skautową. I nawet tam

w tym budynku, gdzie była szkoła, to był budynek trzypiętrowy, to było nawet specjalne pomieszczenie tam... no i normalnie: harcerskie mundurki, wycieczki, te nauki, jak te przedmioty...sprawności, wie pani, no i również wszelkie na przykład orientacja w terenie, mapy, wszystko było... ale to już nie wtedy tylko potem, bo jak skończyłem tę szkołę czteroletnią, to byłem w innej szkole, ale do tej organizacji Bene Akiba przychodziłem codziennie tam pod wieczór. Później dopóki, bo jak chodziłem do chederu, to nie było kiedy, ale jak już przestałem chodzić do chederu, miałem 12, 13 lat, wtedy to już chodziłem na tym... normalnie, codziennie się szło.

J.H.: I do jakiego wieku pan tam chodził, do tej organizacji?

M.N.: pamiętam, chodziłem tam do 16, 17 lat. Potem członkiem byłem do ostatniej chwili, do wojny. Tylko już nie wieczory się nie spędzało tam, były inne zajęcia i tak dalej.

J.H.: Pan mówi też o Helenie, którą nazywaliście piękną Heleną, ona też należała do tej organizacji?

M.N.: Nie. Kolega z tej organizacji... Goldfinger, Zawyk Goldfinger, on później zginął w Anglii, jako lotnik. To piękny, przystojny chłopak, jemu się udało. On przed wojną wyjechał na studia, skończył maturę, wyjechał na studia do Anglii i dzięki temu uratował się, dostał się do Armii Polskiej i jako lotnik zginął nad Berlinem. Dowiedziałem się od ojca. Ojciec mnie spotkał, tutaj po wojnie spotkał mnie i niestety był już wtedy pokaleczony, pokaleczoną nogę miał, coś tam... i właśnie płakał, że syn zginął. On był pewny, że żyje, że przeżył, a dowiedział się, że nie żyje.

J.H.: A pan miał Bar Micwę?

M.N.: Tak.

J.H.: A mógłby pan opowiedzieć.

M.N.: A no właśnie to się łączy z tą Heleną. A więc przed Bar Micwą to chodziłem do takiego specjalnego rabina, znaczy nie takiego pod względem dyplomy, ale takiego pod względem nauki. I uczyłem się tam, te... modlitwy i to czytanie tej Tory czytanie. I chłopaki, tam z tym Goldfingerem, spotykali się na Górze Stracenia. W Łwowie była taka Góra Stracenia. Tam były takie duże przestrzenie. Początkowo były kultywowane, ucywilizowane, a dalej to już były dzikie, takie wzgórza, zagajniki i piaszki. I tam, gdzie były kiedyś piaszki, kopali piasek, to powstały takie doły. Dosyć wysokie doły, do dwóch pięter na pewno. I myśmy skakali z góry, kto dalej skoczy. Tam piach jeszcze był. I ta Helena, ten kto najdalej skoczył, otrzymał od niej całusa. Była... mnie się wydawało, że była wtedy ładna, wysoka, szczupła, blond warkocz, takie długie, blond warkocz i myśmy ją nazywali piękną Heleną. I właśnie ten Zawyk, to był jej chłopak.

J.H.: Tak, ale o samej Bar Micwie mógłby pan opowiedzieć.

M.N.: A tak. Więc w końcu tam wylądowałem na tej... w końcu to był mój daleki krewny, ten co mnie uczył i on dowiedział się, że ja nie przychodzę, więc dostałem dygawor, no i

Bar Micwa, jak wygląda. Przecież... no w tym dniu, w sobotni dzień, kiedy kończyłem trzynaście lat, to był prawdopodobnie 15 sierpnia. Bo ja rodziłem się, mam wrażenie 15 sierpnia, a mnie przerobili tam... w Rosji na 15 lipca. I mam w dokumentach 15 lipca. Ale u Żydów, to jest ten... jeżeli chodzi o Bar Micwę, to stosuje się kalendarz hebrajski. To było kuf zajin tamos, 27 dzień miesiąca tamos. No więc wtedy to, w sobotę rano do synagogi i cała rodzina się zbierała, znajomi. W synagodze jest bima, więc tam, w czasie modlitwy, pewnej części modlitwy, to czyta się Torę, Biblię i kiedy ten Torę czyta w pewnym momencie, przy pewnym wersecie wyczytuje, wywołuje mnie... Mosze ben Abraham, na przykład. Dostałem tałas no i odmawiam tę modlitwę. Bo tam są dwie modlitwy: początkowa, nim on zacznie czytać ten werseł, a druga – końcowa. Z tym że w czytaniu tego samego wersełu byli tacy, co sami czytali, a niektórych to wyręczał ten... Ja, sam czytałem. Odmawiałem modlitwę i czytałem ten werseł. Potem po zakończeniu, obsypali mnie migdałami, takimi różnymi cukierkami. I wszyscy gratulowali... tam wszystko. A potem był uroczysty obiad w domu.

J.H.: A pan, jak wspomina ten dzień jako dziecko? To było ważne dla pana wtedy?

M.N.: Wie pani, jakoś się przeżywało rzeczywiście, dzieckiem już nie byłem, ja miałem 13 lat i byłem bardzo dobrze wykształcony. Ja miałem... całą polską literaturę, prawie, dostępną. „Krzyżacy”, wie pani „Ogniem i mieczem”, w ogóle całą literaturę. Byłem bardzo czytany.

J.H.: A bardzo był pan wtedy religijny?

M.N.: Moja religia polegała, wie pani, nie na... właściwie tylko na tradycji. A co do religii, to myśmy mieli między sobą dyskusje. Wie pani były różne poglądy, ale stosowałem religijne, ale nie w ten sposób, jakiś tam... ja bym to nazwał barbarzyński, tylko... w ludzki sposób. Dopóki byłem młodszy chodziłem z ojcem do synagogi się modlić, w świąteczne dni i w soboty, a potem jak miałem 15 16 lat, to już...

J.H.: To znaczy kto dyskutował?

M.N.: Chłopaki, tam...

J.H.: A o czym dyskutowaliście?

M.N.: Między innymi o tym właśnie też. Czy bóg jest, czy nie ma. Jaki... wie pani normalnie dysputy.

J.H.: I większość była takich, która twierdziła, że jest?

M.N.: Wie pani, wszyscy mieli wątpliwości. Jak w tym wieku się ma wątpliwości w ogóle. Pamiętam... Ale w końcu ja doszedłem do wniosku, że jest jakaś siła wyższa, która światem rozporządza bez naszej wiedzy. Na pewno nie ma brody, ani jakiś kształtów ludzkich, tylko duch. Bo religia żydowska właśnie widzie, nie w formie postaci, ale w formie ducha. Tylko w formie ducha. Nawet jest nazwa boga, między innymi, bo jest wiele nazw boga: owe, ten co jest wszędzie, był jest i będzie, druga jest nazwa makom. Makom to jest miejsce, wszędzie jest, że wszędzie jest, gdzie bym nie był, to jest

boskość. I w tym trwałem. Z tym, że potem miałem załamanie mówiąc szczerze, kiedy ta wojna była, kiedy to wszystko, no to... ale w ostatnich latach, to doszedłem do wniosku, wszystko jest dla nas niepojęte, my nic nie wiemy. Nie wiemy co i jak i kto. Tak samo, ja brałem porównanie. Kiedyś w lesie byłem świadkiem zniszczenia mrowiska. Wie pani, mrowisko usypane, cała budowla, organizacja jest wewnętrzna i struktury organizacyjne i teraz wystarczy albo drzewo ktoś zwali, albo samo się zwali w wyniku burzy, albo ktoś nawet celowo, wie pani zniszczy, ale czy to mrowisko zdaje sobie sprawy kto to robi? I co jest przyczyna tego. Nie zdaje sobie sprawy z tego. Jest jakaś siła wyższa, która decyduje. I ja doszedłem do wniosku, że taka siła na pewno jest we wszechświecie, która rządzi tym wszechświatem. I dla nas niepojęta. Tak samo, jak myśmy kiedyś, nie było mowy o tym, żeby ktoś uchwycił falę głosu, czy falę, czy widoki, czy... obraz człowieka. Ale nauka wynalazła te możliwości, które dają możliwość poznania postaci, obrazu, głosu i mało tego, wysyłać nawet w tej chwili we wszechświat. Nikt by nie uwierzył 50 lat temu, że to jest możliwe w ogóle. Bajki, fantazje. A jak ja czytałem „Nemo”, Werner, to wszystko, to fantazje. A teraz się okazuje, że fantazja sięga o wiele, wiele dalej. Nie jestem taki zarozumiały, ażeby powiedzieć, że moje pokolenie już w tej chwili osiągnęło... że już się dalej nie rozwinie nauka i dalej, sięgnie dalej zapozna. Ale mimo tego, jest jakaś siła najwyższa. To, to ja wierzę. I jeżeli chodzi o tradycję. To tradycja jest potrzebna dla celów wychowawczych, samookreślenia, no i pewnej etyki i moralności. Tym musimy się różnić od innych i w religii stosować te 10 przykazań. To jest jednak konstytucja, którą trzeba przyjąć. Na tle tej konstytucji, to różni ludzie stworzyli te... ażeby tam... może jedni dla celów materialnych, inni dla celów ambicjonalnych, a jeszcze inni mieli jakieś patologiczne tam... odchylenia, stworzyli różne formy przestrzegania religii i tak dalej, które... niekiedy są spełniane należycie i właściwie no to... przydadzą się. A niekiedy w imię boga się mordują.

J.H.: Pan mówi też, że czasem wyjeżdżaliście do krewnych na wakacje do miejscowości która nazywała się Pruty...

M.N.: Prusy. To było koło Lwowa.

J.H.: I na kolonie, na obóz pod Czortkowem? A gdzie to było?

M.N.: Tak, to było od Lwowa 60 kilometrów. 70.

J.H.: I w którym to roku mogło być?

M.N.: Wtedy to ja mogłem mieć 15 14 lat. No to mogło być... ja jestem 18 rocznik, to 32 czy 3 rok.

J.H.: Pan też mówi, że jak poszedł do tej szkoły zawodowej, państwowej, to był taki wysportowany. Że był pan sportowcem.

M.N.: Byłem.

J.H.: I mógłby pan, coś więcej o tym opowiedzieć. Co pan ćwiczył, czy w jakiejś drużynie?

M.N.: Więc lekkoatletykę ćwiczyłem w Dror. Dror to był taki klub sportowy Dror. To jest nazwa ptaka... jaskółki, Jaskółka. Ale może być również wolność, ale raczej w tym przypadku... to było tam, gdzie ta Góra Stracenia, tam przed wstąpieniem na te wzgórza, to tam było takie boisko, stadion, to tam chodziliśmy. Następnie był okres, kiedy boks ćwiczyłem, ale krótko w Hasmonea, to był klub sportowy Hasmonea. Był znany w Polsce, bo jeśli chodzi o piłkę, piłkarstwo, to mieli od x-lat mistrzostwo Polski i w boksie. I to kilkakrotnie. Więc boks ćwiczyłem, ale niedługo. Dostałem raz cios w nos i potem chronilem ten nos i dostałem w żołądek. Nie już wiem, chronilem żołądek i odsłoniłem nos. Trochę ćwiczyłem też... ta harcerska organizacja, mieliśmy tak, jako całość... judo. Nie... džudżitsu.

J.H.: I to były wszystkie organizacje żydowskie?

M.N.: Nie, nie wszystkie, wie pani, ale... niektóre tam. I też nie wszyscy członkowie... nie wszyscy członkowie.

J.H.: A te Jaskółki to była żydowska?

M.N.: Jaskółka to była żydowska, Dror, Dror, nazwa hebrejska.

J.H.: A potem Hasmonea też żydowska?

M.N.: Też.

J.H.: I na tym džudżitsu się skończyło?

M.N.: No, ale potem... już nie w szkole, ale zawsze... ale już nigdy zawodowcem nie byłem. W piłkę nożną graliśmy. Mieliśmy własną drużynę przy harcerstwie. Mieliśmy własną drużynę piłkarską i graliśmy bardzo często zawody z innymi szkołami, drużynami harcerskimi itd.

J.H.: I ta drużyna piłkarska jakoś się nazywała?

M.N.: Nie, nie, bez nazwy. Pamiętam, że ja w pomocy grałem. W obronie. Niekiedy, bo wie pani, to przejście w piłce nożnej między obroną a pomocą jest bardzo często współpraca. Tak to się zmienia, ale byłem w zasadzie w obronie.

M.N.: W Akibie, to ja byłem do samego końca, do 39 roku. Już nie byłem taki aktywny później, jak pracowałem. Więc ja byłem, początkowo byłem drużynowym, pani zna harcerskie te... drużynowym. A później byłem w komendzie... u nas była też komenda miejska. Ja byłem w komendzie miejskiej też.

J.H.: I co pan robił w tej komendzie?

M.N.: Komenda miejska, to tak jak dowództwo.

J.H.: I pan mówi, że czytało się dużo. I co czytaliście?

M.N.: Gazety, książki, wie pani, normalnie, jakie kto miał zamiłowania. Literaturę.

J.H.: Działacze prowadzili propagandę. Jaka to była propaganda?

M.N.: Tak. W tej organizacji była propaganda: „Być takim, jak każdy naród”. Naszym hasłem było: „My hije kehol hagoim!”, „Bądźmy, jak wszystkie narody”. Miejmy swoich lekarzy, ślusarzy, rolników, swoich... wie pani, normalnie. Bo Żydzi mieli, tutaj w

diasporze w Polsce... byli przede wszystkim... handel, rękodzieło, rzemiosło, no i tam... inteligencja. A my mówiliśmy: „Nie”. Powinniśmy być ślusarzami... wie pani... i mamy budować w Izraelu kraj. Dlatego przygotujmy się, ażeby tam być przydatnymi. Dlatego ja właśnie gimnazjum przerwałem i poszedłem do Technikum Przemysłowego. Aczkolwiek rodzice byli przeciwni strasznie. Matka marzyła żebym był lekarzem, ojciec chciał żebym był rabinem, wie pani... no, ale ja...

J.H.: Mówił pan, że jednym z tych, który prowadził propagandę był rabin, i teraz Friszman, czy Fiszman?

M.N.: A, to już była wysoka...

J.H.: Ja wiem, ale nazwisko jakie?

M.N.: Fiszman. On był nie w tym Bene Akiba, tylko w tej organizacji zwierzchniej, w tej partii Mizrahi. Nazywała się partia Mizrahi.

J.H.: Której podlegało to harcerstwo?

M.N.: Niby podlegała, ale ona była niezależna. Ale była pod ich wpływem. O w ten sposób. Mizrahi.

J.H.: I to znaczy?

M.N.: Wschód.

J.H.: I pan mówi, że ten Fiszman przyjechał do Lwowa na zjazd organizacji.

M.N.: Tak.

J.H.: I co to był za zjazd?

M.N.: Zjazd partii Mizrahi. Tych delegatów, bo to była partia o zasięgu światowym. I on przyjeżdżał tam, ponieważ to był zjazd, chyba zjazd, jakaś konferencja. Pamiętam, ja chyba mówiłem to, byłem jego adiutantem, ordynansem, czy jak to nazwać. Bo tam przecież, organizacja nasza harcerska, przydzieliła mu takich...

J.H.: Delegację.

M.N.: teraz się mówi ochroniarzy. Tak... a myśmy byli takimi ordynansami. Tam nie wiem... dla spełnienia jego różnych potrzeb.

J.H.: I pan był na tym zjeździe?

M.N.: Nie. To byli starsi. Jego córka Geola wyszła za mąż za mojego starszego kolegę, z tej organizacji.

J.H.: Z tego harcerstwa?

M.N.: Z tej harcerskiej. Nazywa się Rafael, Werfel, ale potem w Izraelu przyjął nazwisko Rafael. Z tych samych liter: Werfł, odwrócił odwrotnie: Rafael, hebrejskie nazwa anioła. Rafael, to znaczy ten, który leczy. I on się z nią ożenił. I on potem był z Izraelu, był dyrektorem Instytutu Judaistki i był ministrem w pewnym okresie też, ministrem emigracji i potem ministrem spraw religijnych. Ja się z nim spotkałem...

J.H.: I pan mówi też, że śpiewaliście tutaj piosenkę jakąś.

M.N.: Masę piosenek.

J.H.: Co to była za piosenka?

M.N.: Komuniści przedrzeźniali nas. Oni byli przeciwni naszym... i oni śmieli się z nas, że będziemy mieli własnych wariatów, własnych bandytów i własnych złodziei. To na nas śpiewali.

J.H.: A wy, jakie piosenki śpiewaliście? Pan pamięta?

M.N.: Bardzo dużo pamiętam.

J.H.: A pamięta pan jakąś jedną szczególną, żeby chociaż refren powiedzieć?

M.N.: Aż za dużo, żeby... Szukam pamięcią... więc były piosenki takie wybitnie patriotyczne i takie, swawolne. Patriotyczne to była na przykład taka: TEZAKNEKEDEJ KOLAHEJNU AMHONENIM AFRO TEJCEJNU. BAWA SZERIM SZA, ALI POL RUHAHAM, ALI MIT LOLENIM, BOUSZAM HEAT. LEEWRA HATAM... NIECHAJ SIĘ WZMOCNIĄ RĘCE NASZYCH BRACI, KTÓRZY PRZYGOTOWUJĄ TAM TERENY W IZRAELU, GDZIE ONI TAM SĄ. NIECH, NIE PADNIJCIE NA DUCHU, WESELI, RADOŚNI, Z POMOCĄ NARODOWI, ale to chodzi o sens inny. Przy stworzeniu. To jest taka jedna, patriotyczna. Następnie była jeszcze taka patriotyczna, krótkie ANUHOLI MARSA DESZIRO HUIZIM, to był taniec, bo... myśmy tańczyli te... hory. ANUHOLI MARSA DESZIMRO HURIZIM... MY EMIGRUJEMY DO IZRAELA ZE ŚPIEWEM I RADOŚCIĄ. Z tym, że jeżeli chodzi o emigrację do Izraela, to nie stosuje się słowa emigracji, tylko olim. Ole to znaczy ten, który się wznosi. Wzniesienie się. A takie trochę, takie bardziej... frywolne, to było... może tak: KOWA MIKASZ WEHOLCA MA MASZ ALAFKA PARUA, PARUA. NACHEM BANE BANDIT, NONOTEM KREDIT... TVALGEKOL PARUA. To się nazywa tak: KAPELUSZ SŁOMIANY, RUBASZKA, bo wtedy oni nosili takie rubaszki ukraińskie, wie pani, bez kołnierza tylko takie... pani wie... jakie to są te łachy ukraińskie... RUBASZKA PODARTA, AHEN BANE BANDIT, HANDLARZ, TEN SPRZEDAWCA, TP JEST BANDYTA, NIE CHCE DAĆ KREDYT, NIE CHCE DAĆ KREDYTU, SCHOL WEROH PARU, ŚMIEJ SIĘ PEŁNYM GŁOSEM, HA HA. Potem: EMES WEHEMUNA, WEJCES ZUHA GUNA, PRAWDA I WIARYGODNY, EJCES ZUNA GUNA, TA RADA JEST WŁAŚCIWA, ZROKAKOL AZAZEJNU, RZUĆ WSZYSTKO DO DIABŁA I ŚMIEJ SIĘ GŁOSEM DZIKIM, HA HA!. I to była piosenka raczej nie nasza, ale... ci pionierzy z Izraela. Ci pionierzy, co wyjechali do Izraela, mieli bardzo ciężkie okresy głodu, chłodu, gruźlicy, wie pani. Bardzo ciężkie, i to właśnie była piosenka ich, która przeszła do nas. No i taka piosenka patriotyczna jeszcze, MEA DOROT HALAM WEALAIH, znaczy SETKI POKOLEŃ ŚNIŁEM O TOBIE, GIZKOT DIROT BEHOT PANAIM, AŻEBY DOCZekać SIĘ BY SPIJRZEĆ W ŚWIATŁO TWOJEJ TWARZY, JERUSZALAIM, JERUSZALAIM, EIRIT PANAIH LIWNEIH, JUERUSZAIM, JERUSZALAIM, ME HAWRATAIT HAMNE, ZWRACA SIĘ DO JEROZOLIMY, ŻE STEKI LAT MARZYLEM, AŻEBY SPOJRZEĆ W ŚWIATŁO TWOICH OCZU, JEROZOILO ZAŚWIEĆ SVOJE ŚWIATŁO DO MIOCH OCZU, i to do rymu ME HAWLOTAIT HEWNEIH, Z SVOICH RUIN CIĘ ODBUDUJĘ. To był taki patriotyczny. Ale tego dużo jest. Wie pani, jakbym zaczął to sobie przypominać... my zawsze tam musieliśmy mieć czas na

tańce i na śpiew. Tańczyliśmy te hory... to były hory dzikie, podwójne hory... różne tańce.

J.H.: Pan mówi, że spędził na hachszarze trzy miesiące. Gdzie to było?

M.N.: to były takie punkty gospodarcze, rolnicze. Tam były takie kontrakty z właścicielami folwarków i oni przyjmowali naszych członków tam do pracy, tam dostali lokum, w stodołach nasianie, czy coś tam... tak jak folwarczni robotnicy.

J.H.: A ta hachszara gdzie pan był, to gdzie była?

M.N.: więc to była w takich małych miejscowościach...

J.H.: A pan pamięta nazwę tej miejscowości?

M.N.: nie... ale tam były trudne warunki. Chodziło o to, ażeby przygotować, haszera to jest to słowo...przygotować chłopaków i dziewczyny do życia w ciężkich warunkach. Wtedy to nie było obecny Izrael. To było bagno i pustynia. Głód i nędza. I ludzie po maturze, w czasie studiów tam jeździli.

J.H.: Pan uczył się hebrajskiego w chederze i w tej szkole...

M.N.: I w szkole czteroletniej, prywatnej. Myśmy się uczyli tylko tę Biblię. To był stary... biblijny język. Ten właściwy język to w tej szkole.

J.H.: A z jidysz miał pan jakiś kontakt?

M.N.: Tylko w domu. Z ojcem mówiłem w jidysz. Z mamą po polsku i w jidysz. To była taka mieszanka.

J.H.: A rodzice między sobą?

M.N.: Chyba jidysz też. Na pewno.

J.H.: Czy mógłby pan opowiedzieć coś więcej o tej obronie Lwowa.

M.N.: NIEZROZUMIENIE PYTANIA. P.NADEL MÓWI O OBRONIE LWOWA W CZASIE I W.ŚW. A CHODZIŁO O II W.ŚW. OK.3 MIN.

KASETA NR 1

STRONA B

M.N.: Oficjalnie się mówiło, że są pod Przemyślem... a tu strzelanina była. Więc oni zajęli wtedy te wzgórza dookoła i jedyny opór stawili... był 19 Pułk. We Lwowie było kilka pułków. Pamiętam 19, 26, 40... więc te pułki wyruszyły na front i tam było masę żydowskich chłopaków, bo to normalny pobór był. Ale zostały się te kompanie, tak zwane administracyjno-gospodarcze, kwatermistrzowskie, o to jest właściwe określenie. I oni opór stawiali, straż pożarna, milicja i hufce szkolne i w ogóle młodzież. I wśród tych było dużo Żydów, bardzo dużo Żydów.

J.H.: Oni byli zrzeszeni w jakiś organizacjach?

M.N.: Nie, nie, nie. Tylko członkowie organizacji różnych... to był dobrowolny... z tym, że... nawet fakt... chłopacy... siedziba komendy uzupełnień była przy ulicy Batorego, czy jakoś tam... nie chcieli przyjąć więcej, bo tam nie było broni dla nich. Tak, tylu chętnych było do obrony, a nie było broni. A teraz z tym wezwaniem do opuszczenia miasta... to nie Rosjanie, tylko Niemcy. Ponieważ ciągle byli wypierani, postanowili ogłosić miasto jako teren wojenny i bombardować do szczytu i ogłosili, żeby cywile wyszli z miasta, na stronę, na południe i miasto będzie obrócone w wojenny obiekt.

J.H.: I pan mówi, że to była tragedia i że pana rodzina została w schronie...

M.N.: Tak, zacząłem chodzić, żegnać się z krewnymi, ze znajomymi... wie pani, bo uważali, że to śmierć. I moja rodzina postanowiła zostać, nie wyszła, ale dużo, dużo wyszło w kierunku na Tarnopól, Stanisławów. I w nocy był spokój. Pierwsza noc, gdzie nie było strzelaniny, ani ataków żadnych... rano... a w nocy piękna pogoda była, piękna noc... rano jakieś pojedyncze serie z karabinów maszynowych i wystrzały i znowu cisza. I w pewnym... między godziną 9 a 10, pojedynczy żołnierze bez pasów... „Koniec wojny!”.

J.H.: Ale co to byli za żołnierze?

M.N.: Polscy. I okazało się, co mieli dostęp do radia, ci co byli w piwnicach, powtórzyli, że Rosjanie ogłosili przez radio, że wkraczają do Polski, ażeby pomóc swoim braciom. Oni oczywiście mieli na myśli pomoc Ukraińcom, wyzwolenie Ukrainy. Ale ludzie nie rozumieli, że jeżeli wkraczają do miasta, przeciwko Niemcom to sprzymierzeńcy, więc kiedy ta cisza nastąpiła i z daleka było wiadomo, że Rosjanie weszli, to dla tych, kto spodziewali się śmierci to była radość! A i Niemcy się wycofali. Niemcy się wycofali, a oni weszli. To była wyjątkowa radość. Ale jak oni wchodzili... te całe kompanie wojsk, z tymi bagnietami i strzelali, gdzie były jakieś większe grupki i strzelali.

J.H.: Pan mówi, jak Rosjanie wchodzą to wyglądają niekorzystnie. Może pan opisać, jak wyglądali?

M.N.: Przede wszystkim ich mundury w porównaniu do polskich były bardzo eleganckie... no i prezentowali się w stosunku do nich, jak arystokracja. Oni byli w takich marnych szynelach, Rosjanie, pasy nie skórzane, tylko takie jakieś płócienne... te czapy z tymi... ja też miałem takie zdjęcie swoje w takiej czapie... właśnie nie wiem, gdzie się podziały moje zdjęcia. I były takie oddziały mongolskie. To nie byli Rosjanie, tylko oddziały mongolskie. Szli bez słów. Ludzie wylegli by przywitać ich, a oni strzelali... no i te karabiny na sznurkach. Tak, to nie są żarty... wielu miało. To nie jest propaganda żadna. Okropne wrażenie zrobili. A ludzie tak się rozradowali. Ojciec mówił, że to nas będzie dużo kosztowało. I ojciec wtedy zupełnie załamał się... przestał wychodzić w ogóle na ulicę, przestał... i nawet, tam 100 metrów od nas były koszary... tam, gdzie była szkoła, obiekt i oni tam mają też zwyczaj, że o 9 wieczór, czy nad ranem oddziały wychodzą na tak zwany perechu, wymarsz i przed snem... i śpiewają te swoje... piosenki. To ojciec zamykał okna wszystkie.

J.H.: A mama, jak wtedy się zachowywała?

M.N.: Przeżywała bardzo. Bardziej, bo matka przeżywała dzieci... jaki los czeka dzieci, tylko że matka nie miała kiedy okazywać tego, bo ona tylko... matka chorowała też wtedy już. Była chora.

J.H.: A skąd w ojcu taki niepokój?

M.N.: Ponieważ ojciec nie wierzył w koniec wojny teraz, bo ludzie wierzyli że wojna się kończy teraz, Rosjanie przyszli z pomocą... ojciec uważał, że wojna potrwa i Rosjanie w tym... On, jak już widział i znał świat, że oni nie wytrzymają i nie będą chcieli odejść. I w ogóle on był przeciwny temu ustrojowi. On znał te dzieje, tej rewolucji rosyjskiej i te wszystkie dzieje, historię komunizmu... znaczy ja też później znałem te wszystkie procesy, jakie tam były, także on uważał ich za barbarzyńców. Zarazem mój wujek jeden był w niewoli u nich i wrócił do domu i on dużo opowiadał o nich.

J.H.: A kiedy?

M.N.: Przed pierwszą wojną. On tam był i... wynikła rewolucja i oni w pierwszej chwili chcieli mobilizować ich, tam tych wszystkich jeńców, ale ten wujek miał te palce... i puścili go do domu.

J.H.: Proszę mi powiedzieć, kiedy pan był wezwany do wojska?

M.N.: Do wojska rosyjskiego? To był 18 października, dokładnie 40 rok. To był święto Sukkot. Tak ja teraz jest święto Sałasów. I pamiętam w ostatni dzień Święta Sałasów. Czekałem. Ojciec był w bóżnicy, ja byłem przygotowany i czekałem tylko na ojca, żeby przyszedł z bóżnicy. I oczywiście wtedy już nie był w tym... tylko normalnie ubrany, wrócił, pamiętam jak dzisiaj, u nas była kuchnia, pierw wejście do pokoiów, to w kuchni i ojciec... z tej strony ojciec, z tej matka, jakoś tam uścisnęli mnie i ojciec podał mi taką modlitwę, pamiętam. A pamiętam jeszcze taką... to ciekawostka, bo wpierw był pobór, badanie lekarskie, a potem dopiero oficjalny pobór, kiedy ogłosili że mam się zgłosić na ten i na ten... u nas w domu było koszerne jedzenie, „Będziesz zmuszony tam jeść wszystko. To pamiętaj, życie wymaga ustępstwa, ale jak będziesz jadł wieprzowinę, to ażeby była pamięć że robisz coś, co nie powinienes, żeby kości nie oblizywać!”. Niby taki humor, wie pani.

J.H.: A pan pamięta tę modlitwę?

M.N.: Pamiętam, bo to było... nieraz sobie powtarzałem w domu: ALTIRA MI PACHAT PIZON, żeby nie poddać się nagłemu strachowi, tylko myśleć o tym jak zapobiec, jak zaradzić.

J.H.: I to jest jakaś stara modlitwa?

M.N.: Tak. Żeby nie poddać się nagłym strachom, i nie ulec nienawiści wrogów, tylko myśleć jak zaradzić.

J.H.: I pan stepuje wtedy do wojska rosyjskiego?

M.N.: Tak. Tam w V Gimnazjum był punkt zborny. Oni zrobili z nas ochotników. Bo, jak były ogłoszenia, żeby się zgłosić tam i tam, takich, takich dniach według liter, do komisji poborowej. Była sala taka, takie półkole drewniane zrobione takie, za tym kołem taki ogromny stół i za tym stołem siedzieli oficerowie rosyjscy i cywile jacyś i po lewej stronie była lekarka. Młoda lekarka z wagą i mierzyła wysokość i trzeba było całkiem, jak pan bóg stworzył. To jest ciekawostka i trzeba było pierw podejść do tej pani doktor, która sprawdzała... a przede wszystkim sprawdzała, czy się nie ma choroby wenerycznej. Pani sobie wyobraża młody chłopak, ja byłem jeszcze nie zepsuty, naprawdę. Nagle młoda kobieta sprawdza... ja już byłem zaszokowany, zestresowany. I od nich podeszłem do stołu, do tej komisji, patrzę na nich i „Szo?”. Ja nie znałem ukraińskiego języka „Kazali, praszoł”, znaczy po ukraińsku, znaczy „Kazali, przyszedłem”. „No to idzicie”. Ja wychodzę... a to było kole i chcę wyjść, a tam mnie zatrzymuje taki dozorca szkolny „Mówiłem ci, że masz powiedzieć: Praszu prinia mienia w Krasno Armio”, czyli „proszę mnie przyjąć do Armii” i nie wypuścił, tylko... no więc znowu... już do nie do tej lekarki tylko od razu do nich „Praszu Prinia mienia w Krasnej Armii”. Tak stałem, jak ta ofiara. „No, ot haraszo. Podisyjcie.” Podpisałem. I to było wszystko. I potem mówili, że jesteśmy ochotnikami dla całego świata, bo oni nie mieli prawa zabrać przymusowo. Tak wyglądało. I ani słowa tu nie ma przesady. Ani jednego słowa. To dosłownie tak było.

Mimo, że ja byłem w tym harcerstwie, w tej organizacji syjonistycznej. Byłem bardzo wychowany, naprawdę bardzo w duchu polskim. Patriotę polskiego. Cała literatura polska, ja byłem wychowany w duchu sienkiewiczowskich Trylogii, szczerze mówię i nie było żadnej defilady jakiegoś 3 maja, 11listopada... we Lwowie to one były szczególnie uroczystości obchodzone, bo tam było dużo wojsk. Nawet pamiętam jako chłopak byłem bardzo... mocno... 40 Pułk Piechoty, 26 Pułk Piechoty, 19 Pułk Piechoty, Pułk Pancerny... i te wszystkie jednostki szły ulicą Legionów i Placem Mariackim maszerowały. Ja musiałem iść na każdej takiej jednej.

J.H.: I to tata podsyczał w panu...

M.N.: Tak, tak. W ogóle, wie pani, w domu u nas... ja sam... bo ludzie starsi, to wie pani już tracą trochę, ale ja to... i na przykład ja byłem w rosyjskiej armii, jak byłem już po ranieniu i miałem dobre warunki, bo ja byłem w lotnictwie. I po ranieniu to już nie latałem, tylko byłem... to się nazywało Wędrowny Warsztat Lotniczy. I miałem bardzo dobre warunki, naprawdę. Ale jak się organizowała Armia Polska, to od razu się zgłosiłem...

J.H.: Do Andersa?

M.N.: Do Andersa w ogóle nie chcieli przyjąć. Nie wiedziałem w ogóle o tym. Armia Andersa, nic nie wiedzieliśmy o tym, ale ja wiem, że oni nie przyjmowali wszystkich. Ale ja wtedy... w ogóle byliśmy, ja wspominałem o tym... rok czasu prawie byliśmy na

Sybirze, jako element niepewny. To z frontu zdjęli nas, wszystkich Lwowiaków, z tamtych terenów i na Sybir. Myśmy nic nie wiedzieli.

J.H.: Pan mówi też, że oprócz tego, że wstąpił do armii, rozważał też możliwość wstąpienia do takiej organizacji, która przerzucała ludzi z Wilna do Izraela?

M.N.: A to była we Lwowie. Jak Rosjanie weszli, to ja byłem w tej organizacji, w tej mojej organizacji harcerskiej, dlatego właśnie przypominałam sobie... to myśmy przerzucali naszych członków do Wilna i z Wilna oni dalej do Izraela. I ja nie mogłem zostawić... z dwóch powodów nie pojechałem, nie mogłem zostawić rodziców. Ojciec nie wiem czy mówiłem był inwalidą, matka była chora, ja byłem najstarszy i nie mogłem... a poza tym ja byłem w tej grupie, która przerzuty organizowała.

J.H.: Czyli tą organizacją, która organizowała te przerzuty do Izraela to była ta organizacja harcerska?

M.N.: Tak, tak. Harcerska tak.

J.H.: I były jakieś inne też?

M.N.: Tam były też inne, wiem. To w ogóle te harcerskie, młodzieżowe żydowskie organizacje zajmowały się tym. A i to jest ciekawostka, spotkałem po wojnie, w Krakowie, bo ja byłem w szpitalu w Krakowie i zacząłem chodzić już o kulach, to tam widziałem, że tam jest punkt naszej organizacji [harcerskiej, która przerzucała ludzi do Izraela]. I mam nawet [stamtąd] zdjęcie. I spotkałem [tam]... okazało się, że czterech chłopaków... dowiedziałem się tam od innych, nazwiska Sztrumer i inni. I jak Rosjanie weszli do Wilna, to oczywiście urwała się już to wszystko [działalność] i wtedy im się udało poprzez całą Rosję przewędrować, nie wiem jakim cudem, i przez Kaukaz do Izraela. W czasie wojny, czterech chłopaków. Ale oni i tak zginęli potem w Izraelu. Bo jak była ta wojna wyzwolenicza, to tam koło Jerozolimy, takie wzgórze, Et Sion nazywa się to wzgórze i tam na tej górze był kibuc, tych właśnie naszych chłopaków ze Lwowa. Takie osiedle, taka wspólnota. I oni, jak wojna wybuchła, to oni oczywiście zamienili się w jednostkę wojskową tam i kilka jeszcze takich osiedli i bronili dostępu Arabom do Jerozolimy. I tam wszyscy do jednego zginęli. Tam było z naszej organizacji kilkadziesiąt osób, dziewczęta, chłopaków, wszyscy zginęli co do jednego. Jeden jedyny, Knol, Dow Knol uratował się, bo on był ranny i wzięli go do niewoli. To wzgórze zdobyli Legiony Jordańskie, a tam byli oficerowie angielscy, to oni byli bardziej cywilizowani i wzięli go do niewoli, on jeden przeżył. I właśnie ci chłopaki, co przeszli... oni zginęli tam.

J.H.: Potem pan mówi, wyprowadzili nas z Kurska na dworzec, dużo tego było około tysiąca ludzi. To co to byli za ludzie?

M.N.: Ludzie pochodzący ze Lwowa i z okolicy. Ten niepewny element. Ale nie wszystkich, bo tam niektórzy zostali. Oni wszystko wiedzieli. O mnie na przykład kiedy... tam chcieli koniecznie mnie, proponowali mi wstąpienie tam... do tego... ich służb i okazało się, że oni wszystko o mnie wiedzieli. Mokre plecy miałem. Ja odmawiałem. I

bałem się, że oni się mogą zemścić na rodziną. Mogą wysiedlić nas ze Lwowa, ale ojciec mówił: „Pamiętaj, nie daj się wciągnąć do żadnej służby”. Oni wiedzieli, na przykład moja siostra jedna miała inne nazwisko. To była starsza siostra. Bo ojciec był żonaty pierwszy raz i ta żona, kiedy była epidemia tej hiszpanki, to ta matka zmarła i ojciec został wdowcem z dziećmi. I ożenił się z moją matką. I ona miała tam inne nazwisko. Ponieważ ojciec zmienił potem nazwisko, pod wpływem przepisów stanu cywilnego, ponieważ ojciec miał religijny ślub z tamtą... to polskie władze nie uznały ślubów niereligijnych, wtedy musiał być cywilny ślub. Więc tamta została jako Eilberg, a myśmy mieli Nadel. Ojciec też musiał zmienić swoje nazwisko na Nadel. To ono o tym wiedzieli, pani sobie wyobraża? To ja się bałem, ponieważ ja byłem z organizacji harcerskiej i oni byli prześladowani przez nich w tym mieście. Więc ja bałem się. Mówiłem prawdę, ja byłem jak w szkole byłem, to była taka harcerska organizacja, myśmy się bawili, w podchody i tak dalej, ale potem, jak wydoroślałem, to ja pracowałem... takie zakłady były i wstąpiłem do związków zawodowych. Prawdę mówiłem. Ale dalej, to... więc ja bałem się, że... jak on znał już nazwisko, znaczy że oni brali o mnie... wywiady.

J.H.: Pan mówi, że w obozie było bardzo ciężko... a gdzie był ten obóz?

M.N.: On był... wiem miejscowość Kysztyn. To był zachodni Sybir. Tam za Uralem. I od tej miejscowości, może... ja wiem 30-50 kilometrów. To była ta miejscowość jedyna taka większa. Taka administracyjna miejscowość, a poza tym to pełne lasy.

J.H.: Czyli ten obóz nie miał nazwy?

M.N.: Nie, nie. Nas wysadzili tam i potem pieszo szliśmy... dziesiątki kilometrów i wylądowaliśmy na trawie. Normalnie w lesie, na trawie. No i była jesień. Już tam śnieg i tak dalej... myśmy sami kopali ziemiłanki, wszystko od początku.

J.H.: Pan mówi, że nie dokarmiali nas a potem dali gałuszki...

M.N.: Z rosyjskiego to jest gałuszka. To są takie... kluski z czarnej maki, ale robione tak jak te śląskie. I to wszyscy rozchorowali się. To był fakt.

J.H.: Potem z Moskwy przez Mińsk i do Chełma.

M.N.: Mieliśmy jechać do Chełma, ale myśmy zboczyli na lewo na Kijów i do Lwowa.

J.H.: I we Lwowie pan mówił, że był stan wojenny. A co to znaczy?

M.N.: Lwów był zdobyty przez Rosję. Już zdobyty od Niemców. Ale tam Ukraińcy na każdym kroku uprawiali terror. Także strzelali... tam ciągle były jakieś strzelaniny... to oni tam zrobili stan wojenny. Na tych terenach. Rosjanie. Ostrzeliwali pociągi, wie pani, ostrzeliwali...

J.H.: A teraz o propagandzie radzieckiej.

M.N.: Jak Rosjanie mówili nam o tym, co się dzieje w Polsce, co Niemcy wyrabiają, to myśmy nie wierzyli w to. Myśmy nie mogli sobie wyobrazić, że na ród cywilizowany był... Mój ojciec był długo we Wiedniu mieszkał, był tam, we Wiedniu miał operację tam... to był pełen uwielbienia dla niemieckiej kultury. Mieliśmy tam książki niemieckie, i tak

dalej... Więc nie mogłem sobie wyobrazić, że naród cywilizowany może mordować planowo. Więc Ja rozumiałem, że może być tam jakiś szturm, wie pani rozpasany tłum morduje, pogromy, ale żeby w sposób zaplanowany ludzi mordować, to myśmy nie wierzyli. Dlatego myśmy wogóle nie wierzyli w to, co oni mówią.

J.H.: Ale oni mówili tak publicznie...

M.N.: Oni na... pogadankach. Oni wszędzie prowadzili polityczne zajęcia.

J.H.: To znaczy, gdzie były te pogadanki?

M.N.: W wojsku i na Sybirze, ale tam mniej, bo tam się z nich śmiali głośno. Ale w wojsku normalnie były te pogadanki. A tam, na Sybirze... ironicznie, niemieckie bestie i tak dalej.

J.H.: Pan mówi, że przed wyjazdem poszedł jeszcze do komitetu żydowskiego. Ale przed wyjazdem dokąd?

M.N.: Ze Lwowa. Bo we Lwowie poszedłem do komitetu żydowskiego, ażeby dowiedzieć się czy ktoś tam z mojej rodziny meldował się tam u nich. Więc przy okazji poprosili mnie tam, oni mieli wykaz uratowanych żydów, żebym przekazał w Lublinie. W Lublinie był tam taki komitet, główny komitet, bo wtedy w Lublinie była główna stolica kraju, wyzwolonego już niecałkiem wyzwolonego. I tam był taki pułkownik Kahane. Rabin Kahane. I to był mój były nauczyciel religii. I tam go spotkałem, właśnie tam... pamiętam, że te dokumenty we Lwowie dała mi mgr Werthajm.

J.H.: I te komitety, to co to było?

M.N.: To były samoistnie zorganizowały się zrzeszenie, czy jak to nazwać? Zajmowali jakiś lokal. Stworzyli organizację taką i Żydzi, którzy wracali z lasów, z partyzantki... z wojska, koszar, albo z obozów, tam się zgłaszali, oni rejestrowali, że żyją. Bo były powojenne poszukiwania ludzi. No i też pomagali dali jakieś tam potrawy, jakieś tam obiady gotowali. Takie biura rejestracji i pomocy.

J.H.: Może pan opowiedzieć coś więcej o tej sytuacji, jak wyrzucono przez okno żydowskich żołnierzy inwalidów?

M.N.: na browarnej 13 to było, ale nie z piętra... były nary, pani wie jak to w takich żołnierskich koszarach, parterowe nary i... i to była kamienna posadzka, było zimno, i to na górnych narach miał wygodniej i cieplej i... jakoś.

J.H.: Takie prycze?

M.N.: Prycze, tak. A po rosyjsku nary, przepraszam. Więc tam było kilku inwalidów żydowskich, bez nóg, którzy tam wie pani po demobilizacji... to zrzucali ich tam... na podłogę.

J.H.: I pan widział to?

M.N.: było ciemno, ale ja byłem przy tym. W nocy, wszyscy śpią, nagle krzyki... i to byli niestety NSZ-towcy. Wtedy był antysemityzm, bardzo się rozwinął wtedy. Nawet jak byłem w Lublinie, w komitecie i mówiłem, że idę się zgłosić na Browarną, do punktu

zbornego, to mówili: „Po co ty tam idziesz?, zdejm te... damy ci dokumenty, że wróciłeś z partyzantki, z lasu i będziesz normalnie żył”. Ja mówię, że nie. „Przecież tam własni koledzy dadzą ci kulę w plecy”. I to fakt. Bo potem taki mój kolega, sierżant spod... pojechał do domu, do rodziny, odwiedzić domu i zastrzelili go.

J.H.: A pan doznał jakiś prześladowań z ich strony?

M.N.: Nie. Wie pani, bo wśród tych chłopaków, jak byłem w tej grupie, ja byłem bardzo wygimnastykowany i bardzo silny.

J.H.: Czyli bali się pana trochę?

M.N.: Wyjątkowo. Miałem odznaczenia z Armii Rosyjskiej za odwagę, wie pani... i byłem silny naprawdę. Pamiętam, jak były uroczyste dni wyzwolenia Warszawy, to urządzili jakieś tam sportowe... biegi... to ja pierwsze miejsce zajmowałem. Pierwsze miejsce we wszystkich tam... tam w wspinaniu się na przykład. Normalnie na sznurach... tylko raz miałem tak, że biłem się, ale nie o mnie. Chodziło o takiego chłopaka, to było w szkole oficerskiej. Tam był taki Winograd, to był taki szczupły chłopak, młodszy ode mnie, wyższy, on był taki zahukany, taki... potem był inny, ale w tym okresie, jak był kursant w szkole oficerskiej i tam był jeden taki kursant, podchorąży. Nazywali go partyzantem. On tak mówił, że był w Warszawie w powstaniu, że potem był w Niemczech w obozach, wrócił z obozu i dostał się do Jugosławii, do partyzantki jugosłowiańskiej. Tak on mówił o sobie. No i potem poszedł do partyzantki, w Polsce zmobilizował się i był w szkole oficerskiej. Wysoki, ale taki łobuz cholerny łobuz. I on tego chłopaka, Winograda, na każdym kroku... prześladował go. I ja pewnego razu powiedziałem: „Słuchaj co od niego chcesz?” „A co, kurwa ci mać, nie podoba ci się?”. A dla nas to przekleństwo „kurwa ci mać”, to było najgorsze. To było najgorsze, co mogło być. I widzę ten obraz, wszyscy stali między tymi pryzmami, jak dzierżgnąłem... i on sięgnął po nóż. Ja też miałem, zawsze nosiłem, jeszcze jako student nosiłem, nosiłem długo buty i mundur, ale ja zacząłem go okładać. On był wyższy ode mnie... a chłopaki stali dookoła. Jego nikt nie lubił. Tam było więcej Lwowiaków. I jego... w ogóle Lwowiacy nie lubili Warszawiaków. Znane to było. A jego, że był taki chojrak, więc dopingowali mnie. I w końcu dyżurny inspektor zaalarmował tych... przyszli.

J.H.: A on był pochodzenia żydowskiego?

M.N.: Nie, nie. On prześladował tego... jako Żyda właśnie. I potem staliśmy do raportu, za tą bójkę właśnie i jak ja patrzyłem na niego... nie było poznać między nosem a... taki spuchnięty był. Więc powiedziałem tak, jak było. Taki major, taki starszy pan... „No, niech to będzie ostatni raz”. To ył taki mój jedyny wypadek, kiedy miałem... no potem miałem już jako cywilna osoba, jak jechałem do żony do Buska, to partyzantka, nie wiem jaka ONR, czy jakaś tam... zatrzymała pociąg i oni wyławiali tam wszystkich Żydów i tam komunistów, wojskowych stopni... i była taka mała stacyjka w drodze do Kielc, z Krakowa do Kielc. Żona była w Busku, w wojskowym szpitalu i ja jechałem do niej.

Jeszcze nie była żoną tylko sympatią. A ja byłem w szpitalu też jeszcze. I wtedy ten pociąg zatrzymali i szli z wagonu do wagonu i wyprowadzali. I jak, tak se myślałem, jak dojdą do mnie, to wyładuję cały pistolet, no i... ale okazało się, jak byli jeden wagon, czy dwa wagony przed, gwizdek, wszyscy zbiegli się tam przed frontem i przerwali. W potem, jak wracałem następnego dnia do Krakowa, to tam na tym miejscu tam, na tej stacji, cały rząd zabitych, przykrytych... to było takie moje jedyne...

J.H.: Proszę mi powiedzieć, kto to byli naganiacze?

M.N.: Naganiacze to jest... byli adwokaci, biznesmeni, specjaliści, wie pani... oni mieli takich pośredników, którym płacili od łebka. Oni siedzieli w sądzie tam na salach sądowych, korytarzach i łapali ludzi. Dowiadywali się... i „O ja znam, ja mam adwokata takiego i takiego...” i kierowali do adwokata. I on potem dostawał tam jakiś procent od każdego. Ja nie miałem takich naganiaczy. Miałem dodatkowe zarobki jako radca prawny.

J.H.: A w adwokaturze to uchodziło za coś pozytywnego, że ktoś takich naganiaczy miał?

M.N.: Negatywnie. Bo oni mieli duże zarobki wtedy. Jeszcze przy okazji, bardzo często tacy adwokaci udawali przed ludźmi, którzy siedzieli tam na tym holu tam, sędzia jak jakiś wyszedł, klepali się po ramię, znaczy że ma komitowy. To była cała fabryka.

J.H.: Proszę mi teraz opowiedzieć o swojej żonie. Jak się nazywała skąd pochodziła?

M.N.: Ona pochodzi z Warszawy, była córką lekarza żydowskiego. Rodzina wybitnie zasymilowana. Ona nawet po żydowsku nie umiała, nie знаła żydowskiego. Kiedy do geta poszli, to rodzice ją przetrzucili do znajomych. Ja tych ludzi też poznałem potem, na Żoliborzu tam była taka rodzina nauczycielska Polaków. Mąż, jako oficer w Katyniu został zamordowany. A ta żona i syn, synek, mieszkali tam w tych domach nauczycielskich. Tam była taka kolonia na Żoliborzu, takie osiedle nauczycielskie. I żona była tam u nich. Przystąpiła do AK. Pierw Związek Walki Zbrojnej. Była 24 rocznik. Urodziła się w Warszawie. Ona była starsza, ale tam była zameldowana jako 24 rocznik. W Związku Walce Zbrojnej a potem w AK. No i tutaj. Tam, gdzie mieszkała u tej nauczycielki, ona miała mieszkanie trzypokojowe, trzyizbowe i jednego syna. Bieda była. To odnajęła pokój tam jakiejś Ani. I to okazało się, że to była kobieta ze sztabu Gwardii Ludowej. Ja mam, w książce wszystko opisane jest. I ona nie wiedziała dokładnie kim ona jest, tylko wiedziała, tylko wiedziała, że to jest konspiracja. Oni nie wiedzieli kim żona jest. I bardzo często posługiwali się nią. Dużo dla nich zleceń... przechowywała broń w piwnicy, gazetki jakieś im tam dostarczała. Żona, żona. I Spychalski osobiście, tam w tym pokoju były posiedzenia, tam Spychalski, Sowiński... tam mieli miejsce spotkań. I ona to wszystko kryła. Znaczy nie kryła, tylko pomagała im. Nawet podobno był taki wypadek, że była w tym domu obława, weszli na jakieś rewizje tam... bali się, że wejdą do tego mieszkania też, to żona miała jakąś tam kasę ich, dokumenty i przez okno z pierwszego piętra wyrzuciła. I sama przedostała się też tam jakoś. Ona miała Krzyż Waleczny od Spychalskiego za ten okres i potem miała Krzyż Walecznych za okres powstania. W

powstaniu brała udział normalnie w AK, w akowskich oddziałach. Zośka zdaje się. I była bardzo ciężko ranna w powstaniu i znalazła się w tych szpitalach polowych. Potem przerzucili ją, tam koledzy z AK, tam było takie zezwolenie na transport do Krakowa. Cos tam załatwili i mogli przerzucić do Krakowa, do szpitala dla ciężko rannych. I ona była też między innymi do Krakowa, do szpitala przerzucona też.

J.H.: A Zośka, to co to było?

M.N.: To był pseudonim oddziałów, zdaje się. Jej pseudonim był Sławka.

J.H.: Była ranna w powstaniu?

M.N.: Tak, bardzo poważnie. Do ostatniej chwili chodziła, ale miała problemy z nogą.

J.H.: A proszę mi powiedzieć, kiedy państwo się poznali?

M.N.: W 46 roku, bo ja tam byłem w szpitalu wojskowym w Krakowie. Ja zacząłem chodzić o kulach już tam, a potem już chodziłem o jednej lasce. To chłopaki z mojej sali, „Słuchaj, tam są fajne babki”, no to poszliśmy tam z nimi... do tych babek. I tam poznałem przyszłą żonę. Okazało się, że ona przed wojną, jako mała dziewczynka była we Lwowie, u krewnych gdzieś tam. Ja znałem tych ludzi i tak się sympatia zawiązała. I jesteśmy razem w szpitalu w Krakowie.

J.H.: A potem?

M.N.: A potem. Więc jak zacząłem chodzić o lasce pojechałem do Kudowy, do wojskowego szpitala do Kudowy, na rehabilitację. Tam po dziś dzień wojskowy szpital jest. Po miesiący wróciłem do szpitala do Krakowa znowu, tam pobyłem miesiąc, dwa, bo oni nie mieli co robić z nami, bo ci co mieli rodzinę na tym terenie, to ich wypisywali jako inwalidów do domu, a nas ze Lwowa, z tych terenów, to w szpitalu. Ciągłe była rehabilitacja też. Ja byłem bardzo ciężko ranny, całą jamę brzuszną miałem...

KASETA NR 2

STRONA A

M.N.: Ja dziękowałem potem, to był taki lekarz major Kostarczyk, przedwojenny lekarz wojskowy. „Proszę mi nie dziękować” mówił „My byliśmy bezsilni. To była opatrzność, pański organizm, ale my – medycyna była bezsilna”. Więc mnie długo trzymali. Ja leżałem półtora roku w szpitalu. Względnie wyzdrowiałem, to potem mnie wysłali do Buska. Też taki wojskowy szpital-sanatorium. Na dalszą rehabilitację. Też na sześć tygodni i znowu wróciłem do Krakowa. Do szpitala i znowu do żony oczywiście. I jak byłem w Busku, to żona przyjechała tam. Okazuje się, że ja też tam skierowali. Pewnego dnia jakaś tam pielęgniarka: „Proszę pana. Pan z Krakowa? Tutaj jest jedna pani. Pytała

się o pana”, ja mówię „Gdzie?”, tutaj w tamtym pokoju, przyjechała w nocy. Więc zapukałem, to była... czyli przeznaczenie. Ucieszyłem się widokiem kogoś znajomego na obcym terenie. I potem wróciłem do Krakowa. I bardzo często robiłem takie ze szpitala, takie małe dezercje, bo wie pani bez przepustki, do Buska na dzień, dwa i wracałem. I w szpitalu zawiązała się taka grupa, która chciała wyjechać do Izraela...

TEN FRAGMENT JUŻ JEST W TEKŚCIE ZUŻY. Ok. 13 min.

J.H.: A żona kiedy zmarła? Chorowała?

M.N.: Trzy lata temu. Nagle zmarła. Ona w ogóle chorowała. Operowana była. Ciągłe z tą nogą. Rany się otwierały... ale ostatnio chorowała, właściwie nie było wiadomo co to jest, ale to był nowotwór żołądka i tak przez dwa lata się mordowała. Czyli zmarła w 2002 i jest pochowana na cmentarzu żydowskim. Z tym że ona przez pewien okres czasu, w okresie okupacji, jak wyszli z geta, to ona była na wsi pod Sieradzem, bo tam bardzo często przyjeżdżała z rodzicami w okresie wakacji, od dziecka znali ją i tam ją przyjęli i opiekowali się nią. I dopiero potem znowu do Warszawy przedostała się.

J.H.: Czyli w 2002 roku, a którego dokładnie?

M.N.: 28 kwietnia.

J.H.; I proszę mi powiedzieć pan ma wnuki?

M.N.: Mam dwóch synów. Olek w Kopenhadze i tutaj Sławek. On jest lekarzem, tutaj w Łągielnikach. On ma tutaj jednego wnuka. W tej chwili ma 14 rok. Maciek. Bo Kuba to jest z Kopenhagi i on studiuje w Warszawie, medycynę teraz kończy już. Jeszcze Misiek jest w Kopenhadze. On zdaje się jest na pierwszym, czy na drugim roku Infromacji, Informatyki chyba.

J.H.; I państwo macie wszyscy z sobą bardzo dobry kontakt?

M.N.: Tak.

J.H.: A proszę mi powiedzieć synowie byli wychowywani w tradycji?

M.N.: Nie.

J.H.: czyli wnukowie też nie?

M.N.: Nie. Z tym że starszy syn, jak później zamieszkał w Kopenhadze, to ona tam pod wpływem kolegów... bo on musiał wyjechać stąd w 68 roku, to on tam zbliżył się do tradycji żydowskiej, ale on nie zna ani żydowskiego, czy hebrajskiego. A on swoim synom to już urządził Bar Micwę, takie tradycyjne i są obrzezani. A ten Maciek nie. Oni są obrzezani, ale w tej chwili wszystko dla nich obce jest. Z tym że oni formalnie są Żydami. Ten starszy syn z Kopenhagi jest teraz taki bardzo... śledzi historię Żydów, w Biblii. On się interesuje bardzo. A ten syn tutaj z Łodzi, sławek, to on po cichu, on nawet nie wie o tym [że ja wiem, że on] zawsze łapie jakąś książkę. A ja wiem i zauważyłem, że on doskonale zna historię Żydów. I oczywiście zadowolony jestem z tego, że mimo wszystko cos tam czytają.

M.N.: A znają historię pana życia?

M.N.: Bardzo mało. Ja nigdy nie... ja mówiłem, ale w ogóle nie potrafię się uzewnętrzniać. Właśnie tutaj po raz pierwszy... oni mordują mnie, żebym ja pisał pamiętniki.

J.H.: A takie dzisiejsze życie jak pana wygląda?

M.N.: Wie pani, ja się załamałem, przewidywałem, że dla mnie nie ma w ogóle już życia. 56 lat, czy 57 byliśmy razem małżeństwo, ja nie mogę się odnaleźć. Ja chorowałem, byłem w szpitalu dwa razy, ale ten młodszy syn codziennie bywa u mnie tutaj i jakoś tak stopniowo... zacząłem do gminy znowu chodzić tam, społecznie. Ja działałem w komisji inwalidów wojennych.

J.H.: Czyli dzisiaj tak trochę samotnie?

M.N.: Oczywiście, jestem samotny. Tylko syn przychodzi rozmawiam. I tam w gminie, nie chodzę codziennie, ale tak dwa, trzy razy w tygodniu. No i zacząłem w soboty, w piątki wieczór. Wcześniej nie chodziłem. Teraz tak, żeby między ludźmi, kontakty jakoś tak. Ja byłem długie lata przewodniczącym gminy, a teraz jestem wiceprzewodniczącym. Ja sam ustąpiłem, nie czułem się na siłach, pomimo że byłem wybrany ustąpiłem temu... Keller nazywa się. I dobrze zrobiłem bo on jest energiczny i inteligentny chłopak.

J.H.: Dlaczego pan w ogóle zgodził się na udzielenie tego wywiadu?

M.N.: Sam nie wiem. Niechętnie. Tylko przekonało mnie, że to będzie dla potomności... ja tylko zastrzegłem, że nie wolno publikować tego bez mojej wiedzy. A może też liczyłem się z tym, że jak dostanę duplikat, to dzieci będą miały też pamiątkę po mnie. Bo ja pamiętam na przykład urywki, piosenki, ale nigdy tak żeby usiąść i... wie pani, to jest za dużo, to się aż w głowie kłębi, ażeby wysegregować to co jest ważne, a co mniej ważne.

J.H.: jaki jest pana stosunek do religii dzisiaj?

M.N.: Tak jak pani mówiłem, z tym że do tradycji. Uważam że tradycja jest wskazana do względów wychowawczych, względów etycznych, moralnych... Jeden bardzo istotny moment pamięć moich rodziców i przodków w ten sposób ja im oddaję jakoś tam... poprzez tą tradycję.

24.10.2005

KASETA NR 2

STRONA A

J.H.: Teraz chciałabym żeby pan powiedział kilka słów o Ani.

M.N.: Mysmy się poznali w tej organizacji harcerskiej. W tej szkolnej, Bene Akiba. Ona nazywała się Ania, Hana. Ona też szykowała się do wyjazdu do Izraela. Wie, że specjalnie

posłali ją na kurs krawiectwa. Specjalnego krawiectwa. Ona się uczyła, nawet ta sukienka [na zdjęciu], to przez nią uszyta jest. Więc jak to nazwać... nie była narzeczoną, bo jeszcze za młodzi byliśmy. Razem na spacerach... wie pani... no i nawet razem pocałowaliśmy się.

J.H.: To jaka ona była, jaka była z charakteru?

M.N.: ona była taka, raczej... na pewno była inteligentna, bystra, miała poczucie piękna, wybrała takie estetyczne krawiectwo.

J.H.: Ale co się w niej panu najbardziej podobało?

M.N.: Nie wiem. Naprawdę trudno mi powiedzieć. Była blondynka, taka ładnie zbudowana, wysportowana.

J.H.: Ale mieliście pewnie wspólne zainteresowania?

M.N.: no w ogóle w tej organizacji wszyscy wspólnie śpiewaliśmy, tańczyliśmy, bawiliśmy, na wycieczki... za miasto...

J.H.: A pan znał jej rodzinę?

M.N.: Tak.

J.H.: A oni też pana znali?

J.H.: Tak, bo kiedy wojna wybuchła, wtedy to pomogłem jej rodzinie, bo głód. Ludzie bali się wychodzić z domu. Nie mogli wychodzić. Bo nie było też gdzie. Sklepy pozamykane. A ja miałem możliwości dotarcia do artykułów spożywczych. Więc ja dla nich też. Pamiętam jak dzisiaj, bo oni mieszkali koło Góry Stracenia, to były wzniesienia, gdzie Niemcy usadowili się i stamtąd ostrzeliwali, atakowali. I u niej w tym domu, pamiętam w bramie, wojsko polskie miało taki... nie wiem sztab. Więc ja... a ode mnie do niej było kilka ładnych ulic, a ulica Rapaporta była cała ostrzeliwana od Góry Stracenia. To ja, tak jak dzisiaj [by to było, pamiętam] miałem taką skózaną kurtkę i ja nosiłem tam prowiant dla nich.

J.H.: Oni wiedzieli, że pan sympatią dla niej jest?

M.N.: Tak i wtedy. I potem, kiedy już Niemcy byli zupełnie tam blisko ich i była obawa, że lada chwila dotrą do naszych ulic, ona wpadła w jakiś... i rodzice poprosili ażeby przebywała u nas w schronie, ze mną. Jak ona była ze mną, to była jakaś taka spokojna i czuła się bezpieczna. I my byliśmy w schronie cały czas, to znaczy rodzina, bo ja nie i była tam u mojej rodziny w schronie...

J.H.: A państwo planowaliście przyszłość razem?

M.N.: Raczej tak.

J.H.: I jak wasze drogi się rozeszły?

M.N.: ja poszedłem do wojska, a ona została w domu. Zdjęcia do wojska przysłała. I ona zginęła w czasie wojny, pewnie razem z moją rodziną została zabrana. Dla mnie jest dzisiaj miłym wspomnieniem. Przyznaję, że po dziś dzień ja wspominam ją. I kiedy są modlitwy za zmarłych, ja zawsze odmawiam za nią te...

DOKOŃCZENIE ROZMOWY Z PANEM MICHAŁEM NADLEM
JUDYTA HAJDUK
Łódź, 17.10.2005

17.10.2005

KASETA NR 1

STRONA A

J.H.: Pan mówił, że ojciec w dni świąteczne zakładał specjalny ubiór i to była czarna bekiesza i kapelusz.

M.N.: Taki czarny surdut.

J.H.: Może pan opisać, jak bekiesza wyglądała?

M.N.: Bekiesze były różne. Były takie dla chasydów, takie z atłasu, długie... i były takie eleganckie, wie pani... długie, czarne, jakby... czarny, długi płaszcz, taki luźny. Może nie luźny nawet, ale... długości o wiele większej niż normalny płaszcz.

J.H.: taki do kolan?

M.N.: Dłuższy.

J.H.: Do kostek?

M.N.: Nie, to nie. Ale taki dłuższy.

J.H.: A z kołnierzem jakimś?

M.N.: Kołnierz miał na pewno, tylko nie pamiętam, czy aksamitny. Tego nie pamiętam. Bo mogły być różne... bo to była kwestia zamożności... no i kwestia, jak kto chciał się pokazywać. Ja pamiętam jako dziecko, do tego wagi nie przykładam. Ale pamiętam ten czarny surdut na święta.

J.H.: Pan chodził do chederu?

M.N.: tak.

J.H.: A może pan opowiedzieć coś o tym chederze. Gdzie on się znajdował, jak tam nauka wyglądała?

M.N.: On się znajdował przy ulicy Peltewnej pamiętam. Peltewna. Ja tam mieszkałem też przy tej ulicy. Bo ja mieszkałem przy Teatrze Wielkim, miejskim a ten był w drugim końcu ulicy. To był ostatni dom Peltewnej. Numeru nie pamiętam, ale to mógł być 31? W tych granicach, bo to była krótka ulica. 31, 35 mniej więcej, ale ulica Peltewna na pewno. To był cały budynek, pamiętam trzy piętrowy, dwu piętrowy. I tam były... klasy, dla dzieci początkujących... A u Żydów dzieci się wysyłało do chederu w wieku trzech lat. To było dobre moim zdaniem, poważnie, bo wtedy dziecko chwyta inaczej i wszystko... I wtedy dziecko się uczyło tylko pisać, tylko czytać, a potem w wyższych latach to już modlitwy i potem... Biblię, następnie Talmud. Pamiętam, że na dole tego budynku była taka bóżnica. To byłoby wszystko. Ten cheder był oddzielony od dwóch szkół, takim placem, gdzie chłopaki rozrabiali, grali w piłkę. I to była taka szkoła powszechna jedna, jedna i druga, tylko jedna im. Sobieskiego, a druga, nie pamiętam, czy Reja bodajże, nie wiem... taki nowy budynek.

J.H.: I pan potem chodził do szkoły powszechnej, prywatnej.

M.N.: Na początku nie. Na początku, pierwsze cztery klasy były w prywatnej szkole, na prawach publicznych, ale to była szkoła prywatna, zorganizowana przez taką partię, jakby... u nas chadecję... religijną. I tam właśnie uczyłem się. Tam była nauka normalna w języku polskim, nie... właśnie w języku hebrajskim i polski był jako przedmiot. I tam znowu też... język hebrajski, przede wszystkim hebrajski język i te przedmioty, które były we wszystkich szkołach publicznych, a do tego język hebrajski i historia. To byłoby wszystko.

J.H.: A językiem wykładowym w tej szkole to był jaki język?

M.N.: Hebrajski, nie... chyba nie. Nie pamiętam... wie pani, to trudno. Chwileczkę, już wiem, była Gweret, językiem wykładowym był polski.

J.H.: A jakiś kolegów zapamiętał pan, szczególnie z tą szkołą związanych?

M.N.: Pamiętam. Nawet jednego spotkałem potem. On był majorem, pułkownikiem w Poznaniu, Wojska Polskiego, Lancman. Ale on się nazywał Lewandowski wtedy. I tam była jego siostra, taka moja sympatia taka dziecięca. Horowitz. Pamiętam Horowitza. Nie wiem, co się stało z nimi. Oni chyba wszyscy zginęli, z wyjątkiem nielicznych.

J.H.: Czyli był cheder, potem cztery lata tej szkoły prywatnej i potem...

M.N.: Jednocześnie. Do szkoły chodziło się rano, normalnie. A do chederu chodziło się po obiedzie, potem. Kiedyś, byłem w wieku szkolnym, to do szkoły chodziłem swoją drogą, a do chederu chodziłem po obiedzie, po godzinie 15. po szkole w domu jadło się obiad, lekki wypoczynek i do chederu.

J.H.: A do tej szkoły prywatnej to dzieci polskie też chodziły?

M.N.: Nie.

J.H.: A do tej szkoły państwowej prywatnej.

M.N.: Do szkoły, do której poszedłem po czwartej klasie? Normalna szkoła publiczna. Ale też była raczej żydowska. Bo to była szkoła finansowana przez Kaal, przez gminę żydowską.

J.H.: I tam jakie przedmioty były?

M.N.: Normalne. Normalna szkoła, jak każda inna.

J.H.: I wykładowym językiem był język polski?

M.N.: Tylko. Bo tam w ogóle nie było hebrajskiego, tam było tylko polski.

J.H.: Ale większość było dzieci żydowskich?

M.N.: Tak.

J.H.: A pamięta pan, czy dużo tam było dzieci polskich?

M.N.: raczej nie, raczej nie. To było przy ulicy Stanisława, pamiętam, szkoła im. Kona. Zdaje się, tak.

J.H.: A wracając do chederu, czy szkoły tych czterech klas, pamięta pan, czy były kary cielesne w szkole stosowane?

M.N.: Nie... W chederze, pamiętam w chederze, to był taki w tych dolnych, niższych latach, był taki to się nazywał melamed, nauczyciel, taki jakiś dziwaczny i nauka wyglądała w ten sposób: długi stół, ławki... i on chodził dookoła, wszyscy mieli te zeszyty. Mówił i sprawdzał. I bywało, jeżeli ktoś tam rozrabiał, to on linijką... to pamiętam.

J.H.: A pan dostał kiedyś linijką?

M.N.: Nie pamiętam, naprawdę nie pamiętam.

J.H.: A uczniem była pan dobrym?

M.N.: Bardzo dobrym.

J.H.: I grzecznym pewnie?

M.N.: Tak. Pamiętam, jak w szkole byłem, w szkole podstawowej, znaczy w tej 6, czy 7 klasie, nawet ja byłem wójtem. Wie pani...

J.H.: Przewodniczącym klasy?

M.N.: Samorząd, ja byłem przewodniczącym samorządu. Jak była piękna wiosna, taka wiosna, lato to na wagary. Myśmy szli... tam we Lwowie były takie wzgórza Lwowa, a między nimi była taka Góra Piaskowa, tak nazywała się i tam myśmy chodzili grać w piłkę, na wagary. I niekiedy tam dzień, dwa, a raz... jak zaczęliśmy to trwało dwa tygodnie. Myśmy się bali tego... do szkoły pójść, to była cała grupa. Wiedzieliśmy, że trzeba będzie rodziców zawiadomić itd., no to się szło na te wagary. I to by się skończyło, nie wiem jak, ale pewnego dnia gram w ta piłkę tam i nad nami, na tym wyższym... ze wzgórz stoi nauczyciel religii, taki przystojny facet taki... „No, jak tam idzie gra chłopaki?”. Nie wiem, czy on specjalnie się wybrał, czy tylko przypadkowo i wtedy wszystko się wyjawniło i już następnego dnia do szkoły poszliśmy. Pamiętam, jak dzisiaj, była taka wychowawczyni: „No, nasz wójt przyszedł

do szkoły na inspekcję.” To pamiętam dokładnie. A tak to chyba byłem grzeczny. Do ludzi to zawsze. Baciarem lwowskim nie, nie, nie.

J.H.: A co to znaczy baciara?

M.N.: Baciara, to jest taki łobuz.

J.H.: To jest z rosyjskiego języka?

M.N.: Lwowski, lwowski. Baciary, lwowskie baciary.

J.H.: Tutaj mam też opis, jak pan opowiada o świętach w domu. O rybach, że każdy dostawał swoją partię. A do ryby była wódka.

M.N.: Nie dla każdego.

J.H.: Ja wiem, ale co to za wódka była?

M.N.: Więc to była wódka... Ale ojciec... to był Bongut 95 procentowy. Bongut nazywała się. I w tym była 95 procentowa wódka. Zwykła biała wódka.

J.H.: A to się w sklepach kupowało?

M.N.: Tak, tak normalnie w sklepach. Państwowych w sklepach.

J.H.: I to koszerne było?

M.N.: W wódce, to wie pani, nikt się nie doszukiwał koszerności, żyto... to wie pani...

J.H.: A kto to pił? Pewnie tata tylko?

M.N.: Tak więc... Początkowo to ojciec sam. Jak się zaczyna ta wieczerza, to wpierw ojciec, przy winie winogronowym odmawia modlitwę i wszystkie dzieci mają kieliszki i trochę wina. I tak samo odmawiają tę modlitwę po ojcu. Wszyscy stoją, mówią Amen i potem każdy ten łyk, mały łyk. Ale, jak już miałem pamiętam 13 lat, to i dostawałem tak pół kieliszek. To były takie małe kieliszki. To pół kieliszka dostawałem. I to było przed rybą. Potem, po błogosławieństwie przy winie, to się myło ręce, szło się ręce myć, siadało się do jedzenia. Ojciec kolację... odmawiał błogosławieństwo przy kolacjach, każdemu dziecku dał kawałek... no i ryba była podana. No i do tej ryby była właśnie wódka.

J.H.: Pan mówi też, że chodził do Akiby.

M.N.: Bene Akiba.

J.H.: Mógłby pan powiedzieć coś więcej o tej organizacji?

M.N.: To była taka harcerska organizacja, ona nazywała się skauci, skauci. I ona była właśnie organizowana... nie wiem, czy dobrze się wyrażam, ale pod opieką tej partii, która tą szkołą moją, co mówiłem o tej szkole hebrejskiej religijnej, tej czteroletniej. Byliśmy pod opieką... oni mieli taką młodzieżową organizację i ta młodzieżowa organizacja, znaczy powyżej 18 lat, oni założyli taką... organizację skautową. I nawet tam w tym budynku, gdzie była szkoła, to był budynek trzypiętrowy, to było nawet specjalne pomieszczenie tam... no i normalnie: harcerskie mundurki, wycieczki, te nauki, jak te przedmioty... sprawności, wie pani, no i również wszelkie na przykład orientacja w terenie, mapy, wszystko było... ale to już nie wtedy tylko potem, bo jak skończyłem tę szkołę czteroletnią, to byłem w innej szkole, ale do tej organizacji Bene Akiba przychodziłem codziennie tam pod wieczór. Później dopóki, bo jak chodziłem do chederu, to nie było kiedy, ale jak już przestałem chodzić do chederu, miałem 12, 13 lat, wtedy to już chodziłem na tym... normalnie, codziennie się szło.

J.H.: I do jakiego wieku pan tam chodził, do tej organizacji?

M.N.: pamiętam, chodziłem tam do 16, 17 lat. Potem członkiem byłem do ostatniej chwili, do wojny. Tylko już nie wieczory się nie spędzało tam, były inne zajęcia i tak dalej.

J.H.: Pan mówi też o Helenie, którą nazywaliście piękną Heleną, ona też należała do tej organizacji?

M.N.: Nie. Kolega z tej organizacji... Goldfinger, Zawyk Goldfinger, on później zginął w Anglii, jako lotnik. To piękny, przystojny chłopak, jemu się udało. On przed wojną wyjechał na studia, skończył maturę, wyjechał na studia do Anglii i dzięki temu uratował się, dostał się do Armii Polskiej i jako lotnik zginął nad Berlinem. Dowiedziałem się od ojca. Ojciec mnie spotkał, tutaj po wojnie spotkał mnie i niestety był już wtedy pokaleczony, pokaleczoną nogę

miał, coś tam... i właśnie płakał, że syn zginął. On był pewny, że żyje, że przeżył, a dowiedział się, że nie żyje.

J.H.: A pan miał Bar Micwę?

M.N.: Tak.

J.H.: A mógłby pan opowiedzieć.

M.N.: A no właśnie to się łączy z tą Heleną. A więc przed Bar Micwą to chodziłem do takiego specjalnego rabina, znaczy nie takiego pod względem dyplomy, ale takiego pod względem nauki. I uczyłem się tam, te... modlitwy i to czytanie tej Tory czytanie. I chłopaki, tam z tym Goldfingerem, spotykali się na Górze Stracenia. W Łwowie była taka Góra Stracenia. Tam były takie duże przestrzenie. Początkowo były kultywowane, ucywilizowane, a dalej to już były dzikie, takie wzgórza, zagajniki i piaskownie. I tam, gdzie były kiedyś piaskownie, kopali piasek, to powstały takie doły. Dostatecznie wysokie doły, do dwóch pięter na pewno. I myśmisi skakali z góry, kto dalej skoczy. Tam piasek jeszcze był. I ta Helena, ten kto najdalej skoczył, otrzymał od niej całusa. Była... mnie się wydawało, że była wtedy ładna, wysoka, szczupła, blond warkocz, takie długie, blond warkocz i myśmisi ją nazywali piękną Heleną. I właśnie ten Zawyk, to był jej chłopak.

J.H.: Tak, ale o samej Bar Micwie mógłby pan opowiedzieć.

M.N.: A tak. Więc w końcu tam wylądowałem na tej... w końcu to był mój daleki krewny, ten co mnie uczył i on dowiedział się, że ja nie przychodzę, więc dostałem dygawor, no i Bar Micwa, jak wygląda. Przecież... no w tym dniu, w sobotni dzień, kiedy kończyłem trzynaste lata, to był prawdopodobnie 15 sierpnia. Bo ja rodziłem się, mam wrażenie 15 sierpnia, a mnie przerobili tam... w Rosji na 15 lipca. I mam w dokumentach 15 lipca. Ale u Żydów, to jest ten... jeżeli chodzi o Bar Micwę, to stosuje się kalendarz hebrajski. To było kuf zająn tamos, 27 dzień miesiąca tamos. No więc wtedy to, w sobotę rano do synagogi i cała rodzina się zbierała, znajomi. W synagodze jest bima, więc tam, w czasie modlitwy, pewnej części modlitwy, to czyta się Torę, Biblię i kiedy ten Torę czyta w pewnym momencie, przy pewnym wersecie wyczytuje, wywołuje mnie... Mosze ben Abraham, na przykład. Dostałem tałas no i odmawiam tę modlitwę. Bo tam są dwie modlitwy: początkowa, nim on zacznie czytać ten wersec, a druga – końcowa. Z tym że w czytaniu tego samego wersetu byli tacy, co sami czytali, a niektórych to wyręczał ten... Ja, sam czytałem. Odmawiałem modlitwę i czytałem ten wersec. Potem po zakończeniu, obsypali mnie migdałami, takimi różnymi cukierkami. I wszyscy gratulowali... tam wszystko. A potem był uroczysty obiad w domu.

J.H.: A pan, jak wspomina ten dzień jako dziecko? To było ważne dla pana wtedy?

M.N.: Wie pani, jakoś się przeżywało rzeczywiście, dzieckiem już nie byłem, ja miałem 13 lat i byłem bardzo dobrze wykształcony. Ja miałem... całą polską literaturę, prawie, dostępną. „Krzyżacy”, wie pani „Ogniem i mieczem”, w ogóle całą literaturę. Byłem bardzo odczytany.

J.H.: A bardzo był pan wtedy religijny?

M.N.: Moja religia polegała, wie pani, nie na... właściwie tylko na tradycji. A co do religii, to myśmisi mieli między sobą dyskusje. Wie pani były różne poglądy, ale stosowałem religijne, ale nie w ten sposób, jakiś tam... ja bym to nazwał barbarzyński, tylko... w ludzki sposób. Dopóki byłem młodszy chodziłem z ojcem do synagogi się modlić, w świąteczne dni i w soboty, a potem jak miałem 15 16 lat, to już...

J.H.: To znaczy kto dyskutował?

M.N.: Chłopaki, tam...

J.H.: A o czym dyskutowaliście?

M.N.: Między innymi o tym właśnie też. Czy bóg jest, czy nie ma. Jaki... wie pani normalnie dysputy.

J.H.: I większość była takich, która twierdziła, że jest?

M.N.: Wie pani, wszyscy mieli wątpliwości. Jak w tym wieku się ma wątpliwości w ogóle.

Pamiętam... Ale w końcu ja doszedłem do wniosku, że jest jakaś siła wyższa, która światem

rozporządza bez naszej wiedzy. Na pewno nie ma brody, ani jakiś kształtów ludzkich, tylko duch. Bo religia żydowska właśnie widzie, nie w formie postaci, ale w formie ducha. Tylko w formie ducha. Nawet jest nazwa boga, między innymi, bo jest wiele nazw boga: owe, ten co jest wszędzie, był jest i będzie, druga jest nazwa makom. Makom to jest miejsce, wszędzie jest, że wszędzie jest, gdzie bym nie był, to jest boskość. I w tym trwałem. Z tym, że potem miałem załamanie mówiąc szczerze, kiedy ta wojna była, kiedy to wszystko, no to... ale w ostatnich latach, to doszedłem do wniosku, wszystko jest dla nas niepojęte, my nic nie wiemy. Nie wiemy co i jak i kto. Tak samo, ja brałem porównanie. Kiedyś w lesie byłem świadkiem zniszczenia mrowiska. Wie pani, mrowisko usypane, cała budowla, organizacja jest wewnętrzna i struktury organizacyjne i teraz wystarczy albo drzewo ktoś zwali, albo samo się zwali w wyniku burzy, albo ktoś nawet celowo, wie pani zniszczy, ale czy to mrowisko zdaje sobie sprawy kto to robi? I co jest przyczyna tego. Nie zdaje sobie sprawy z tego. Jest jakaś siła wyższa, która decyduje. I ja doszedłem do wniosku, że taka siła na pewno jest we wszechświecie, która rządzi tym wszechświatem. I dla nas niepojęta. Tak samo, jak myśmy kiedyś, nie było mowy o tym, żeby ktoś uchwycił falę głosu, czy falę, czy widoki, czy... obraz człowieka. Ale nauka wynalazła te możliwości, które dają możliwość poznania postaci, obrazu, głosu i mało tego, wysyłać nawet w tej chwili we wszechświat. Nikt by nie uwierzył 50 lat temu, że to jest możliwe w ogóle. Bajki, fantazje. A jak ja czytałem „Nemo”, Werner, to wszystko, to fantazje. A teraz się okazuje, że fantazja sięga o wiele, wiele dalej. Nie jestem taki zarozumiały, ażeby powiedzieć, że moje pokolenie już w tej chwili osiągnęło... że już się dalej nie rozwinie nauka i dalej, sięgnie dalej zapozna. Ale mimo tego, jest jakaś siła najwyższa. To, to ja wierzę. I jeżeli chodzi o tradycję. To tradycja jest potrzebna dla celów wychowawczych, samookreślenia, no i pewnej etyki i moralności. Tym musimy się różnić od innych i w religii stosować te 10 przykazań. To jest jednak konstytucja, którą trzeba przyjąć. Na tle tej konstytucji, to różni ludzie stworzyli te... ażeby tam... może jedni dla celów materialnych, inni dla celów ambicjonalnych, a jeszcze inni mieli jakieś patologiczne tam... odchylenia, stworzyli różne formy przestrzegania religii i tak dalej, które... niekiedy są spełniane należycie i właściwie no to... przydadzą się. A niekiedy w imię boga się mordują. J.H.: Pan mówi też, że czasem wyjeżdżaliście do krewnych na wakacje do miejscowości która nazywała się Pruty...

M.N.: Prusy. To było koło Lwowa.

J.H.: I na kolonie, na obóz pod Czortkowem? A gdzie to było?

M.N.: Tak, to było od Lwowa 60 kilometrów. 70.

J.H.: I w którym to roku mogło być?

M.N.: Wtedy to ja mogłem mieć 15 14 lat. No to mogło być... ja jestem 18 rocznik, to 32 czy 3 rok.

J.H.: Pan też mówi, że jak poszedł do tej szkoły zawodowej, państwowej, to był taki wysportowany. Że był pan sportowcem.

M.N.: Byłem.

J.H.: I mógłby pan, coś więcej o tym opowiedzieć. Co pan ćwiczył, czy w jakiejś drużynie?

M.N.: Więc lekkoatletykę ćwiczyłem w Dror. Dror to był taki klub sportowy Dror. To jest nazwa ptaka... jaskółki, Jaskółka. Ale może być również wolność, ale raczej w tym przypadku... to było tam, gdzie ta Góra Stracenia, tam przed wstąpieniem na te wzgórza, to tam było takie boisko, stadion, to tam chodziliśmy. Następnie był okres, kiedy boks ćwiczyłem, ale krótko w Hasmonea, to był klub sportowy Hasmonea. Był znany w Polsce, bo jeśli chodzi o piłkę, piłkarstwo, to mieli od x-lat mistrzostwo Polski i w boksie. I to kilkakrotnie. Więc boks ćwiczyłem, ale niedługo. Dostałem raz cios w nos i potem chronilem ten nos i dostałem w żołądek. Nie już wiem, chronilem żołądek i odsłoniłem nos. Trochę ćwiczyłem też... ta harcerska organizacja, mieliśmy tak, jako całość... judo. Nie... džudżitsu.

J.H.: I to były wszystkie organizacje żydowskie?

M.N.: Nie, nie wszystkie, wie pani, ale... niektóre tam. I też nie wszyscy członkowie... nie wszyscy członkowie.

J.H.: A te Jaskółki to była żydowska?

M.N.: Jaskółka to była żydowska, Dror, Dror, nazwa hebrejska.

J.H.: A potem Hasmonea też żydowska?

M.N.: Też.

J.H.: I na tym dzudżitsu się skończyło?

M.N.: No, ale potem... już nie w szkole, ale zawsze... ale już nigdy zawodowcem nie byłem. W piłkę nożną graliśmy. Mieliśmy własną drużynę przy harcerstwie. Mieliśmy własną drużynę piłkarską i graliśmy bardzo często zawody z innymi szkołami, drużynami harcerskimi itd.

J.H.: I ta drużyna piłkarska jakoś się nazywała?

M.N.: Nie, nie, bez nazwy. Pamiętam, że ja w pomocy grałem. W obronie. Niekiedy, bo wie pani, to przejście w piłce nożnej między obroną a pomocą jest bardzo często współpraca. Tak to się zmienia, ale byłem w zasadzie w obronie.

M.N.: W Akibie, to ja byłem do samego końca, do 39 roku. Już nie byłem taki aktywny później, jak pracowałem. Więc ja byłem, początkowo byłem drużynowym, pani zna harcerskie te... drużynowym. A później byłem w komendzie... u nas była też komenda miejska. Ja byłem w komendzie miejskiej też.

J.H.: I co pan robił w tej komendzie?

M.N.: Komenda miejska, to tak jak dowództwo.

J.H.: I pan mówi, że czytało się dużo. I co czytaliście?

M.N.: Gazety, książki, wie pani, normalnie, jakie kto miał zamiłowania. Literaturę.

J.H.: Działacze prowadzili propagandę. Jaka to była propaganda?

M.N.: Tak. W tej organizacji była propaganda: „Być takim, jak każdy naród”. Naszym hasłem było: „My hije kehol hagoim!”, „Bądźmy, jak wszystkie narody”. Miejsmy swoich lekarzy, ślusarzy, rolników, swoich... wie pani, normalnie. Bo Żydzi mieli, tutaj w diasporze w Polsce... byli przede wszystkim... handel, rękodzieło, rzemiosło, no i tam... inteligencja. A my mówiliśmy: „Nie”. Powinniśmy być ślusarzami... wie pani... i mamy budować w Izraelu kraj. Dlatego przygotujmy się, ażeby tam być przydatnymi. Dlatego ja właśnie gimnazjum przerwałem i poszedłem do Technikum Przemysłowego. Aczkolwiek rodzice byli przeciwni strasznie. Matka marzyła żebym był lekarzem, ojciec chciał żebym był rabinem, wie pani... no, ale ja...

J.H.: Mówił pan, że jednym z tych, który prowadził propagandę był rabin, i teraz Friszman, czy Fiszman?

M.N.: A, to już była wysoka...

J.H.: Ja wiem, ale nazwisko jakie?

M.N.: Fiszman. On był nie w tym Bene Akiba, tylko w tej organizacji zwierzchniej, w tej partii Mizrahi. Nazywała się partia Mizrahi.

J.H.: Której podlegało to harcerstwo?

M.N.: Niby podlegała, ale ona była niezależna. Ale była pod ich wpływem. O w ten sposób. Mizrahi.

J.H.: I to znaczy?

M.N.: Wschód.

J.H.: I pan mówi, że ten Fiszman przyjechał do Lwowa na zjazd organizacji.

M.N.: Tak.

J.H.: I co to był za zjazd?

M.N.: Zjazd partii Mizrahi. Tych delegatów, bo to była partia o zasięgu światowym. I on przyjeżdżał tam, ponieważ to był zjazd, chyba zjazd, jakaś konferencja. Pamiętam, ja chyba

mówiłem to, byłem jego adiutantem, ordynansem, czy jak to nazwać. Bo tam przecież, organizacja nasza harcerska, przydzieliła mu takich...

J.H.: Delegację.

M.N.: teraz się mówi ochroniarzy. Tak... a myśmy byli takimi ordynansami. Tam nie wiem... dla spełnienia jego różnych potrzeb.

J.H.: I pan był na tym zjeździe?

M.N.: Nie. To byli starsi. Jego córka Geola wyszła za mąż za mojego starszego kolegę, z tej organizacji.

J.H.: Z tego harcerstwa?

M.N.: Z tej harcerskiej. Nazywa się Rafael, Werfel, ale potem w Izraelu przyjął nazwisko Rafael. Z tych samych liter: Werfł, odwrócił odwrotnie: Rafael, hebrejskie nazwa anioła. Rafael, to znaczy ten, który leczy. I on się z nią ożenił. I on potem był z Izraelu, był dyrektorem Instytutu Judaistki i był ministrem w pewnym okresie też, ministrem emigracji i potem ministrem spraw religijnych. Ja się z nim spotkałem...

J.H.: I pan mówi też, że śpiewaliście tutaj piosenkę jakąś.

M.N.: Masę piosenek.

J.H.: Co to była za piosenka?

M.N.: Komuniści przedrzeźniali nas. Oni byli przeciwni naszym... i oni śmieli się z nas, że będziemy mieli własnych wariatów, własnych bandytów i własnych złodziei. To na nas śpiewali.

J.H.: A wy, jakie piosenki śpiewaliście? Pan pamięta?

M.N.: Bardzo dużo pamiętam.

J.H.: A pamięta pan jakąś jedną szczególną, żeby chociaż refren powiedzieć?

M.N.: Aż za dużo, żeby... Szukam pamięcią... więc były piosenki takie wybitnie patriotyczne i takie, swawolne. Patriotyczne to była na przykład taka: TEZAKNEKEDEJ KOLAHEJNU AMHONENIM AFRO TEJCEJNU. BAWA SZERIM SZA, ALI POL RUHAHAM, ALI MIT LOLENIM, BOUSZAM HEAT. LEEWRA HATAM... NIECHAJ SIĘ WZMOCNIĄ RĘCE NASZYCH BRACI, KTÓRZY PRZYGOTOWUJĄ TAM TERENY W IZRAELU, GDZIE ONI TAM SĄ. NIECH, NIE PADNIJCIE NA DUCHU, WESELI, RADOŚNI, Z POMOCĄ NARODOWI, ale to chodzi o sens inny. Przy stworzeniu. To jest taka jedna, patriotyczna. Następnie była jeszcze taka patriotyczna, krótkie ANUHOLI MARSA DESZIRO HUIZIM, to był taniec, bo... myśmy tańczyli te... hory. ANUHOLI MARSA DESZIMRO HURIZIM... MY EMIGRUJEMY DO IZRAELA ZE ŚPIEWEM I RADOŚCIĄ. Z tym, że jeżeli chodzi o emigrację do Izraela, to nie stosuje się słowa emigracji, tylko olim. Ole to znaczy ten, który się wznosi. Wzniesienie się. A takie trochę, takie bardziej... frywolne, to było... może tak: KOWA MIKASZ WEHOLCA MA MASZ ALAFKA PARUA, PARUA. NACHEM BANE BANDIT, NONOTEM KREDIT... TWALGEKOL PARUA. To się nazywa tak: KAPELUSZ SŁOMIANY, RUBASZKA, bo wtedy oni nosili takie rubaszki ukraińskie, wie pani, bez kołnierza tylko takie... pani wie... jakie to są te łachy ukraińskie... RUBASZKA PODARTA, AHEN BANE BANDIT, HANDLARZ, TEN SPRZEDAWCA, TP JEST BANDYTA, NIE CHCE DAĆ KREDYT, NIE CHCE DAĆ KREDYTU, SCHOL WEROH PARU, ŚMIEJ SIĘ PEŁNYM GŁOSEM, HA HA. Potem: EMES WEHEMUNA, WEJCES ZUHA GUNA, PRAWDA I WIARYGODNY, EJCES ZUNA GUNA, TA RADA JEST WŁAŚCIWA, ZROKAKOL AZAZEJNU, RZUĆ WSZYSTKO DO DIABŁA I ŚMIEJ SIĘ GŁOSEM DZIKIM, HA HA!. I to była piosenka raczej nie nasza, ale... ci pionierzy z Izraela. Ci pionierzy, co wyjechali do Izraela, mieli bardzo ciężkie okresy głodu, chłodu, gruźlicy, wie pani. Bardzo ciężkie, i to właśnie była piosenka ich, która przeszła do nas. No i taka piosenka patriotyczna jeszcze, MEA DOROT HALAM WEALAIH, znaczy SETKI POKOLEŃ ŚNIŁEM O TOBIE, GIZKOT DIROT BEHOT PANAIM, AŻEBY DOCZekaĆ SIĘ BY SPIJRZEĆ W ŚWIATŁO TWOJEJ TWARZY, JERUSZALAIM, JERUSZALAIM,

EIRIT PANAIH LIWNEIH, JUERUSZAIM, JERUSZALAIM, ME HAWRATAIT HAMNE, ZWRACA SIĘ DO JEROZOLIMY, ŻE STEKI LAT MARZYLEM, AŻEBY SPOJRZEĆ W ŚWIATŁO TWOICH OCZU, JEROZOILO ZAŚWIEĆ SVOJE ŚWIATŁO DO MIOCH OCZU, i to do rymu ME HAWLOTAIT HEWNEIH, Z SWOICH RUIN CIĘ ODBUDUJĘ.

To był taki patriotyczny. Ale tego dużo jest. Wie pani, jakbym zaczął to sobie przypominać... my zawsze tam musieliśmy mieć czas na tańce i na śpiew. Tańczyliśmy te hory... to były hory dzikie, podwójne hory... różne tańce.

J.H.: Pan mówi, że spędził na hachszarze trzy miesiące. Gdzie to było?

M.N.: to były takie punkty gospodarcze, rolnicze. Tam były takie kontrakty z właścicielami folwarków i oni przyjmowali naszych członków tam do pracy, tam dostali lokum, w stodołach nasianie, czy coś tam... tak jak folwarczni robotnicy.

J.H.: A ta hachszara gdzie pan był, to gdzie była?

M.N.: Więc to była w takich małych miejscowościach...

J.H.: A pan pamięta nazwę tej miejscowości?

M.N.: nie... ale tam były trudne warunki. Chodziło o to, ażeby przygotować, haszera to jest to słowo...przygotować chłopaków i dziewczyny do życia w ciężkich warunkach. Wtedy to nie było obecny Izrael. To było bagno i pustynia. Głód i nędza. I ludzie po maturze, w czasie studiów tam jeździli.

J.H.: Pan uczył się hebrajskiego w chederze i w tej szkole...

M.N.: I w szkole czteroletniej, prywatnej. Myśmy się uczyli tylko tę Biblię. To był stary... biblijny język. Ten właściwy język to w tej szkole.

J.H.: A z jidysz miał pan jakiś kontakt?

M.N.: Tylko w domu. Z ojcem mówiłem w jidysz. Z mamą po polsku i w jidysz. To była taka mieszanka.

J.H.: A rodzice między sobą?

M.N.: Chyba jidysz też. Na pewno.

J.H.: Czy mógłby pan opowiedzieć coś więcej o tej obronie Lwowa.

M.N.: NIEZROZUMIENIE PYTANIA. P.NADEL MÓWI O OBRONIE LWOWA W CZASIE I W.ŚW. A CHODZIŁO O II W.ŚW. OK.3 MIN.

KASETA NR 1

STRONA B

M.N.: Oficjalnie się mówiło, że są pod Przemyślem... a tu strzelanina była. Więc oni zajęli wtedy te wzgórza dookoła i jedyny opór stawiały... był 19 Pułk. We Lwowie było kilka pułków. Pamiętam 19, 26, 40... więc te pułki wyruszyły na front i tam było masę żydowskich chłopaków, bo to normalny pobór był. Ale zostały się te kompanie, tak zwane administracyjno-gospodarcze, kwatermistrzowskie, o to jest właściwe określenie. I oni opór stawiali, straż pożarna, milicja i hufce szkolne i w ogóle młodzież. I wśród tych było dużo Żydów, bardzo dużo Żydów.

J.H.: Oni byli zrzeszeni w jakiś organizacjach?

M.N.: Nie, nie, nie. Tylko członkowie organizacji różnych... to był dobrowolny... z tym, że... nawet fakt... chłopacy... siedziba komendy uzupełnień była przy ulicy Batorego, czy jakoś tam... nie chcieli przyjąć więcej, bo tam nie było broni dla nich. Tak, tylu chętnych było do obrony, a nie było broni. A teraz z tym wezwaniem do opuszczenia miasta... to nie Rosjanie, tylko Niemcy. Ponieważ ciągle byli wypierani, postanowili ogłosić miasto jako teren wojenny

i bombardować do szczętu i ogłosili, żeby cywile wyszli z miasta, na stronę, na południe i miasto będzie obrócone w wojenny obiekt.

J.H.: I pan mówi, że to była tragedia i że pana rodzina została w schronie...

M.N.: Tak, zacząłem chodzić, żegnać się z krewnymi, ze znajomymi... wie pani, bo uważali, że to śmierć. I moja rodzina postanowiła zostać, nie wyszła, ale dużo, dużo wyszło w kierunku na Tarnopól, Stanisławów. I w nocy był spokój. Pierwsza noc, gdzie nie było strzelaniny, ani ataków żadnych... rano... a w nocy piękna pogoda była, piękna noc... rano jakieś pojedyncze serie z karabinów maszynowych i wystrzały i znowu cisza. I w pewnym... między godziną 9 a 10, pojedynczy żołnierze bez pasów... „Koniec wojny!”.

J.H.: Ale co to byli za żołnierze?

M.N.: Polscy. I okazało się, co mieli dostęp do radia, ci co byli w piwnicach, powtórzyli, że Rosjanie ogłosili przez radio, że wkraczają do Polski, ażeby pomóc swoim braciom. Oni oczywiście mieli na myśli pomoc Ukraińcom, wyzwolenie Ukrainy. Ale ludzie nie rozumieli, że jeżeli wkraczają do miasta, przeciwko Niemcom to sprzymierzeńcy, więc kiedy ta cisza nastąpiła i z daleka było wiadomo, że Rosjanie weszli, to dla tych, kto spodziewali się śmierci to była radość! A i Niemcy się wycofali. Niemcy się wycofali, a oni weszli. To była wyjątkowa radość. Ale jak oni wchodzili... te całe kompanie wojsk, z tymi bagnietami i strzelali, gdzie były jakieś większe grupki i strzelali.

J.H.: Pan mówi, jak Rosjanie wchodzą to wyglądają niekorzystnie. Może pan opisać, jak wyglądali?

M.N.: Przede wszystkim ich mundury w porównaniu do polskich były bardzo eleganckie... no i prezentowali się w stosunku do nich, jak arystokracja. Oni byli w takich marnych szynelach, Rosjanie, pasy nie skórzane, tylko takie jakieś płóciennne... te czapy z tymi... ja też miałem takie zdjęcie swoje w takiej czapie... właśnie nie wiem, gdzie się podziały moje zdjęcia. I były takie oddziały mongolskie. To nie byli Rosjanie, tylko oddziały mongolskie. Szli bez słów. Ludzie wylegli by przywitać ich, a oni strzelali... no i te karabiny na sznurkach. Tak, to nie są żarty... wielu miało. To nie jest propaganda żadna. Okropne wrażenie zrobili. A ludzie tak się rozradowali. Ojciec mówił, że to nas będzie dużo kosztowało. I ojciec wtedy zupełnie załamał się... przestał wychodzić w ogóle na ulicę, przestał... i nawet, tam 100 metrów od nas były koszary... tam, gdzie była szkoła, obiekt i oni tam mają też zwyczaj, że o 9 wieczór, czy nad ranem oddziały wychodzą na tak zwany perechu, wymarsz i przed snem... i śpiewają te swoje... piosenki. To ojciec zamykał okna wszystkie.

J.H.: A mama, jak wtedy się zachowywała?

M.N.: Przeżywała bardzo. Bardziej, bo matka przeżywała dzieci... jaki los czeka dzieci, tylko że matka nie miała kiedy okazywać tego, bo ona tylko... matka chorowała też wtedy już. Była chora.

J.H.: A skąd w ojcu taki niepokój?

M.N.: Ponieważ ojciec nie wierzył w koniec wojny teraz, bo ludzie wierzyli że wojna się kończy teraz, Rosjanie przyszli z pomocą... ojciec uważał, że wojna potrwa i Rosjanie w tym... On, jak już widział i znał świat, że oni nie wytrzymają i nie będą chcieli odejść. I w ogóle on był przeciwny temu ustrojowi. On znał te dzieje, tej rewolucji rosyjskiej i te wszystkie dzieje, historię komunizmu... znaczy ja też później znałem te wszystkie procesy, jakie tam były, także on uważał ich za barbarzyńców. Zarazem mój wujek jeden był w niewoli u nich i wrócił do domu i on dużo opowiadał o nich.

J.H.: A kiedy?

M.N.: Przed pierwszą wojną. On tam był i... wynikła rewolucja i oni w pierwszej chwili chcieli mobilizować ich, tam tych wszystkich jeńców, ale ten wujek miał te palce... i puścili go do domu.

J.H.: Proszę mi powiedzieć, kiedy pan był wezwany do wojska?

M.N.: Do wojska rosyjskiego? To był 18 październik, dokładnie 40 rok. To był święto Sukkot. Tak ja teraz jest święto Sałasów. I pamiętam w ostatni dzień Święta Sałasów. Czekałem. Ojciec był w bóżnicy, ja byłem przygotowany i czekałem tylko na ojca, żeby przyszedł z bóżnicy. I oczywiście wtedy już nie był w tym... tylko normalnie ubrany, wrócił, pamiętam jak dzisiaj, u nas była kuchnia, pierw wejście do pokoiów, to w kuchni i ojciec... z tej strony ojciec, z tej matka, jakoś tam uścisnęli mnie i ojciec podał mi taką modlitwę, pamiętam. A pamiętam jeszcze taką... to ciekawostka, bo pierw był pobór, badanie lekarskie, a potem dopiero oficjalny pobór, kiedy ogłosili że mam się zgłosić na ten i na ten... u nas w domu było koszerne jedzenie, „Będziesz zmuszony tam jeść wszystko. To pamiętaj, życie wymaga ustępstwa, ale jak będziesz jadł wieprzowinę, to ażeby była pamięć że robisz coś, co nie powinieś, żeby kości nie obliżywać!”. Niby taki humor, wie pani.

J.H.: A pan pamięta tę modlitwę?

M.N.: Pamiętam, bo to było... nieraz sobie powtarzałem w domu: ALTIRA MI PACHAT PIZON, żeby nie poddać się nagłemu strachowi, tylko myśleć o tym jak zapobiec, jak zaradzić.

J.H.: I to jest jakaś stara modlitwa?

M.N.: Tak. Żeby nie poddać się nagłym strachom, i nie ulec nienawiści wrogów, tylko myśleć jak zaradzić.

J.H.: I pan stepuje wtedy do wojska rosyjskiego?

M.N.: Tak. Tam w V Gimnazjum był punkt zborny. Oni zrobili z nas ochotników. Bo, jak były ogłoszenia, żeby się zgłosić tam i tam, takich, takich dniach według liter, do komisji poborowej. Była sala taka, takie półkole drewniane zrobione takie, za tym kołem taki ogromny stół i za tym stołem siedzieli oficerowie rosyjscy i cywile jacyś i po lewej stronie była lekarka. Młoda lekarka z wagą i mierzyła wysokość i trzeba było całkiem, jak pan bóg stworzył. To jest ciekawostka i trzeba było pierw podejść do tej pani doktor, która sprawdzała... a przede wszystkim sprawdzała, czy się nie ma choroby wenerycznej. Pani sobie wyobraża młody chłopak, ja byłem jeszcze nie zepsuty, naprawdę. Nagle młoda kobieta sprawdza... ja już byłem zaszokowany, zestresowany. I od nich podeszłem do stołu, do tej komisji, patrzę na nich i „Szo?”. Ja nie znałem ukraińskiego języka „Kazali, praszol”, znaczy po ukraińsku, znaczy „Kazali, przyszedłem”. „No to idzicie”. Ja wychodzę... a to było kole i chcę wyjść, a tam mnie zatrzymuje taki dozorca szkolny „Mówiłem ci, że masz powiedzieć: Praszu prinia mienia w Krasno Armio”, czyli „proszę mnie przyjąć do Armii” i nie wypuścił, tylko... no więc znowu... już do nie do tej lekarki tylko od razu do nich „Praszu Prinia mienia w Krasnej Armii”. Tak stałem, jak ta ofiara. „No, ot haraszo. Podisyjcie.” Podpisałem. I to było wszystko. I potem mówili, że jesteśmy ochotnikami dla całego świata, bo oni nie mieli prawa zabrać przymusowo. Tak wyglądało. I ani słowa tu nie ma przesady. Ani jednego słowa. To dosłownie tak było.

Mimo, że ja byłem w tym harcerstwie, w tej organizacji syjonistycznej. Byłem bardzo wychowany, naprawdę bardzo w duchu polskim. Patriotę polskiego. Cała literatura polska, ja byłem wychowany w duchu sienkiewiczowskich Trylogii, szczerze mówię i nie było żadnej defilady jakiegoś 3 maja, 11 listopada... we Lwowie to one były szczególnie uroczystości obchodzone, bo tam było dużo wojsk. Nawet pamiętam jako chłopak byłem bardzo... mocno... 40 Pułk Piechoty, 26 Pułk Piechoty, 19 Pułk Piechoty, Pułk Pancerny... i te wszystkie jednostki szły ulicą Legionów i Placem Mariackim maszerowały. Ja musiałem iść na każdej takiej jednej.

J.H.: I to tata podsycił w panu...

M.N.: Tak, tak. W ogóle, wie pani, w domu u nas... ja sam... bo ludzie starsi, to wie pani już tracą trochę, ale ja to... i na przykład ja byłem w rosyjskiej armii, jak byłem już po ranieniu i miałem dobre warunki, bo ja byłem w lotnictwie. I po ranieniu to już nie latałem, tylko

byłem... to się nazywało Wędrowny Warsztat Lotniczy. I miałem bardzo dobre warunki, naprawdę. Ale jak się organizowała Armia Polska, to od razu się zgłosiłem...

J.H.: Do Andersa?

M.N.: Do Andersa w ogóle nie chcieli przyjąć. Nie wiedziałem w ogóle o tym. Armia Andersa, nic nie wiedzieliśmy o tym, ale ja wiem, że oni nie przyjmowali wszystkich. Ale ja wtedy... w ogóle byliśmy, ja wspomniałem o tym... rok czasu prawie byliśmy na Sybirze, jako element niepewny. To z frontu zdjęli nas, wszystkich Lwowiaków, z tamtych terenów i na Sybir. Myśmy nic nie wiedzieli.

J.H.: Pan mówi też, że oprócz tego, że wstąpił do armii, rozważał też możliwość wstąpienia do takiej organizacji, która przerzucała ludzi z Wilna do Izraela?

M.N.: A to była we Lwowie. Jak Rosjanie weszli, to ja byłem w tej organizacji, w tej mojej organizacji harcerskiej, dlatego właśnie przypomniałam sobie... to myśmy przerzucali naszych członków do Wilna i z Wilna oni dalej do Izraela. I ja nie mogłem zostawić... z dwóch powodów nie pojechałem, nie mogłem zostawić rodziców. Ojciec nie wiem czy mówiłem był inwalidą, matka była chora, ja byłem najstarszy i nie mogłem... a poza tym ja byłem w tej grupie, która przerzuty organizowała.

J.H.: Czyli tą organizacją, która organizowała te przerzuty do Izraela to była ta organizacja harcerska?

M.N.: Tak, tak. Harcerska tak.

J.H.: I były jakieś inne też?

M.N.: Tam były też inne, wiem. To w ogóle te harcerskie, młodzieżowe żydowskie organizacje zajmowały się tym. **A i to jest ciekawostka, spotkałem po wojnie, w Krakowie, bo ja byłem w szpitalu w Krakowie i zacząłem chodzić już o kulach, to tam widziałem, że tam jest punkt naszej organizacji [harcerskiej, która przerzucała ludzi do Izraela]. I mam nawet [stamtąd] zdjęcie.** I spotkałem [tam]... okazało się, że czterech chłopaków... dowiedziałem się tam od innych, nazwiska Sztrumer i inni. I jak Rosjanie weszli do Wilna, to oczywiście urwała się już to wszystko [działalność] i wtedy im się udało poprzez całą Rosję przewędrować, nie wiem jakim cudem, i przez Kaukaz do Izraela. W czasie wojny, czterech chłopaków. Ale oni i tak zginęli potem w Izraelu. Bo jak była ta wojna wyzwolenicza, to tam koło Jerozolimy, takie wzgórze, Et Sion nazywa się to wzgórze i tam na tej górze był kibuc, tych właśnie naszych chłopaków ze Lwowa. Takie osiedle, taka wspólnota. I oni, jak wojna wybuchła, to oni oczywiście zamienili się w jednostkę wojskową tam i kilka jeszcze takich osiedli i bronili dostępu Arabom do Jerozolimy. I tam wszyscy do jednego zginęli. Tam było z naszej organizacji kilkadziesiąt osób, dziewczęta, chłopaków, wszyscy zginęli co do jednego. Jeden jedyny, Knol, Dow Knol uratował się, bo on był ranny i wzięli go do niewoli. To wzgórze zdobyli Legiony Jordańskie, a tam byli oficerowie angielscy, to oni byli bardziej cywilizowani i wzięli go do niewoli, on jeden przeżył. I właśnie ci chłopaki, co przeszli... oni zginęli tam.

J.H.: Potem pan mówi, wyprowadzili nas z Kurska na dworzec, dużo tego było około tysiąca ludzi. To co to byli za ludzie?

M.N.: Ludzie pochodzący ze Lwowa i z okolicy. Ten niepewny element. Ale nie wszystkich, bo tam niektórzy zostali. Oni wszystko wiedzieli. O mnie na przykład kiedy... tam chcieli koniecznie mnie, proponowali mi wstąpienie tam... do tego... ich służb i okazało się, że oni wszystko o mnie wiedzieli. Mokra plecy miałem. Ja odmawiałem. I bałem się, że oni się mogą zemścić na rodziną. Mogą wysiedlić nas ze Lwowa, ale ojciec mówił: „Pamiętaj, nie daj się wciągnąć do żadnej służby”. Oni wiedzieli, na przykład moja siostra jedna miała inne nazwisko. To była starsza siostra. Bo ojciec był żonaty pierwszy raz i ta żona, kiedy była epidemia tej hiszpanki, to ta matka zmarła i ojciec został wdowcem z dziećmi. I ożenił się z moją matką. I ona miała tam inne nazwisko. Ponieważ ojciec zmienił potem nazwisko, pod wpływem przepisów stanu cywilnego, ponieważ ojciec miał religijny ślub z tamtą... to polskie

władze nie uznały ślubów niereligijnych, wtedy musiał być cywilny ślub. Wtedy tamta została jako Eilberg, a myśmy mieli Nadel. Ojciec też musiał zmienić swoje nazwisko na Nadel. To ono o tym wiedzieli, pani sobie wyobraża? To ja się bałem, ponieważ ja byłem z organizacji harcerskiej i oni byli prześladowani przez nich w tym mieście. Więc ja bałem się. Mówiłem prawdę, ja byłem jak w szkole byłem, to była taka harcerska organizacja, myśmy się bawili, w podchody i tak dalej, ale potem, jak wydoroślałem, to ja pracowałem... takie zakłady były i wstąpiłem do związków zawodowych. Prawdę mówiłem. Ale dalej, to... więc ja bałem się, że... jak on znał już nazwisko, znaczy że oni brali o mnie... wywiady.

J.H.: Pan mówi, że w obozie było bardzo ciężko... a gdzie był ten obóz?

M.N.: On był... wiem miejscowość Kysztyn. To był zachodni Sybir. Tam za Uralem. I od tej miejscowości, może... ja wiem 30-50 kilometrów. To była ta miejscowość jedyna taka większa. Taka administracyjna miejscowość, a poza tym to pełne lasy.

J.H.: Czyli ten obóz nie miał nazwy?

M.N.: Nie, nie. Nas wysadzili tam i potem pieszo szliśmy... dziesiątki kilometrów i wylądowaliśmy na trawie. Normalnie w lesie, na trawie. No i była jesień. Już tam śnieg i tak dalej... myśmy sami kopali ziemlanki, wszystko od początku.

J.H.: Pan mówi, że nie dokarmiali nas a potem dali gałuszki...

M.N.: Z rosyjskiego to jest gałuszka. To są takie... kluski z czarnej maki, ale robione tak jak te śląskie. I to wszyscy rozchorowali się. To był fakt.

J.H.: Potem z Moskwy przez Mińsk i do Chełma.

M.N.: Mieliśmy jechać do Chełma, ale myśmy zoczyli na lewo na Kijów i do Lwowa.

J.H.: I we Lwowie pan mówił, że był stan wojenny. A co to znaczy?

M.N.: Lwów był zdobyty przez Rosję. Już zdobyty od Niemców. Ale tam Ukraińcy na każdym kroku uprawiali terror. Także strzelali... tam ciągle były jakieś strzelaniny... to oni tam zrobili stan wojenny. Na tych terenach. Rosjanie. Ostrzeliwali pociągi, wie pani, ostrzeliwali...

J.H.: A teraz o propagandzie radzieckiej.

M.N.: Jak Rosjanie mówili nam o tym, co się dzieje w Polsce, co Niemcy wyrabiają, to myśmy nie wierzyli w to. Myśmy nie mogli sobie wyobrazić, że na ród cywilizowany był... Mój ojciec był długo we Wiedniu mieszkał, był tam, we Wiedniu miał operację tam... to był pełen uwielbienia dla niemieckiej kultury. Mieliśmy tam książki niemieckie, i tak dalej... Więc nie mogłem sobie wyobrazić, że naród cywilizowany może mordować planowo. Więc Ja rozumiałem, że może być tam jakiś szturm, wie pani rozpasany tłum morduje, pogromy, ale żeby w sposób zaplanowany ludzi mordować, to myśmy nie wierzyli. Dlatego myśmy wogóle nie wierzyli w to, co oni mówią.

J.H.: Ale oni mówili tak publicznie...

M.N.: Oni na... pogadankach. Oni wszędzie prowadzili polityczne zajęcia.

J.H.: To znaczy, gdzie były te pogadanki?

M.N.: W wojsku i na Sybirze, ale tam mniej, bo tam się z nich śmiali głośno. Ale w wojsku normalnie były te pogadanki. A tam, na Sybirze... ironicznie, niemieckie bestie i tak dalej.

J.H.: Pan mówi, że przed wyjazdem poszedł jeszcze do komitetu żydowskiego. Ale przed wyjazdem dokąd?

M.N.: Ze Lwowa. Bo we Lwowie poszedłem do komitetu żydowskiego, ażeby dowiedzieć się czy ktoś tam z mojej rodziny meldował się tam u nich. Więc przy okazji poprosili mnie tam, oni mieli wykaz uratowanych żydów, żebym przekazał w Lublinie. W Lublinie był tam taki komitet, główny komitet, bo wtedy w Lublinie była główna stolica kraju, wyzwolonego już niecałkiem wyzwolonego. I tam był taki pułkownik Kahane. Rabin Kahane. I to był mój były nauczyciel religii. I tam go spotkałem, właśnie tam... pamiętam, że te dokumenty we Lwowie dała mi mgr Werthajm.

J.H.: I te komitety, to co to było?

M.N.: To były samoistnie zorganizowały się zrzeszenie, czy jak to nazwać? Zajmowali jakiś lokal. Stworzyli organizację taką i Żydzi, którzy wracali z lasów, z partyzantki... z wojska, koszar, albo z obozów, tam się zgłaszali, oni rejestrowali, że żyją. Bo były powojenne poszukiwania ludzi. No i też pomagali dali jakieś tam potrawy, jakieś tam obiady gotowali. Takie biura rejestracji i pomocy.

J.H.: Może pan opowiedzieć coś więcej o tej sytuacji, jak wyrzucono przez okno żydowskich żołnierzy inwalidów?

M.N.: na browarnej 13 to było, ale nie z piętra... były nary, pani wie jak to w takich żołnierskich koszarach, parterowe nary i... i to była kamienna posadzka, było zimno, i to na górnych narach miał wygodniej i cieplej i... jakoś.

J.H.: Takie prycze?

M.N.: Prycze, tak. A po rosyjsku nary, przepraszam. Więc tam było kilku inwalidów żydowskich, bez nóg, którzy tam wie pani po demobilizacji... to zrzucali ich tam... na podłogę.

J.H.: I pan widział to?

M.N.: było ciemno, ale ja byłem przy tym. W nocy, wszyscy śpią, nagle krzyki... i to byli niestety NSZ-towcy. Wtedy był antysemityzm, bardzo się rozwinął wtedy. Nawet jak byłem w Lublinie, w Komitecie i mówiłem, że idę się zgłosić na Browarną, do punktu zbornego, to mówili: „Po co ty tam idziesz?, zdejm te... damy ci dokumenty, że wróciłeś z partyzantki, z lasu i będziesz normalnie żył”. Ja mówię, że nie. „Przecież tam własni koledzy dadzą ci kulę w plecy”. I to fakt. Bo potem taki mój kolega, sierżant spod... pojechał do domu, do rodziny, odwiedzić domu i zastrzelili go.

J.H.: A pan doznał jakiś prześladowań z ich strony?

M.N.: Nie. Wie pani, bo wśród tych chłopaków, jak byłem w tej grupie, ja byłem bardzo wygimnastykowany i bardzo silny.

J.H.: Czyli bali się pana trochę?

M.N.: Wyjątkowo. Miałem odznaczenia z Armii Rosyjskiej za odwagę, wie pani... i byłem silny naprawdę. Pamiętam, jak były uroczyste dni wyzwolenia Warszawy, to urządzili jakieś tam sportowe... biegi... to ja pierwsze miejsce zajmowałem. Pierwsze miejsce we wszystkich tam... tam w wspinaniu się na przykład. Normalnie na sznurach... tylko raz miałem tak, że biłem się, ale nie o mnie. Chodziło o takiego chłopaka, to było w szkole oficerskiej. Tam był taki Winograd, to był taki szczupły chłopak, młodszy ode mnie, wyższy, on był taki zahukany, taki... potem był inny, ale w tym okresie, jak był kursant w szkole oficerskiej i tam był jeden taki kursant, podchorąży. Nazywali go partyzantem. On tak mówił, że był w Warszawie w powstaniu, że potem był w Niemczech w obozach, wrócił z obozu i dostał się do Jugosławii, do partyzantki jugosłowiańskiej. Tak on mówił o sobie. No i potem poszedł do partyzantki, w Polsce zmobilizował się i był w szkole oficerskiej. Wysoki, ale taki łobuz cholerny łobuz. I on tego chłopaka, Winograda, na każdym kroku... prześladował go. I ja pewnego razu powiedziałem: „Słuchaj co od niego chcesz?” „A co, kurwa ci mać, nie podoba ci się?”. A dla nas to przekleństwo „kurwa ci mać”, to było najgorsze. To było najgorsze, co mogło być. I widzę ten obraz, wszyscy stali między tymi pryzmami, jak dzierżgnąłem... i on sięgnął po nóż. Ja też miałem, zawsze nosiłem, jeszcze jako student nosiłem, nosiłem długo buty i mundur, ale ja zacząłem go okładać. On był wyższy ode mnie... a chłopaki stali dookoła. Jego nikt nie lubił. Tam było więcej Lwowiaków. I jego... w ogóle Lwowiacy nie lubili Warszawiaków. Znało to było. A jego, że był taki chojrak, więc dopingowali mnie. I w końcu dyżurny inspektor zaalarmował tych... przyszli.

J.H.: A on był pochodzenia żydowskiego?

M.N.: Nie, nie. On prześladował tego... jako Żyda właśnie. I potem staliśmy do raportu, za tą bójkę właśnie i jak ja patrzyłem na niego... nie było poznać między nosem a... taki spuchnięty był. Więc powiedziałem tak, jak było. Taki major, taki starszy pan... „No, niech to będzie

ostatni raz”. To był taki mój jedyny wypadek, kiedy miałem... no potem miałem już jako cywilna osoba, jak jechałem do żony do Buska, to partyzantka, nie wiem jaka ONR, czy jakaś tam... zatrzymała pociąg i oni wyławiali tam wszystkich Żydów i tam komunistów, wojskowych stopni... i była taka mała stacyjka w drodze do Kielc, z Krakowa do Kielc. Żona była w Busku, w wojskowym szpitalu i ja jechałem do niej. Jeszcze nie była żoną tylko sympatią. A ja byłem w szpitalu też jeszcze. I wtedy ten pociąg zatrzymali i szli z wagonu do wagonu i wyprowadzali. I jak, tak se myślałem, jak dojdą do mnie, to wyładuję cały pistolet, no i... ale okazało się, jak byli jeden wagon, czy dwa wagony przed, gwizdek, wszyscy zbiegli się tam przed frontem i przerwali. W potem, jak wracałem następnego dnia do Krakowa, to tam na tym miejscu tam, na tej stacyjce, cały rząd zabitych, przykrytych... to było takie moje jedyne...

J.H.: Proszę mi powiedzieć, kto to byli naganiacze?

M.N.: Naganiacze to jest... byli adwokaci, biznesmeni, specjaliści, wie pani... oni mieli takich pośredników, którym płacili od łebka. Oni siedzieli w sądzie tam na salach sądowych, korytarzach i łapali ludzi. Dowiadywali się... i „O ja znam, ja mam adwokata takiego i takiego...” i kierowali do adwokata. I on potem dostawał tam jakiś procent od każdego. Ja nie miałem takich naganiaczy. Miałem dodatkowe zarobki jako radca prawny.

J.H.: A w adwokaturze to uchodziło za coś pozytywnego, że ktoś takich naganiaczy miał?

M.N.: Negatywnie. Bo oni mieli duże zarobki wtedy. Jeszcze przy okazji, bardzo często tacy adwokaci udawali przed ludźmi, którzy siedzieli tam na tym holu tam, sędzia jak jakiś wyszedł, klepali się po ramię, znaczy że ma komitowy. To była cała fabryka.

J.H.: Proszę mi teraz opowiedzieć o swojej żonie. Jak się nazywała skąd pochodziła?

M.N.: Ona pochodzi z Warszawy, była córką lekarza żydowskiego. Rodzina wybitnie zasymilowana. Ona nawet po żydowsku nie umiała, nie знаła żydowskiego. Kiedy do geta poszli, to rodzice ją przerzucili do znajomych. Ja tych ludzi też poznałem potem, na Żoliborzu tam była taka rodzina nauczycielska Polaków. Mąż, jako oficer w Katyniu został zamordowany. A ta żona i syn, synek, mieszkali tam w tych domach nauczycielskich. Tam była taka kolonia na Żoliborzu, takie osiedle nauczycielskie. I żona była tam u nich. Przystąpiła do AK. Pierw Związek Walki Zbrojnej. Była 24 rocznik. Urodziła się w Warszawie. Ona była starsza, ale tam była zameldowana jako 24 rocznik. W Związku Walce Zbrojnej a potem w AK. No i tutaj. Tam, gdzie mieszkała u tej nauczycielki, ona miała mieszkanie trzypokojowe, trzyizbowe i jednego syna. Bieda była. To odnajęła pokój tam jakiejś Ani. I to okazało się, że to była kobieta ze sztabu Gwardii Ludowej. Ja mam, w książce wszystko opisane jest. I ona nie wiedziała dokładnie kim ona jest, tylko wiedziała, tylko wiedziała, że to jest konspiracja. Oni nie wiedzieli kim żona jest. I bardzo często posługiwali się nią. Dużo dla nich zleceń... przechowywała broń w piwnicy, gazetki jakieś im tam dostarczała. Żona, żona. I Spychalski osobiście, tam w tym pokoju były posiedzenia, tam Spychalski, Sowiński... tam mieli miejsce spotkań. I ona to wszystko kryła. Znaczący nie kryła, tylko pomagała im. Nawet podobno był taki wypadek, że była w tym domu oblawa, weszli na jakieś rewizje tam... bali się, że wejdą do tego mieszkania też, to żona miała jakąś tam kasę ich, dokumenty i przez okno z pierwszego piętra wyrzuciła. I sama przedostała się też tam jakoś. Ona miała Krzyż Waleczny od Spychalskiego za ten okres i potem miała Krzyż Walecznych za okres powstania. W powstaniu brała udział normalnie w AK, w akowskich oddziałach. Zośka zdaje się. I była bardzo ciężko ranna w powstaniu i znalazła się w tych szpitalach polowych. Potem przerzucili ją, tam koledzy z AK, tam było takie zezwolenie na transport do Krakowa. Coś tam załatwili i mogli przerzucić do Krakowa, do szpitala dla ciężko rannych. I ona była też między innymi do Krakowa, do szpitala przerzucona też.

J.H.: A Zośka, to co to było?

M.N.: To był pseudonim oddziałów, zdaje się. Jej pseudonim był Sławka.

J.H.: Była ranna w powstaniu?

M.N.: Tak, bardzo poważnie. Do ostatniej chwili chodziła, ale miała problemy z nogą.

J.H.: A proszę mi powiedzieć, kiedy państwo się poznali?

M.N.: W 46 roku, bo ja tam byłem w szpitalu wojskowym w Krakowie. Ja zacząłem chodzić o kulach już tam, a potem już chodziłem o jednej lasce. To chłopaki z mojej sali, „Słuchaj, tam są fajne babki”, no to poszliśmy tam z nimi... do tych babek. I tam poznałem przyszłą żonę. Okazało się, że ona przed wojną, jako mała dziewczynka była we Lwowie, u krewnych gdzieś tam. Ja znałem tych ludzi i tak się sympatia zawiązała. I jesteśmy razem w szpitalu w Krakowie.

J.H.: A potem?

M.N.: A potem. Więc jak zacząłem chodzić o lasce pojechałem do Kudowy, do wojskowego szpitala do Kudowy, na rehabilitację. Tam po dziś dzień wojskowy szpital jest. Po miesiący wróciłem do szpitala do Krakowa znowu, tam pobylem miesiąc, dwa, bo oni nie mieli co robić z nami, bo ci co mieli rodzinę na tym terenie, to ich wypisywali jako inwalidów do domu, a nas ze Lwowa, z tych terenów, to w szpitalu. Ciągłe była rehabilitacja też. Ja byłem bardzo ciężko ranny, całą jamę brzuszną miałem...

KASETA NR 2

STRONA A

M.N.: Ja dziękowałem potem, to był taki lekarz major Kostarczyk, przedwojenny lekarz wojskowy. „Proszę mi nie dziękować” mówił „My byliśmy bezsilni. To była opatrność, pański organizm, ale my – medycyna była bezsilna”. Więc mnie długo trzymali. Ja leżałem półtora roku w szpitalu. Względnie wyzdrowiałem, to potem mnie wysłali do Buska. Też taki wojskowy szpital-sanatorium. Na dalszą rehabilitację. Też na sześć tygodni i znowu wróciłem do Krakowa. Do szpitala i znowu do żony oczywiście. I jak byłem w Busku, to żona przyjechała tam. Okazuje się, że ja też tam skierowali. Pewnego dnia jakaś tam pielęgniarka: „Proszę pana. Pan z Krakowa? Tutaj jest jedna pani. Pytała się o pana”, ja mówię „Gdzie?”, tutaj w tamtym pokoju, przyjechała w nocy. Więc zapukałem, to była... czyli przeznaczenie. Ucieszyłem się widokiem kogoś znajomego na obcym terenie. I potem wróciłem do Krakowa. I bardzo często robiłem takie ze szpitala, takie małe dezercje, bo wie pani bez przepustki, do Buska na dzień, dwa i wracałem. I w szpitalu zawiązała się taka grupa, która chciała wyjechać do Izraela...

TEN FRAGMENT JUŻ JEST W TEKŚCIE ZUŻY. Ok. 13 min.

J.H.: A żona kiedy zmarła? Chorowała?

M.N.: Trzy lata temu. Nagle zmarła. Ona w ogóle chorowała. Operowana była. Ciągłe z tą nogą. Rany się otwierały... ale ostatnio chorowała, właściwie nie było wiadomo co to jest, ale to był nowotwór żołądka i tak przez dwa lata się mordowała. Czyli zmarła w 2002 i jest pochowana na cmentarzu żydowskim. Z tym że ona przez pewien okres czasu, w okresie okupacji, jak wyszli z geta, to ona była na wsi pod Sieradzem, bo tam bardzo często przyjeżdżała z rodzicami w okresie wakacji, od dziecka znali ja i tam ją przyjęli i opiekowali się nią. I dopiero potem znowu do Warszawy przedostała się.

J.H.: Czyli w 2002 roku, a którego dokładnie?

M.N.: 28 kwietnia.

J.H.: I proszę mi powiedzieć pan ma wnuki?

M.N.: Mam dwóch synów. Olek w Kopenhadze i tutaj Sławek. On jest lekarzem, tutaj w Łagiewnikach. On ma tutaj jednego wnuka. W tej chwili ma 14 rok. Maciek. Bo Kuba to jest z Kopenhagi i on studiuje w Warszawie, medycynę teraz kończy już. Jeszcze Misiek jest w

Kopenhadze. On zdaje się jest na pierwszym, czy na drugim roku Infromacji, Informatyki chyba.

J.H.: I państwo macie wszyscy z sobą bardzo dobry kontakt?

M.N.: Tak.

J.H.: A proszę mi powiedzieć synowie byli wychowywani w tradycji?

M.N.: Nie.

J.H.: czyli wnukowie też nie?

M.N.: Nie. Z tym że starszy syn, jak później zamieszkał w Kopenhadze, to ona tam pod wpływem kolegów... bo on musiał wyjechać stąd w 68 roku, to on tam zbliżył się do tradycji żydowskiej, ale on nie zna ani żydowskiego, czy hebrajskiego. A on swoim synom to już urządził Bar Micwę, takie tradycyjne i są obrzezani. A ten Maciek nie. Oni są obrzezani, ale w tej chwili wszystko dla nich obce jest. Z tym że oni formalnie są Żydami. Ten starszy syn z Kopenhagi jest teraz taki bardzo... śledzi historię Żydów, w Biblii. On się interesuje bardzo. A ten syn tutaj z Łodzi, Sławek, to on po cichu, on nawet nie wie o tym [że ja wiem, że on] zawsze łapie jakąś książkę. A ja wiem i zauważyłem, że on doskonale zna historię Żydów. I oczywiście zadowolony jestem z tego, że mimo wszystko cos tam czytają.

M.N.: A znają historię pana życia?

M.N.: Bardzo mało. Ja nigdy nie... ja mówiłem, ale w ogóle nie potrafię się uzwnętrzniać. Właśnie tutaj po raz pierwszy... oni mordują mnie, żebym ja pisał pamiętniki.

J.H.: A takie dzisiejsze życie jak pana wygląda?

M.N.: Wie pani, ja się załamalem, przewidywałem, że dla mnie nie ma w ogóle już życia. 56 lat, czy 57 byliśmy razem małżeństwo, ja nie mogę się odnaleźć. Ja chorowałem, byłem w szpitalu dwa razy, ale ten młodszy syn codziennie bywa u mnie tutaj i jakoś tak stopniowo... zacząłem do gminy znowu chodzić tam, społecznie. Ja działałem w komisji inwalidów wojennych.

J.H.: Czyli dzisiaj tak trochę samotnie?

M.N.: Oczywiście, jestem samotny. Tylko syn przychodzi rozmawiam. I tam w gminie, nie chodzę codziennie, ale tak dwa, trzy razy w tygodniu. No i zacząłem w soboty, w piątki wieczór. Wcześniej nie chodziłem. Teraz tak, żeby między ludźmi, kontakty jakoś tak. Ja byłem długie lata przewodniczącym gminy, a teraz jestem wiceprzewodniczącym. Ja sam ustąpiłem, nie czułem się na siłach, pomimo że byłem wybrany ustąpiłem temu... Keller nazywa się. I dobrze zrobiłem bo on jest energiczny i inteligentny chłopak.

J.H.: Dlaczego pan w ogóle zgodził się na udzielenie tego wywiadu?

M.N.: Sam nie wiem. Niechętnie. Tylko przekonało mnie, że to będzie dla potomności... ja tylko zastrzegłem, że nie wolno publikować tego bez mojej wiedzy. A może też liczyłem się z tym, że jak dostanę duplikat, to dzieci będą miały też pamiątkę po mnie. Bo ja pamiętam na przykład urywki, piosenki, ale nigdy tak żeby usiąść i... wie pani, to jest za dużo, to się aż w głowie kłębi, ażeby wysegregować to co jest ważne, a co mniej ważne.

J.H.: jaki jest pana stosunek do religii dzisiaj?

M.N.: Tak jak pani mówiłem, z tym że do tradycji. Uważam że tradycja jest wskazana do względów wychowawczych, względów etycznych, moralnych... Jeden bardzo istotny moment pamięć moich rodziców i przodków w ten sposób ja im oddaję jakoś tam... poprzez tą tradycje.

24.10.2005

KASETA NR 2

STRONA A

J.H.: Teraz chciałabym żeby pan powiedział kilka słów o Ani.

M.N.: Mysmy się poznali w tej organizacji harcerskiej. W tej szkolnej, Bene Akiba. Ona nazywała się Ania, Hana. Ona też szykowała się do wyjazdu do Izraela. Wie, że specjalnie posłali ją na kurs krawiectwa. Specjalnego krawiectwa. Ona się uczyła, nawet ta sukienka [na zdjęciu], to przez nią uszyta jest. Więc jak to nazwać... nie była narzeczoną, bo jeszcze za młodzi byliśmy. Razem na spacer... wie pani... no i nawet razem pocałowaliśmy się.

J.H.: To jaka ona była, jaka była z charakteru?

M.N.: ona była taka, raczej... na pewno była inteligentna, bystra, miała poczucie piękna, wybrała takie estetyczne krawiectwo.

J.H.: Ale co się w niej panu najbardziej podobało?

M.N.: Nie wiem. Naprawdę trudno mi powiedzieć. Była blondynka, taka ładnie zbudowana, wysportowana.

J.H.: Ale mieliście pewnie wspólne zainteresowania?

M.N.: no w ogóle w tej organizacji wszyscy wspólnie śpiewaliśmy, tańczyliśmy, bawiliśmy, na wycieczki... za miasto...

J.H.: A pan znał jej rodzinę?

M.N.: Tak.

J.H.: A oni też pana znali?

J.H.: Tak, bo kiedy wojna wybuchła, wtedy to pomogłem jej rodzinie, bo głód. Ludzie bali się wychodzić z domu. Nie mogli wychodzić. Bo nie było też gdzie. Sklepy pozamykane. A ja miałem możliwości dotarcia do artykułów spożywczych. Więc ja dla nich też. Pamiętam jak dzisiaj, bo oni mieszkali koło Góry Stracenia, to były wzniesienia, gdzie Niemcy usadowili się i stamtąd ostrzeliwali, atakowali. I u niej w tym domu, pamiętam w bramie, wojsko polskie miało taki... nie wiem sztab. Więc ja... a ode mnie do niej było kilka ładnych ulic, a ulica Rapaporta była cała ostrzeliwana od Góry Stracenia. To ja, tak jak dzisiaj [by to było, pamiętam] miałem taką skórzaną kurtkę i ja nosiłem tam prowiant dla nich.

J.H.: Oni wiedzieli, że pan sympatią dla niej jest?

M.N.: Tak i wtedy. I potem, kiedy już Niemcy byli zupełnie tam blisko ich i była obawa, że lada chwila dotrą do naszych ulic, ona wpadła w jakiś... i rodzice poprosili ażeby przebywała u nas w schronie, ze mną. Jak ona była ze mną, to była jakaś taka spokojna i czuła się bezpieczna. I my byliśmy w schronie cały czas, to znaczy rodzina, bo ja nie i była tam u mojej rodziny w schronie...

J.H.: A państwo planowaliście przyszłość razem?

M.N.: Raczej tak.

J.H.: I jak wasze drogi się rozeszły?

M.N.: ja poszedłem do wojska, a ona została w domu. Zdjęcia do wojska przysłała. I ona zginęła w czasie wojny, pewnie razem z moją rodziną została zabrana. Dla mnie jest dzisiaj miłym wspomnieniem. Przyznaję, że po dziś dzień ja wspominam ją. I kiedy są modlitwy za zmarłych, ja zawsze odmawiam za nią też.